





K. J. BARZYKOWSKI

BRANKI W JASSYRZE.

DEOTYMA.



BRANKI *
W JAŚYRZE.

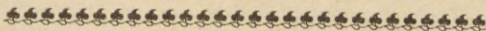
O! BO LEPIÉJ PÓJŚĆ NA MARY,
NIŻ W NIEWOLE NA TATARY.

(Piosenka ludowa).



WYDANIE DRUGIE.

TOM V.



WARSZAWA.

NAKŁADEM XIĘGARNI

TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

NOWY-ŚWIAT 41.



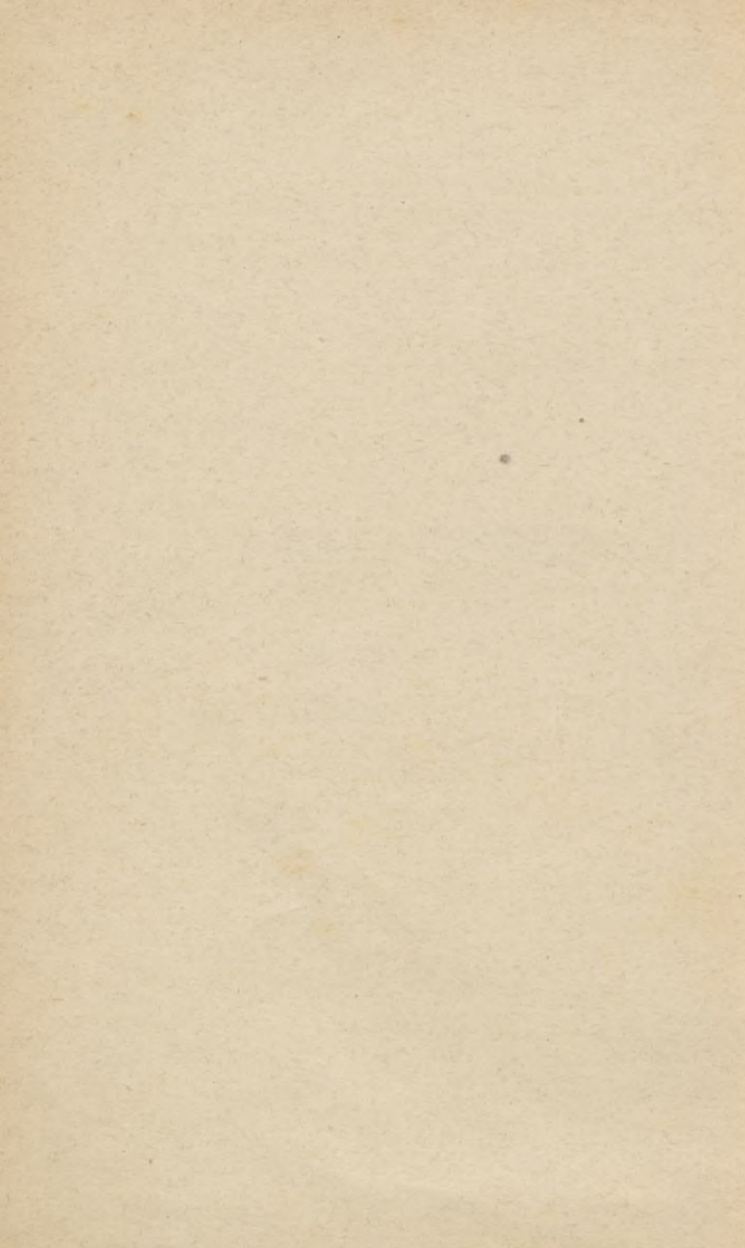
1901.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Іюля 1901 года.



174104

CZEŚĆ PIĄTA.



Tajemnicza góra.

Odjechali.—Po tych czterech miesiącach radości, upojenia, zapomnienia, rzeczywistość powracała jeszcze pustsza i czarniejsza niż pierwój. To jakby ostatnie echo życia, dla człowieka zakopanego żywcem. O..... słyszy..... ktoś przybliży się do grobu..... ktoś stąpa nad jego głową—dzwoni żelaznym narzędziem—podważa kamień..... wyraźnie go podważa! Wąziutkie pasemko światła przebłysnęło.... i znów kamień opadł. Ów ktoś, odchodzi..... Czy się rozmyślił i zniechęcił? Czy go kto odwołał? Nie wiadomo, ale to pewne że odchodzi.... Kroki jego coraz dalej giną..... Cicho. Już co teraz, to wszystko się skończyło—już nic nie pozostaje, tylko śmierć—powolna—głucha—bez świadków ani pocieszenia. Jedyłą pocieszającą nadzieją: wieczność.

A i ta wieczność, ach kiedyż ona przyjdzie? Dla naszych branek, takie powolne konanie może trwać lat wiele..... Kilkanaście? Może kilkadzie-

siąt? One jeszcze takie młode! Ludmiła ledwie wybiegła po-za rok dwudziesty, Elżbieta jeszcze niéma lat trzydziestu. Jaka długa i okropna przyszłość!

A jednak, trzeba żyć. Póki Pan nie odwoła, trzeba czekać.

Żyją z dnia na dzień, karmiąc się wspomnieniami.

A tymczasem wypadki biegną w koło nich z gwałtownością, która staje się tak uderzającą, że nawet uwagę branek w końcu na siebie zwraca.

W parę miesięcy po zakończeniu Kuryłtaju, najniespodzianie umarła Turakina.

Wielu oczom, ta śmierć wydała się objawem gniewu niebieskiego. Chrześcjanie widzieli w niej karę za otrucie Xięcia Jarosława, Szamanie słuszną pomstę za lekceważenie ich przestroóg. Pomimo niesłychanych skarbów jakie rozrzuciła między rzesze, mało kto żałował ex-Rejentki, chyba gronko jój ulubieńców i ulubienic, które wnet rozsypało się z popłochem, bo Kujuk zawzięcie tępił wszystkie ślady rozuzdanych rządów matki, i zazdrośnie chciał dowieść że potrafi panować inaczej.

Abdurraman już wiązał w paki swoje bogactwa krwią nasiąkłe, już miał umknąć w dalekie strony, pomiędzy braci Muzułmanów, kiedy go za-

skoczył wyrok śmierci, nagły, błyskawiczny, jed-
nym cięciem szabli wykonany.

Po tym pierwszym gromie, wszyscy inni pier-
zchli, skryli się jak pod ziemię.

Jedna tylko Fatma chciała dalej trząść pań-
stwem, ufna że zawojuje samego Cesarza. Kujuk,
sercem już zawojowany gdzieindziej, z przekonania
zawzięcie niecierpiący Izlamu, uśmiechnął się okru-
tnie, i postanowił nie tylko już usunąć, ale i przy-
kładnie ukarać niewolnicę, która śmiała mu się na-
rzucać za panią.

O zaczepkę nie było trudno. Istniał w Mon-
golji pewien powód oskarżenia, używany nieochy-
bnie, ile razy brakowało wszelkich innych powo-
dów: proces o czary. Niech tylko ktoś z rodziny
cesarskiej zachorował, wnet podejrzenie padało na
osoby których Dwór chciał się pozbyć.

I teraz właśnie, ciężko zapadł jeden z braci
Kujuka. Sam chory, czy z przypadku czy z pod-
mówienia, oskarżał Fatmę że go urzekła sztukami
Perskiej Magji, a gdy wkrótce — na domiar nieszczę-
ścia — umarł, Cesarz kazał ją téjże nocy stawić
przed Mangussarem. Wielki Sędzia przesłuchał
szydersko ję zaklęć i przysięg niewinności, na lzy
płynące z ję cudnych czarnych oczu, ruszył ramio-
nami, a niemogąc wydobyć żadnego wyznania,
wydał ją w ręce katów. Brana z kolei na różne,
prawdziwie Tatarskie tortury, przyznała się do
wszelkich win i czarów jakie tylko Sędzia zechciał

wmówić w ofiarę, poczem zmiłowano się nakoniec, i zgaszono w niej ostatnią iskrę życia.

Cały Dwór zadrżał.

Elżbieta słysząc wyszeptywane szczegóły téj kaźni, westchnęła i rzekła:

— Widzisz Ludko. Mówiłaś mi że czasem brała cię chętka mieszania się w ich zatargi, osiągnięcia jakiegóś władzy między niemi. Widzisz na czém się to kończy.

— Prawda. — Odparła posępnie Ludmiła, i uczuła się wyleczona z marzeń o zdradnej pomście, ale razem i posmutniała..... jeszcze jeden cel życia niknął z przed jéj oczu.

Nietylko Dwór zadrżał. Całe państwo drżało. Nowy Chaan okazywał się surowym strażnikiem starych praw i starego porządku. Najdalsi Wielkorządcy, którzy za Rejencji byli się już niemal otrząsnęli ze wszelkiego zwierzchnictwa, teraz na pierwszą wiadomość o wyborze Kujuka, wracali dobrowolnie w karby posłuszeństwa.

Kujuk wstępując na tron, snuł szerokie zamiary chwały. Chciał wskrzesić czasy Dżyngischana, marzył o nowéj, olbrzymiej wyprawie na Zachód. Zobowiązał się nawet solennie do niej,

kiedy to w kilka dni po koronacji, w oczach całego narodu, zatknął chorągiew zwróconą ku zachodzącemu słońcu. Śniły mu się po nocach winnice Węgierskie, z których go tak wcześnie wyrwała wieść o śmierci ojca. Śnił mu się jakiś tryumfalny wjazd do tego Rzymu, o którym Chrześcijanie zawrotne cuda prawią, który ma być piękniejszy niż samo Karakorum. O! Gdyby można u stóp swoich zobaczyć tego Papieża, co jest jakoby drugim Wielkim Chaanem, co śmiał mu w liście przesyłać nauki! Kujuk marzył, jak to sprawiwszy wielką rzeź na Zachodzie, jednemu tylko temu starcowi wspaniałomyślnie daruje życie, — bo śmierć kapłanów podobno nie przynosi szczęścia — i jak go sobie sprowadzi do Mongolji, aby mu razem z Lamami i Szamanami błogosławił kumys. Wtedy żaden już pod słońcem śmiertelnik nie będzie mógł równać się z Kujukiem, i spełnią się słowa pieczęci:

«Na Niebie jeden Bóg — na ziemi jeden Chan.»

Wszystko też zdawało się sprzyjać rojeniom przyszłego zdobywcy. Nie brakło ani bogactw, ani wojsk, ani ochoty w narodzie wypoczętym przez kilka lat bezczynności. Jedną tylko stawała na drodze przeszkoda, pozornie drobna, a przecież niezwalczona: brak zdrowia. Kujuk,

przeszalaławszy młodość, oddawszy się niehamownie trunkom, teraz targany i łamany wikłaniną przeróżnych cierpień, zapadał w jakąś dziwną, coraz cięższą niemoc, na którą Szamanie sami, nic niemogli czy niechcieli poradzić. To téż dawno już ich porzucił, i zasięgał rady Nestorjan, którzy z pewnym powodzeniem uprawiali medycynę. Kujuk przeważnie otaczał się nimi, czy to dla przypodobania się Chrześcijańskiej Xieźnie Siurkukteni, czy na złość Mahometanom, czy może tylko pod wrażeniem dziecinnych przypomnień, bo niegdyś nauczycielem jego był Nestorjanin Kadak, dostępujący teraz przy swoim ukoronowanym uczniu, coraz wyższych godności. Carpini mówi o nim:

«Kadak, całego cesarstwa *Prokurator*, inni zowią go *Intendentem państwa*.»

Miał téż Kujuk wielu sekretarzy i doradców Nestorjan, a Xieży ich — jak widzieliśmy — darzył stałą płacą, i pozwalał aby przed jego drzwiami stawiali swój ołtarz. Ztąd, ciągnęła nadzieja że sam kiedyś jawnie przystanie do ich wiary, ciągnęła, choć zawsze omylana.

Cesarz ani wątpił o swoim prędkiem wyzdrowieniu. W zimie, pocieszał się obietnicami wiosny — z wiosną, obiecywał sobie że go łowy jesienne postawią na nogi. Gorączkowo zajęty wyprawą Zachodnią, kazał do niéj czynić wielkie przygotowania. Sam tymczasem koczował, pędzony nieustannym niepokojem. Jak to zwykle

chorzy, niemógł sobie nigdzie znaleźć miejsca. Uprzykrzyły mu się brzegi Selengi i Orchonu, oświadczył że chce jechać aż nad rzekę Imil, do Ujgurji, której powietrze — jak twierdził — będzie dla niego zdrowsze.

Ciągnąc ku Bisz-Bałykowi, po drodze, gdzie tylko spostrzegł jakie siedliska ludzkie, wszędzie kazał mieszkańcom rozdawać pieniądze i sztuki jedwabiu; kapłanom przeróżnych wyznań sypał hojne dary. Tak na wszelkie sposoby chciał wypraszać sobie łaski Duchów, i otrzymywać u ludzi modlitwy za swoje uzdrowienie, bo Kujuk żarliwie pragnął życia, teraz kiedy na koniec warto mu było żyć.

Jechał nadzwyczaj szumnie, ze Dworem raczej podobnym do wojska, i coraz nowe poczty po drodze przygarniał.

Gruchnęła wieść, że ta podróż, przedsięwzięta niby dla «zmiany powietrza», jest wyprawą skierowaną przeciwko Batemu, na którego Cesarz śmiertelnie się gniéwał, bo Xiążę Kapczacki, jedy-ny z pomiędzy wszystkich Dżyngischanidów, jeszcze go nie był uznał urzędownie, i dotąd się ociągał ze złożeniem hołdu.

Xiężna Siurkukteni, dowiedziawszy o groźnym nadciąganiu Cesarza ku góróm Altajskim, posłała Batemu tajemne ostrzeżenie. Czy przy tém ostrzeżeniu była jaka rada czy umowa, to pozostało między niemi wieczną tajemnicą. My wiemy tylko, że Xiążę Batu wyszedł na koniec

spotkanie swego monarchy. Jednak ciągnął powoli—tak bardzo powoli—że zanim to spotkanie nastąpiło, tymczasem padła wiadomość niespodziana i straszna jak piorun z jasnego nieba: Chaan Kujuk na drodze nagle..... umarł.

Mówiono, że został otruty. I to trucizną podaną w najzdradliwszym kształcie, bo w lekarstwie.

A była w tym kształcie nietylko zdradliwość, ale i złośliwość; chciano tym sposobem winę zwalić na biednych lekarzy Nestorjańskich, których zaprawdę trudno posądzić o tak bezmyślną zbrodnię, boć właśnie Nestorjanie najwięcej tracili na śmierci Kujuka, swego wszechwładnego przyjaciela i dobroczyńcy?

Inna to ręka zaprawiła i podsunęła to lekarstwo..... Czyja?

Tu wszystkie Kroniki natrącają imię Xięcia Batego.

Czemu ten Xiążę tak zawzięcie prześladował Turakinę i syna jój Kujuka? Trudno to na pierwszy rzut oka zrozumieć. Nie popychała go żądza władzy, bo dla siebie nie pragnął Najwyższego Chaństwa, i zobaczymy wkrótce że umiał tę skromność udowodnić czynem. Ze wszystkich jego postępków, zabiegów, i ofiar, wyziera inna żądza: bezgraniczna chęć przypodobania się «Północnej

Sabie.» Cała jego polityka zmierzała do spełnienia jój życzeń. A w obecnej chwili chodziło może nawet o więcej, o proste ocalenie jój przed rozkochanym Kujukiem, który pewnie na to tylko nadciągał w te strony, aby starszy potęgę Batego, porwać czarodziejkę z jój Altajskich Ułusów, jak Tułuj porwał ją niegdyś z ojcowskich namiotów.

Na ten raz, Siurkukteni znalazła obrońcę — i to nieprzebiérającego w środkach.

I znów o jój spojrzenie rozbiła się nawa państwa.

Po nieboszczyku niewiele kto westchnął.

Wprawdzie płakali Nestorjanie, a płacz ich był tém głośniejszy, że pomieszany z tysiącem zaprzysięgań się i uniewinniań. — Żalowali go i niektórzy wojacy, cieszący się ognisćie na wyprawę Zachodnią. — A już kto najbardziej żalował, to Ałuta, owa najstarsza, chorująca żona Ajdara, której Szaman przepowiedział że «dwóch jeszcze Chaańów zobaczy.» Tylko dwóch? A z tych dwóch, jeden już odszedł? I to tak prędko! Niechże drugi zostanie obrany, niechże Ałuta go zobaczy, to już ani dnia ani godziny nie będzie mogła być pewną..... O czemuż umarł ten nieodżałowany Kujuk?

Ale sto razy więcej, tysiąc razy więcej było takich, których owa śmierć radowała.

Najpierwsi Szamanie podnieśli głośny okrzyk tryumfu. A co? Czy nie spełniła się ich przepowiednia? Mówili: «Źle się skończy» — i źle się skończyło. Mściwe Duchy poraziły zuchwalca, który śmiał przystąpić do koronacji, mimo «kamiennego deszczu», jakim go w ów dzień ostrzegaly. — Mniej głośno lecz z niemniejszą uciechą, tryumfowali wszyscy współzawodnicy zmarłego. — A już gdzie panowało największe, choć najbardziej ukrywane wzruszenie, to między niewolnikami Chrześcijańskimi. Wiedzieli oni z posłuchów o krwiożerczych zamiarach zdobywcy na Rzym i na całą Europę. Przez dwa lata czekali i truchleli; za toż teraz, niemogli się dosyć napodziwiać zmiany, w której «palec boży» był dla nich widocznym.

Nawet Elżbieta i Ludmiła, długo na wszystko znieczulone, odnalazły iskrę zapału.

— O!..... — Mówiły, podnosząc oczy do nieba. — Gdyby tam w naszej Polsce, i w Chrześcijaństwie całym, ludzie wiedzieli jakie nieszczęścia Bóg od nich odwrócił, dziękowali-by mu do śmierci, i może-by zaczęli żyć bardziej po Chrześcijańsku?

A Ludmiła zamyślona dodała:

— Ach, doprawdy—czy to warto się na tym świecie o cokolwiek dobijać? Kiedy sobie przypomnę ten Kuryłtaj.... te przekupywania i pochlebstwa..... tyle trosk i zabiegów! Tyle szumnych przygotowań! Na co? Aby nakoniec, osiągnąwszy cel życzeń, jakby na śmiech marnie zginąć? I to, i matka i syn prawie razem!

— O tak!—Poparła z namaszczeniem Elżbieta. — Dobrze mówił w Żegnańcu nasz Kapelan: «Marność marności, i wszystko marnością.»

Pierwszy raz nasze branki mogły się przyrzec pogrzebowi Chaana Mongolskiego, jednej z najdziwniejszych i najstraszniejszych uroczystości, na jakie się zdobył umysł ludzki, owładnięty przez czarne genjusze Pychy i Okrucieństwa. Ludmiła zwłaszcza, należąc z Ajdarem do najbliższych poufników Dworu, przyjrzała mu się aż nadto.

Na pierwszą wieść o śmierci panującego, wszystkie drogi prowadzące do Karakorumu zostały zamknięte i wojskiem otoczone; podróżni, przytrzymani tam gdzie stali, niemogli ruszyć się ani w tył ani naprzód, a to z obawy aby nie roznieśli wiadomości która jeszcze była tajemnicą, i nie ostrzegli kogo z licznych współzawodników do tronu, co by mógł ubiedz stolicę i państwo.

Gorzéj działo się na drodze, którędy powracały zwłoki. Tam każdą napotkaną istotę, męż-

czyzną czy kobietę, starca czy dziecko, nawet zwierzęta, wszystko bez wyjątku zabijano. Sposób zaprawdę najlepszy aby nikt nie zdradził tajemnicy. Trzeba też dodać, że ta rzeź miała nie tylko polityczną, ale i religijną przyczynę: zabijając człowieka czy konia, mówiono: «Idź służyć na tamtym świecie Wielkiemu Chaanowi.» Tym sposobem, tysiące duchów ludzkich, końskich, wielbłądzich, i różnych innych, szły za duchem zmarłego władcy, tworząc mu tam od razu nowy Dwór, nowe stada i trzody.

Między takimi dwoma szpalerami trupów, nieboszczyk jechał powoli, w głębi wąskiej, wysokiej skrzyni, czy raczej kapliczki, gdzie jaśniał w postawie siedzącej, w najbogatszym swoim ubiorze.

A droga trwała długo, i krążyła w rozmaite zakręty, gdyż obwożono go po wszystkich Ordach czyli majątkach jakie do niego należały. W każdej Ordzie, inna żona przyjmowała go pogrzebnym poczęstunkiem i śpiewaniem długich lamentacji. Wszystkie te wdowy przyłączały się kolejno do żałobnej świty.

Nakoniec w Karakorumie, naczelna małżonka, fertyczna Ogul-Gajmisz, przyjęła go najsutszą stypą i najgłośniejszemi krzykami. Późem dopiero wyruszono do Cmentarza Chaanów.

Zanim jednak ten wyjazd nastąpił, «komissja» złożona ze znawców i znawczyń, obesła wszystkie najznakomitsze rodziny Mongolskie, gdzie były

córki na wydaniu, i wybrała trzydzieści panien, samych najpiękniejszych, najbogatszych i najmilszych jakie tylko można było znaleźć; tym, ogłoszono wielką i zaszczytną wiadomość, że «pójdą służyć Chaanowi na tamtym świecie.» — Rodzice żegnali je z niejakim smutkiem, ale razem i z niewymowną dumą. One same, wybierały się gorączkowo, głowę nosząc wysoko jako przyszłe małżonki Chaana, zabiierając najpiękniejsze swoje szaty, najbogatsze klejnoty, odstępowane im na wyścigi przez matki, siostry i krewne, — a niejedna siostrzyczka, młodsza lub mniej piękna, patrząc na ten tryumfalny wyjazd, niemogła ukryć rodzaju zazdrości. Taka u Mongołów była krzepka wiara w przyszłe życie.

Oprócz tych wolnych oblubienic, wybrano także kilkadziesiąt zachwycających niewolnic, oraz kilkanaście najśliczniejszych pacholąt, i cały ten «pośmiertny harem», wyruszył za marami. Dodano im straż honorową, złożoną z najwyższych dostojników i najprzedniejszych niewiast. Do grona Terchanów i Nojanów prowadzących zwłoki, należał i Ajdar, — do grona niewiast odprowadzających oblubienice, należała Ludmiła.

Pojechali, — i przez kilka tygodni wieści o nich nie było, bo Cmentarz Chaanów leżał daleko na północo-wschodzie, już nie w kraju Chereth, ale we właściwej ojczyźnie Mongołów, na górze *Alchaj*, należącey do pasma gór Burchańskich, z kąd wypływają Honon i Kerulan, dwie sławne rzeki,

między któremi rodził się, wzrastał i umarł Temuczyn. On też sam wybrał sobie tę górę za grobowiec. Kiedyś, polując w puszczy która ją zalega, siadł pod wielkiem, odosobnionem drzewem, i zapadł w głębokie zamyślenie, podczas którego musiał mieć jedną z owych «czarnych wizji», co nachodziły tego niepojętego człowieka. Po długiej zadumie, wstał i powiedział: «Tu chcę być pochowany.»—Kiedy umarł, ludzie przypomnieli sobie te wyrazy, a synowie szanując życzenie rodzica, pochowali go we wnętrzu góry Alchaj, która od tam zaczęła się nazywać *Spoczynkiem Chaana, Kentej-Chan*.

Oddział z tysiąca ludzi został wyłącznie przeznaczony do strzeżenia tej świętej góry, na którą nikomu nie było wolno wchodzić, chyba tym co przynosili zwłoki nowego monarchy. Puszcza, żadną stopą nie deptana, żadną ręką nie rozłamywana, rozrosła się z ulewną bujnością, zasunęła całą górę kratami z upleci, zupełnie jak w bajce «o uspionej królewnie». W kilkanaście lat po śmierci Dżyngischana, ci sami co go pogrzebali, niemogli już odnaleźć owego drzewa, jakie miało zaznaczać wejście do grobowca. Tak przyroda sama pomagała Tatarom, którzy wszystko lubili otaczać tajemnicą, milczeniem i strachem.

Pierwszy raz od lat wielu, żona Terchana rozłączyła się z przyjaciółką. Rozłączenie trwało nie-

długo; jednak ten miesiąc mocno zaciężył Elżbiecie; wówczas najlepiej uczuła, ile to jeszcze mają szczęścia, dopóki są razem.

Po kilku tygodniach, orszak powrócił, ale bardzo zmniejszony, bez oblubienic, bez niewolnic, i bez pacholąt.

Ludmiła wpadła do namiotu Elżbiety, trzęsąca się, blada, zielonawa. Zawisła ciężko na jej piersiach, i tuląc do niej głowę jak przestraszone dziecko, wołała:

— O! Przecie Pan Bóg dał, że jeszcze cię widzę! Przecie się wyrwałam z tego piekła!..... Ach Elżuniu, Elżuniu, czego ja się tam napatrzyłam! I kiedy wspomnę że Jasia i mnie toż samo czekało..... Ach, jakież Bóg wielki, jakież miłosierny, że od nas odsunął ten kielich!.....

— Cóż to takiego tam było? Mów-że, bo i mnie już ognie przechodzą..... wyglądasz doprawdy jak Piotrawin.

— Ach, ja już przez całą drogę bałam się co to będzie? A nikt niechciał mi powiedzieć..... każdy spuszczał oczy, kręcił głową, zupełnie jak tam nad Limanem,— pamiętasz? — kiedy to doniesiono że Ogotaj umarł. I wiele innych rzeczy mi się przypomniało..... Te wszystkie nieszczęśliwe jechały, od stóp do głów okryte żółtymi zasłonami, zupełnie jak my wtedy..... — Jechaliśmy w takim porządku: najprzód szli żołnierze, którzy po drodze

wszystko i wszystkich mordowali — to téż przed nami ciągle było słychać krzyk i jęki — a po dwóch stronach drogi..... a! już wolę nie mówić. — Potém szli Szamanie, — potém jechały zwłoki — przy nich urzędnicy, sami mężczyźni. — Potém Żółte zasłony..... dalej my, mężatki — a za nami już tylko wozy, na których były sprzęty i zapasy podrózne. — Szamanie przez calutką drogę śpiewali, bili w cymbały i bębenki, chcieli widocznie zagłuszyć szlochanie tych nieszczęsnych niewolnic; bo niewolnice szlochały ciągle, pomimo groźb i nahajek straży. Ach, to wszystko branki jak my! Cóż je obchodzi ten Chaan?..... — Dzieci — chwala Bogu — nierozumiały co je czeka; były tylko wystrachane i spłoszone. — Ale owe trzydzieści panien wolnych, o! te mię zdumiały! Wprawdzie były blade, i dobrze widziałam że usta im się trzęsą, ale oczy ich świeciły sucho, i doprawdy — zdaleka patrząc — zdawało się że jadą na prawdziwe gody. — Moje towarzyszki prawie ciągle z nimi rozmawiały, ja nie miałam serca..... o czém tu gadać ze skazanemi na śmierć? Raz jednak, wzięłam się na odwagę i podjechałam do najmłodszej, cudownie pięknej, co mię najwięcej zastanawiała swoim królewskim uśmiechem. Zaczęłam się dopytywać z prawdziwém rozczczeniem, czy jednak jój nie żal życia, czy się nie boi umierać? Spojrzała na mnie zdziwiona — niewiem czy mojem pytaniem, czy moją litością? — i rzekła: «Trochę się boję, ale jeszcze więcej się cieszę, bo to przecież niemałe szczęście zostać na zawsze

Cesarzową, na zawsze!»—Wiész Elżuniu? Ta odpowiedź mię zawstydziła..... Jakżeż my, Chrześcijanie, powinni-byśmy umierać radośnie,—my co mamy wieczny żywot zapewniony —kiedy te poganki dla czartowskich mamideł idą na śmierć tak odważnie?

— To prawda, wszędzie można się zbudować.—Odparła Elżbieta z głębokiém skruszeniem.

— Chciałam koniecznie raz już wiedzieć, co się z temi nieszczęśliwemi stanie? Miałam nadzieję że Ajdar się wygada, ale byliśmy przez całą drogę rozdzieleni; on ciągle pilnował..... tego..... no, tego.....

— Czego? Ciała Kujuka?

— Ach Elżuniu, co ty robisz? Wymawiasz to imię! Wiész przecie jak to srodze zakazane..... Mongołowie nawet są za to karani, a dopióroż niewolnicy! Po prostu, kara śmierci. Gdyby téż nas kto podsłuchał?

— Masz słusność, trzeba się wystrzegać. Od-tąd będę mówiła inaczej, naprzykład: Syn Turakiny.....

— Ach, gdzież tam! I tak niemożna! Przecież i ona niedawno umarła? I jej imienia jeszcze niewolno wymieniać? Najlepiej mówić: ostatni Chaan nieboszczyk —to wszyscy rozumieją.—Otóż tedy mój mąż pilnował ciągle tych szkaradnych zwłok..... ostatniego Chaana.—Raz jednak, na wypoczynku, potrafiłam docisnąć się do niego, i błagałam aby mi powiedział, jakim sposobem ich po-

zabijają? Zaczął mię uspakajać: «Ależ nie bój się, nie będziem patrzyli na żadne okropności, nikt ich nie będzie zabijał.» — Ogromnie się zdziwiłam. Jakżeż tedy pójdą na tamten świat, aby służyć Chaanowi? On mi na to powiedział tylko: «A! Zobaczysz.» I uśmiechał się..... powiadam ci, uśmiechał się, prawie figlarnie! Ten człowiek zawsze się uśmiecha. Czasem doprawdy, boję go się jakby szatana. A on jednak taki dobry obok innych! Może i jabym się tak uśmiechała, gdybym od małości między nimi żyła? — No, koniec końców, dojechaliśmy do téj góry. Wygląda zupełnie jak zaklęta, porośla niesłychanym lasem, aż czarna. Póki przed nami stała, zdawało mi się że niebo jest zamknięte. — Pod górą, wyładowano wozy, rozstawiono stoły i rozbito namioty. Wszystkie ofiary weszły do tych namiotów, i tam wdziały najpyszniejsze suknie, okryły się klejnotami, a jakimi! Chyba tylko na Kuryłtaju widziałam podobne. I to wszystko pod ziemią gnijel!..... — Tak przebrane, siadły do stołów, do swojej ostatniej biesiady. Podawano im wykwintne rzeczy. Dzieci zgłodzone, tak się przy jedzeniu biédastwa rozweseliły, tak się cieszyły ze swoich pięknych sukienek, że patrzeć nie mogłam na ich radość. — Potém, wszystko zwinięto, złożono, i ruszyliśmy. — Pod samą górą, dokoluteńka, stał prawdziwy łańcuch z ludzi, co tam nikogo nie wpuszczają. Ale nas puścili. — Zaczęliśmy wchodzić na górę — przez las gęsty, szumiący, okropny..... Dzień był jasny i po-

godny, a mnie się zdawało że to noc i nawałnica.—
Szczęściem, rodzaj dróżki wyprzątnięto dla nas —
inaczéj, ani by się przedrzeć.—Jakoś tak w pół gó-
ry, zobaczyliśmy otwór, niby do jaskini—to był ów
grób, tylko co wykopany. — Zapalono pochodnie,
i zaczęliśmy iść gęsiego, bo wejście było wązkie,
jakgdyby korytarz —w kilku miejscach się skręcało,
i na każdym skręcie były drzwi z mocnych belek,
z ciężkimi wrzeciędzami. —Kiedy szłam tamtédy,
przypomniała mi się nasza ucieczka przez owo
podziemie z Żegnańca do Iłży..... Ach, tam było
okropnie —ale i tu..... —Kiedy trzecie drzwi otwo-
rzono, stanęliśmy w dużej pieczarze, niby to w sali,
podpartéj złocistemi słupami, i wybitéj ogromnym
namiotem ze złotogłowiu. W górze paliło się kil-
kadziesiąt lamp z wonnościami. Na środku stał
tron, także złocisty, przed nim stół nakryty; na
stole była misa przepyszna, z kawałem pieczeni
końskiej, a przy niéj roztruchan pełen kumysu,
w którym pływało mnóstwo pereł. — Za tronem—
wyobraź sobie — stały dwa białe konie ze źrebię-
ciem, nieżywe, ale tak jakoś mądrze wypchane
i podparte, że zdawało się —tylko ruszyć, a skoczą.
W oczach miały drogie kamienie. Kiedy się za-
pytałam po co tam one stoją, powiedziano mi naj-
poważniéj że po to, aby Chaan po śmierci miał na
czém jeździć i czyje mléko spijać. Ach Boże! Co
to za naród ciemny! Ale gdybyż się tylko na ko-
niach skończyło, to byłoby jeszcze śmiechu warte.

Ludmiła tu przez chwilę zamilkła, jakby zbierając odwagę na dalsze opowiadanie.

— Kiedyśmy wszyscy weszli..... wniesiono nieboszczyka, i posadzono go na tronie.....

— Jakto, posadzono? Przecież już trzy miesiące jak umarł, i jeszcze się nie zepsuł, nie rozsypał?

— Nie, wcale. To Szamanie umieją takiej sztuki dokazać. Siedział doskonale—niewiem, czy go tam przywiązano, czy jak? Miał ten sam chałat szkarłatny ze złotem, i też samą czapkę caluteńką z klejnotów, które to nosił w dzieńkiedy go na «całunie» sadzano, pamiętasz? Ale wyglądał okropnie, bo to—jak powiadają—umarł z trucizny, więc twarz i ręce miał czarno-sine, o..... prawie takie jak ta twoja granatowa chusta.—Jeszcze na dobitkę, otworzono mu oczy—białka świeciły—niemogłam na niego patrzeć.—Co się dalej działo, doprawdy nie potrafię opowiedzieć..... byłam jak pijana ze strachu,—zasłaniałam sobie oczy rękami.—Wiem tylko że Szamanie odprawiali różne modły i obrzędy—kilka razy nam kazano przyklękać i czołem bić przed umarłym.—Potem, zrobił się jakiś rozruch..... mówiono: «Już..... już.....»—Spojrzałam: Szamanie ustawiali wszystkie te ofiary..... Najprzód u stóp nieboszczyka postawiono skrzynie ze złotem i srebrem, — potem w koło stołu, pacholeta. Każde

z nich cós trzymało, to Chiński wachlarz, to kadielniczkę, to szkatułkę pełną kosztowności. Wszystkie te rzeczy, one niby podawały Chaanowi.—Naprzeciwko, za tronem, stańło w półkole trzydzieści owych panien; już z nich pozdejmowano żółte zasłony; błyszcząły i uśmiechały się niebożęta jakby gwiazdy. A jeszcze głębiej, pod ścianami, kazano stanąć niewolnicom. Ach, wtedy już nie płakały — stały jakby martwe — czasem chwyciły się ściany..... niektóre, niemogąc ustać, obsunęły się na kolana. Jeden z Szamanów chciał je podnosić, a drugi, przy mnie mu powiedział: «Owszem, niech klęczą, to jeszcze ładniej wygląda.»—Potém, jednę z nich podał swój bębenek, i mówił: «Uważaj, kiedy inne zaczną śpiewać, to ty potrząsaj bębenkiem. Pamiętaj — bo jak tego nie zrobisz, to nie pójdziesz za Chaanem, tylko Czarne Duchy cię porwą.» — Nakoniec, najstarszy z Szamanów zadzwonił tą swoją laską co to ma tyle brzękadeł — wszystkie owe kobiety i dzieci zaczęły śpiewać chórem cós bardzo radosnego — a nam kazano co prędzej uciekać. Wtłoczyliśmy się do korytarza — Szaman wyszedł i drzwi zamknął na wszystkie wrzeciądze — śpiew przeze-drzwi jeszcze głośno dochodził. — Uczepiłam się Ajdara, i wołałam: — Jak to? Czy one tam zostaną? — Ajdar mię odepchnął, powiedział z gniewem: «Cichoż bądź! Tu nie wolno gadać —» i zaczął pomagać do jakiejś dziwnej roboty; ustawiano w korytarzu ogromne łuki, zatknięte na drewnianych nóżkach. Kiedy cały sze-

reg takich łuków stanął, znów nas wypchnięto na przód, i zatarasowano drugie drzwi. — Teraz już mniej było słychać śpiewania—jeszcze jednak słyszałam niektóre głosy, szczególnie bębenek. — Za trzeciemi drzwiami, wszyscy porwali łopaty, motyki, rozmaite narzędzia, i zaczęli ziemią zasypywać korytarz —wszyscy to robili, Szamanie, urzędnicy, i Ajdar—i niewiasty rękami dorzucały ziemi — a tak się spieszo, jakby nas kto gonił.—Już tamte głosy cichły, nikły coraz bardziej..... raz mi się wydało że słyszę wielkie krzyki i dobijania się do drzwi najgłębszych —ale ziemia wszystko przytępiła —zrobiło się głucho—wyszliśmy na powietrze. Całe wyjście zupełnie zasypano,—kamieniami przybito—darniną przysłonięto—gałęzie posplatano — tak, że kiedy się obejrzałam, niełatwo już było rozeznac któredyśmy wyszli? — Potem, Szaman kazał nam uciekać, prędko i w milczeniu. Zbiegaliśmy, a raczej zsuwali się—zdyszani—strwożeni—chwyając się krzaków—nic nieśmiejąc mówić. — Nawet pod górą, kiedyśmy dopadli koni, jeszcze nam kazano uciekać i głowy za siebie nie obracać.—Pytałam się moich towarzyszek, po co ta ucieczka? Po co takie ukrywanie grobu? Odpowiedziały mi, że to «dla niezakłócania spokojności umarłych, bo - mówiły—trzeba ci wiedzieć, że niełatwo jest przejść na tamten świat, i jeżeli nieboszczykowi — zwłaszcza wielowładnemu — ktoś przeszkodzi w takiej trudnej chwili, to Duch jego zostaje na tym świecie, i żywym *przeszkadza.*» —

Nakoniec owa okropna góra zginęła nam z oczu zaczęliśmy jechać wolniej. Wtedy już niemogłam przed Ajdarem ukryć oburzenia—ale co to pomoże z nim gadać? Ruszył ramionami — mówił: «Dziecko z ciebie; przecież każdy musi raz umierać? Lepiej umrzeć zaszczytnie, w kwiecie lat, z pieśnią na ustach, niż po zwyczajnemu zdechnąć ze starości, albo co jeszcze gorsze, z jakiej głupiej choroby.»—I najspokojniej w świecie zaczął mi tłumaczyć robotę owych łuków, co tam stoją na straży. Wystaw sobie, to zupełnie jak te *Miecze-samosieczy* o których niańki u nas prawią. Tu znów, łuki *same strzelają*; a to w ten sposób: ich cięciwy są połączone ze drzwiami jakąś liną czy też łańcuszkiem, tak, że otworzenie wrzeciędzów, dociąga łuk i wypuszcza strzałę, prosto na wchodzącego. Niektóre łuki wyrzucają po pięć, po sześć i po dziesięć strzał z kolei. Mówił mi że to tam, za Murem, są miasta gdzie ludzie robią takie piekielne łuki; nie dziwię się temu—tylko w kraju Antychrysta czarci mogli coś podobnego wymyślić.—Opowiadał mi jeszcze wiele innych osobliwości, ale ja już niemogłam nic rozumieć — jadąc, ciągle sobie wystawiałam, co się tam teraz dzieje w grobie? Ajdar mi ręczył że oni wszyscy się tam prędko poduszają, ale ja niewierzę..... wszak sami gadali: «Nie tak to łatwo umrzeć!» — Oh, okropność! Jeszcze póki światła się palą, pierwsze godziny znośne. Ale kiedy lampy pogasną, kiedy głód chwyci wszystkich za wnętrzności..... A tu jeden kawał mięsa, jedna

tylko czara, przeszło na sto osób!..... — I czy to pierwszy raz? Już tam jest przecie kilka takich pieczar, napakowanych ofiarami? A niech jeszcze kilkunastu Chaanów umrze, to cała góra będzie jakby ul grobowy.—A jakie ostrożności, aby kto czasem nie przyszedł ich ratować! Gdyby się nawet znalazł taki śmiałek, i gdyby potrafił omylić wszystkie straże, jeszcze dziesiątki strzał ubiły-by go na progu.....—I pomyśleć sobie, że Jasia i mnie, toż samo czekało w grobie Ogotaja! Że ja miałam patrzeć na powolny koniec tego dziecka!..... Przeszedł-by do mnie..... prosił-by jeść..... a ja bym nic nie miała! I jak na urągowisko, do koła kupy złota, góry klejnotów, a za te wszystkie skarby człowiek już nie dostanie ani jednego kęsa strawy! — A jakby jeszcze zaczął wołać «o matunię», co ja bym zrobiła?.....

— Nie mów Ludko, nie mów..... — Przerwała zrywając się Elżbieta, i zaczęła chodzić po jurcie, ruchem gwałtownym, jakby ptaszę co się rozbija w ciasnej klatce.

Nagle, podbiegły ku sobie, z uściskiem i wykrzykiem:

— Ach, przynajmniej że tak nie jest!

I chciały się uspokoić tą myślą, ale spokój niełatwo wracał. Nieraz to co się stać mogło, równie przeraża jak to co się stało.



Przez wiele jeszcze dni były strwożone.

Co rano jedna drugiej zapytywała:

— Czy one tam już wszystkie wymarły?

Wszystkie?.....

Po nocach długo niemogły sypiać, a jeżeli usnęły, Jaś przed nimi stawał w ognistej pieczarze—dobijał się do drzwi strzelających—łkał i jęczał z głodu— a Kujuk, pan łaskawy, głaskał go fioletową ręką—i martwe konie urzekały go migotaniem agatowych oczów.

.
.
.

Taki to bywał Pogrzeb Chaana Mongolskiego.

Znów roczniki niewoli.

Kiedy branki tak się troszczyły o umarłych, tymczasem żywi, wcale innemi troskami zaprzętali sobie serca i głowy.

Wszystkie żądze, wszystkie rojenia władzy, które wybór ostatniego Cesarza był na chwilę przyciszył, teraz budziły się z podwojoną mocą.

Wprawdzie Kujuk pozostawiał dwóch synów, ale ci byli niedorośli; tém większa rękojmia nadziei dla setnych współzawodników.

Na tymczasem, stosownie do starych zwyczajów, powierzono Rejencję naszej znajomój, Cesarzowej Ogul-Gajmiszy, którój aż serce podskoczyło, gdy się dorwała do marzonych rządów. Sądziła, że na wzór Turakiny, potrafi przedłużyć je do nieskończoności, ale Xiążę Batu pomieszał jój szyki; spostrzegłszy podczas ostatniej Rejencji, że zwlekanie wyboru nie doprowadza go do celu, na ten raz już umiał się pospieszyć.

Wiadomość o śmierci Kujuka, zastała go w okolicach miasta Kajałyku. Tam nagle zatrzymał pochód swego wojska, i zaraz na témże miejscu zwołał sejm elekcyjny.

Zjechała co prędzej Xiężna Siurkukteni z synami, zjechała większa część Dżyngischanidów.

Posłano zaproszenie i synom Kujuka, i Szyramunowi, stającemu po raz drugi w rzędzie kandydatów. Trzej młodziuchni Xiążęta niechcieli opuszczać stolicy, która była w ich ręku szacownym zakładem; wysłali więc tylko Temura, Wielkorządcę Karakorumu, zalecając aby w ich imieniu podpisał wszystko na co większość Xiążąt się zgodzi. Ani wątpili, że przysięga złożona niegdyś Ogotajowi, zapewni koronę jego wnukom. Zachodziło już tylko pytanie, któremu z trzech błysnie szczęście?

Nim jeszcze Temur opuścił bramy Karakorumu, wymknął się z nich cichaczem i Ajdar; ujeżdżał ze wszystkimi żonami, skarbami, z całym swoim dworem i dobytkiem; nic nie pozostawiał w stolicy, bo chciał mieć wolny głos na sejmie, a wiedział że głos ten niepodoba się Rejentce ani jój potomstwu.

Dojechano szczęśliwie do równin pod Kajałykiem.

Branki mogły już po raz wtóry przypatrzeć

się Kuryłtajowi. Ten wprawdzie nie olśnił ich jak piérwszy; na prędcie zwołany, gwałtownie prowadzony, nie jaśniał przepychem, nie zgromadził pocztu Ambassadorów; brakło mu zwłaszcza ozdoby największej w oczach naszych niewiast: nie było tam żadnego posła-zakonnika.

Ale różne oczy różnie widzą. Xiężnie Siurkukteni, ten zjazd musiał się wydać najpiękniejszym ze wszystkich na świecie.

Jednak..... nie od początku. Piérwszy dzień Kuryłtaju, kosztował ją kilka lat życia.

W tym piérwszym dniu, jeden ze starych wodzów, Ilczydaj, przypomniał starą przysięgę.

Większa część słuchaczy nie była rada owe-mu przypomnieniu; w piérwszej chwili wszakże, nikt nie umiał znaleźć zwycięzkiej odpowiedzi. Dopiero Xiążę Kubilaj powstał, i wyraził zdanie, że jeżeli przysięga miała oznaczać bezgraniczne posłuszeństwo dla pośmiertnej woli Ogotaja, to dawno już ją naruszono, wybierając nie Szyramuna lecz Kujuka.

— Wiadomo zaś — kończył — że obietnica raz niedotrzymana, traci wszelką wartość. Już więc o téj przysiędze niemoże być mowy.

Rozumowanie było kręte i nieścisle, jednak wydało się przewyborne ludziom, którzy tylko szukali pozorów do zerwania z uciążliwą przeszłością.

Zdanie Kubilaja zostało przyjęte ogólnym pokłaskiem, i Mądra Xiężna już zaczęła zcicha się uśmiechać.

Ale tu, nagle — zaszło coś nieprzewidzianego.

Jak las pokłania się cały w jedną stronę, kiedy nań uderzy niespodziany huragan, tak znienacka wszystkie głowy i oczy zwróciły się ku Xięciu Kapczackiemu — po całym zgromadzeniu przebiegł szmer — potem szum — potem okrzyk ogromny — i wszyscy Dżyngischanidzi, z niewidzianą jednomyślnością, z nieprzygotowanym przez nikogo zapalem, Batemu ofiarowali tron.

Ta chwila musiała być przestraszną dla Xiężny Siurkukteni.

Oto, najprawdziwszy jej przyjaciel, najwierniejszy dotąd wykonawca jej woli, wystawiony został na pokusę, przechodzącą zwykle siły ludzkie.

Miałże, nietylko już od samego siebie, ale i od swego potomstwa, odepchnąć największe w świecie berło, aby je oddać synom tej Cheraitki?

Mimo poczucia całej swojej potęgi, sama Xiężna zadrżała — i zwątpiła.

Jakich-że jednak ofiar nie spełniano dla tej zjawiskowej kobiety?

Xiążę Batu odmówił tronu.

Odmówił go stanowczo — bez chwili wahania.

Pomartwieni Xiążęta, błagali go przynajmniej, aby im wskazał kogo mają wybrać?

— No, i cóż? — Odrzekł jakby przymuszony. — Choćbym radził, czy usłuchacie?

— Usłuchamy! Usłuchamy!..... Jeśli nie wierzysz gołym słowom, zaręczymy na piśmie.

I natychmiast spisano umowę, mocą której obecni zobowiązywali się do wiernego wypełnienia rady, jaką im poda głowa rodu.

Batu, wzięwszy pismo, zapowiedział że musi głęboko się namyślić, i odszedł niby dla owego namysłu, a w rzeczy samej aby ten cyrograf narodu złożyć u stóp Xiężny Siurkukteni, i aby spytać jej z pokorą:

— Cóż? Czy jesteś zadowolona z twojego niewolnika?

Bo rzeczywiście, był to — dobrowolny niewolnik.

Wszystko dla niej poświęcał — a niczego nie żądał.

Czy kiedy żądał jej ręki? Czy żądał miłości? O tém dzieje milczą.

Musiała Mądra Xiężna być niezmiernie «mądrą», kiedy potrafiła zachować w nim do śmierci najgorliwszego z przyjacioł i czcicieli, a jednak żaden cień podejrzenia, żaden zły uśmiech dziejopisów, nie skaził nigdy jej brylantowej aureoli.

Co mu powiedziała, jak podziękowała, teraz gdy jej przynosił piśmienny dowód swjej ofiary, te-

go nie słyssało żadne ucho śmiertelne. Słyszano tylko, że po tym dniu przełomnym, Xiężna głośnień niż zazwyczaj odprawiała swoje conocne płacze.

Już bowiem od lat wielu, (podobno jeszcze od śmierci rodzica,) Xiężna każdéj nocy, nad ranem, przechodziła do ustronnego, szczelnie zamkniętego namiotu, i tam oddawała się jakimś modłom czy gusłom, do których nikt z żyjących, nawet żaden z jéj synów, nigdy nie został przypuszczony.

Musiano jednak ją podpatrzyć, bo ludzie rozpowiadali, że Xiężna zawsze w owéj godzinie, z kryjówki sobie tylko znajoméj, wydobywa jakąś czarną skrzynkę, a z niéj wyjmuje osobliwszą czarę, wyrzniętą z poźółkłej kości; była to czaszka ludzka, osadzona w srebrnéj, poczerniałéj oprawie. Xiężna stawiała ją na pilśniowym całunie, i kłękłszy przed nią, biła się w piersi, rwała włosy, szepiała jakieś zaklęcia czy przysięgi, wymawiane w języku który nie był Mongolskim. Co dziwniejsze, ta niewiasta wiecznie uśmiechnięta, u którój nigdy nie widziano łzy w oku, nad tą czarą co noc płakała płaczem nieutulonym..... potém, ucałowawszy nabożnie ową straszną łzawnicę, kładła ją na powrót do czarnej trumienki, a gdy słońce weszło, wracała między ludzi uśmiechnięta, z okiem znów błyszczącym i suchym jak stal.

Téj nocy, słyszano mniej płaczu, a dłuższe zwierzenia i zaklęcia.

Nazajutrz, gdy zasiadła w Kuryłtajowém zgromadzeniu, pierś miała jak zawsze pokrytą ślizkim, jedwabistym płaszczem obojętności, ale w téj piersi były gromy, a ręka pod tym płaszczem zaciśnięta, trzymała twardo lejce wszystkich serc i myśli.

Wśród ogólnej ciszy oczekiwania, Xiążę Batu wygłosił mowę, gdzie dowodził że państwem co powstało z wojennych zaborów, nie powinien rządzić nikt inny tylko znakomity wojownik.

— A któż—dodał na zakończenie — śmiałby się tu równać z walecznikiem, którego wielkie czyny rozślawiły już na dwóch krańcach świata, z jednej strony w Chinach, z drugiej w Polsce i Węgrzech?

To mówiąc, wskazywał najstarszego syna Xiężny Siurkukteni, Xięcia Mangu.

Wskazany, stosownie do przepisów ceremoniału, wymawiał się z wielką niby trwogą i skromnością, każdemu po kolei chciał ustępować tronu, dopiero gdy mu przypomniano, że i on wczoraj podpisał obietnicę ślepój uległości dla Batego, spuścił głowę i zamilkł.

Wtedy, wszyscy obecni zdjęli pasy, odwiecznym zwyczajem zarzucili je sobie na szyję, — poczem, dziewięć razy przykląkszy, oddali czołobitność nowemu Chaanowi.

A matka się uśmiechała, lecz nie więcej niż zawsze — i z piersi swój — o dziwo! — nawet i teraz nie odpięła płaszcza obojętności.

Mądrze czyniła nie ciesząc się przedwcześnie..... Sprawa bowiem wcale jeszcze nie była wygrana.

Wielu Xiążąt brakło na tym niepełnym Kuryłtaju. Wielu go nazwało nieważnym, i ujęło się groźnie za rodem Ogotaja.

Trzej małoletni Xiążęta, razem z oburzonemi matkami, wybuchnęli jednym okrzykiem zgrozy, i wyparli się swego pełnomocnika, co śmiał podpisać taki krzywdzący wybór.

Powstał w Mongolji srogi zamęt.

Pierwszy to raz od czasów Temuczyna, objawiało się odszczepieństwo polityczne, rysa w jednolitości państwa. Rysa jeszcze wazka i nietrudna do naprawienia, ale dowodząca że gmach może się rysować.

Bacność, o Dżyngischanidzi! Owe «strzały związane», nie pójdą w rozsypkę?

Przez całe trzy lata, ciągnęły się układy, pokątne targi, głuche wojny domowe.

Po trzech latach, Mangu, z pomocą wojsk Batowskich i rad macierzyńskich, z pomocą nakoniec owego «szczęścia», co według Wschodnich pisarzy towarzyszyło mu niezmiennie, odniósł najzupełniejszy tryumf.

Wtedy nastąpiła w życiu nowego Chaana epoka zagadkowa, naznaczona wybuchem samych kato-
wani i mordów, a nie licująca wcale z całym jego dalszym panowaniem, które owszem zajaśniało w dziejach łaskawością niewidzianą dotąd na tronie Mongolskim, posuniętą nawet czasem do bezmyślniej przesady.

Czy duchy owych dwóch dziadów, Ongchana i Dżyngischana, były się w jego piersiach, i kolejno w nich odnosiły zwycięstwo?

Czy też w owój chwili, jakaś «inna ręka», dla potajemnych celów, kierowała postępowaniem Chaana?

Ostatnie to przypuszczenie ma za sobą wiele prawdopodobieństwa, bo Mangu *chciał wyglądać na przymuszonego*.

Była to niezaprzeczenie obłuda, był jednak i postęp. On przynajmniej wstydział się tej srogo-

ści, którą jego przodkowie uważali za rzecz zupełnie prostą.

Mangu sam z siebie, niby nikomu nic złego nie robił, ale pozwalał aby drudzy wyrabiali najdziksze okrucieństwa; i nietylko pozwalał, lecz zachęcał gorliwców, niemą wymową nagród i zaszczytów.

Dobry Mangu przebaczał wszystkim — wszystkim bez wyjątku..... ale zaledwie ułaskawieni powrócili do swoich mieszkań i urzędów, już po kilku tygodniach, Wielki Sędzia wynajdywał jakiś nowy, a czasem i dawny, zapomniany powód oskarżenia. Przez całe miesiące, Mangussar nie schodził z trybunału. Olbrzymia przestrzeń państwa zaroїła się od sądów, śledztw i tortur, a prześladowanie było skierowane już nie przeciw narodom podbitym, ale przeciw samymże Mongołom.

Tępiono wszystkich potomków i wszystkich stronników Ogotaja; za niemi szli szeregiem ich krewni, i życzliwi, i przyjaciele ich przyjacioł. Nikt się nie wybiegał. Synowie Kujuka, niewinnieni przez Chaana, znaleźli się winnymi w oczach niższych sędziów. Szyramun z początku sądził że ocaleje; potężnego miał opiekuna w Kubilaju, który wyprosiwszy mu życie u brata, dla większej pewności, wywiózł go do najgłębszych prowincji Chińskich; ale i tam nieszczęsnego młodzianka dosięgła ręka Mangussara.

Wygodny to był człowiek, ten nieustraszony

Sędzia, co brał na swoje barki wszystkie ciężary i wszystkie przekleństwa.

I czy to jeden Mangussar umiał służyć? Tysiące zauszników dobrze wiedziały jak trzeba mówić do Chaana.

Nieraz on patrząc na tłumy skazańców brzęczących kajdanami, rozrzewniał się i chciał im darować winę; wówczas dworacy w koło tronu padali na kolana, i błagali aby «dla ocalenia państwa», uczynił gwałt sercu, niebacznie litosnemu. I póty klęczeli, póki wzdragający się i wzdychający Mangu, nie dał ręką niemego znaku przyzwolenia.

Raz tylko, nie potrzebował być namawianym do srogości, raz tylko sam uczył Mangussara jak ma spełnić swoje zadanie, a to w chwili, kiedy nakoniec ujęto Xiężnę Anandę i była Rejentkę Ogul-Gajmiszę. Widzieć ich niechciał, gdyż jego miłosciwe oblicze powinno było tylko łaski wróżyć, ale chcąc im dać do zrozumienia za co będą karane, kazał je zaprowadzić przed namiot swojej matki. Tam u progu, z szat je obnażono, a ręce im zasztyto w czarne wory, i tak dopiero zostały stawione przed Najwyższym Sędzią. Historia zaznacza, że Ananda zachowała wzgardliwe milczenie, a Gajmisz wybuchnęła krwawymi wyrzutami, za zniewagę wyrządzoną kobiecie i monarchini. Mangussar przesłuchawszy z jaszczurczym uśmiechem, zapytał czy Chatuny pamiętają pewną wesołą rozmowę, jaką toczyły przed kilku laty, pod namio-

tem z białej purpury? Poczém, kazał je owinać czarnemi wojłokami, i wrzucić, «chlust, do Orchonu.»

Tak to Mangu mścił się za najmniejsze słówko, wyrzeczone przeciw jego matce. Siurkukteni, dla synów była istnëm bożyszczem.

Po trzech latach nakoniec, porządek zapanaował w Mongolji. Szczelina państwowa została krwią zakitowana. Gmach znów stanął cały.

Wówczas dopięro, Mangu postanowił odprawić koronację, i to taką jakiej nikt jeszcze nie odprawił pod słońcem.

Inni Chaanowie obejmując władzę, zastawiali bajeczne uczy, pozwalali na rozszarpywanie Skarbców.

To wszystko było niedostatecznëm dla próżności Cesarza Mangu. On chciał zrobić cós takiego czego jeszcze nigdy nie było i nie będzie, chciał ten dzień uczynić świętem nietylko dla ludzi, ale dla całego przyrodzenia.

Wyszedł więc rozkaz, głoszący że:

«W dzień koronacji, niewolno pracować ani panom, ani sługom, ani nawet niewolnikom—Niewolno konia dosiadać—Niewolno muła ni wielbłąda objuczać—Niewolno zabić wołu, ni barana, ni żadnego zwierzęcia—Niewolno ryb łowić—ani po-

lować w lesie—ani strzelać do ptastwa—Niewolno żadném narzędziem krajać ziemi—Niewolno pławieniem lub czerpaniem zmacać spokoju wód.»

Zaprawdę, dziwnie to łaskawy monarcha, co jeszcze wczoraj oprawcom kazał krajać ofiary, a dziś niepozwala na przekrojenie skiby!—Dziwnie sielankowy katownik, co jeszcze nie ociekł ze krwi czarnej, a niechce splamić czystości strumyka!

Czy sądził Chaan Mangu że oszuka potomność?

Na spełnienie obrzędu, wybrano dzień pierwszego Lipca 1251-go roku. (Dla naszych brank było więc już wtedy, skończonych dziesięć lat niewoli.)

Dla tém większej solenności, lub z innych tajemniczych przyczyn..... uroczystość miała się odbyć nie pod Karakorumem, ale koło źródeł Honanu, w najdawniejszém gnieździe Mongołów, niedaleko Cmentarza Chaanów.

Na téj staréj ziemi praojców, zgromadziły się tysiące tysięcy, a wszystko sami życzliwi. Nieżyczliwi byli już pod ziemią.

Łącząc odwieczne pamiątki z nowoczesnemi

przepychami, rozciągnięto czarny pilśniowy całun, i na nim dopiero postawiono tron z hebanu i słońniowój kości.

«Między innemi dowodami szczęścia», — mówi Wschodni Kronikarz Dziuveni — «jakie służyło zawsze temu władcy, można przytoczyć i okoliczność która wtedy zaszła: od kilku dni, chmury zalegały widnokrąg, deszcz ulewny lał strumieniami, krąg słońca pokryty grubym cieniem, wymykał się z przed oczu wróżbitów i astrologów, którzy mieli według jego wysokości oznaczyć stanowczą chwilę. Nagle, oblicze gwiazdy dziennój odsłania się w całym blasku, jak twarz oblubienicy przed okiem stęsknionego małżonka, i niebo roztwiera się tylko tyle, ile trzeba aby ukazać tarczę słońca.»

Pod światłem téj tarczy, Mangu siadł na tronie, — i w téjże chwili dał się słyszeć krzyk niewieści, stłumiony.

Obejrzał się — poznał głos matki.

Wszyscy spojrzeli na Xiężnę Siurkukteni, i zdziwili się zaszłą w niej zmianą. Po raz pierwszy od lat niewiem ilu, wieczny uśmiech zniknął z jój twarzy. Pałająca, wzruszona, piorunowała tłumy spojrzeniem, pełném niewymownej wzgardy i nienawiści — zaciskała ręce na piersiach, jakby ją

dusił zbytek bólu czy szczęścia — a jój usta ruszały się cichym szeptem.

Wyszeptanych wyrazów nie słyszał nikt z ludzi, ale Duchy usłyszały ten wykrzyk, co się wydarł ze dna jój duszy:

— Ojczy Ong-Chanie, jesteś pomszczony!

Oto wnuk twój panuje w ziemi Chereth.

I nietylko w ziemi Chereth, ale i w tój ziemi przeklętój, gdzie rodził się Temuczyn.

Ów szatan Temuczyn, co z twojój głowy śmiał zedrzeć siwe włosy, i z twojój świętój czaszki uczynił sobie czarę, aby w niój spijać krwawy kumys tryumfu i urągowiska.

I ja musiałam na to patrzeć!

A teraz, ty patrz, Duchu Temuczyna:

Oto w miejscu gdzie się rodziłeś, postawiłam tron memu synowi.

A do tego tronu doszedł przez morze krwi.

A ta krêw nie była obcą, lecz Mongolską.

I nietylko Mongolską, ale twoją własną.

Ile razy ty usta umaczałeś w czaszce mego rodzica, tyle teraz czaszek odpadło od tułowów. A wszystko to były głowy Dżyngischanidów.

I nie obca ręka je strąciła, lecz ręka Dżyngischanida.

Rznęli się między sobą, sami niewiedząc czemu, a ja prowadziłam ich rękę, i serce Cheraickie we mnie rozpływało się od rozkoszy.

I oto sprawiłam w twojém potomstwie rzeź – większą niż ta, którą ty sprawiłeś w moim rodzie.

Dżyngischanie! Ty widzisz to z wnętrzości téj góry co czerni się tam za tronem. Patrz, i niech kości twoje przewrócą się w grobie.

Tak to się Mądra Xiężna pomściła siwych włosów ojca.

.
.
.

Piérwszym czynem Chaana Mangu po jego wstąpieniu na tron, był dekret przez który swoją matkę ogłaszał Cesarzową, chociaż nigdy nie była żoną panującego.

Cesarzowa Siurkukteni zamieszkała odtąd już nie w górach Altajskich, ale w ojczyźnie swojej, w ziemi Cheraitów, gdzie prowadziła ogromny Dwór osobny, którym zarządzał najmilszy jój Aryk-Buga.

Zauważono, że już nie odprawia swoich przedświtnych płaczów ni zamawiań. Widocznie, owa nieszczęsna czaszka, ukojona wypitą krwią i łzami, już nie budziła jój po nocach.

Czy jednak te noce mogły dla Cesarzowéj upływać spokojnie? Czy znów owa krew rozlana,

nie farbowała jój snów na czerwono? Być może, gdyż od koronacji syna, uśmiech już nie wrócił na jój usta.

Cesarz Mangu jeszcze nieraz pewno zasięgnął macierzyńskiej rady, już jednak w historii nie spotykamy ani razu widocznych śladów działania Xiężny Siurkukteni; zdaje się, że osiągnąwszy główny cel swego życia, cofnęła się na stanowisko widza, i tą nową postawą dowiodła więcej niż kiedykolwiek że była «mądrą xiężną», bo jeśli trzeba wielkiej mądrości aby w porę działać, trzeba jeszcze większej aby w porę ustąpić,

Nowy Chaan téż nie potrzebował już pchnięcia cudzej ręki, ani cudzej myśli; nie brakowało mu własnych pomysłów.

Najprzód, ogłosił wielką, powszechną Amnestję, co wprawdzie już nie było sztuką po wytepieniu wszystkich nieprzyjaciół, ale brzmiało szumnie i niezwykle, a nawet dla przyszłych pokoleń zostawiało chwalebny przykład: pierwszy to raz w Mongolji słyszano urzędownie głoszone «Przebaczenie.»

Następnie, Chaan wypowiedział swoje zamiary wojenne.

Te były olbrzymie.

Wprawdzie wyprawa Zachodnia została zaniechana. Może Mangu niechciał wyglądać na ślepego naśladowcę Kujuka? Może matka Nestorjanka, odwiodła go potajemnie od walki z Chrześcijaństwem?

W każdym razie, miłość synowska, czy też miłość własna monarchy, oszczędziła Europie nieprzebranych nieszczęść; oszczędziła ich nawet nie tylko na teraz, ale i na przyszłość; uwaga Chaa-nów raz obrócona w inną stronę, dostrzegła powabniejsze cele, nadała inny kierunek całej polityce Wschodu, i odtąd żaden już Cesarz Mongolski nie pomyślał o podbiciu Europy. Drugorzędni Chanowie, Kapczaccy, Nogajscy i inni, ubijali się jeszcze przez lat pięćset ze swemi sąsiadami ziem Ruskich, Polskich i Węgierskich; wiele łez i okropności te ziemie od nich zniosły; ale ów potop krwi i barbarzyństwa, co się za Ogotaja wylał na świat cywilizowany, co za Kujuka już po raz drugi wzbięrał, obecnie jedném skinieniem Cesarza Mangu został na zawsze odwrócony.

Tak, zaznaczmy dobrze wyrazy: nie usunięty z dziejów, ale tylko gdzieindziej odwrócony. Nic w świecie nie ginie; to, czego myśmy uniknęli, dostało się innym ludom. Kiedy my błogosławimy syna Siurkukteni, inne szczepy obciążyły go klątwą.

Mangu przekreślił—jeśli tak rzec można—oś państwa.

Dotąd, zabory Tatarskie szerzyły się głównie na Zachód. Ciągłe i ciągle przybywało im ziemi

w tamtej stronie, tak że Mongolja stawała się jakby taśmą nazbyt wydłużoną, niekształtną, i nieporęczną do rządzenia.

Nowy Chaan postanowił powiększać swoje państwo już nie wzdłuż ale wszerz, nie na Zachód ale na Południe.

W tym celu ogłosił dwie wyprawy.

Z jednej strony chciał podbić cesarstwo Sung, czyli drugą połowę Chin, która jeszcze nie podlegała Tatarom.

Z drugiej strony, chciał ostatecznie wcielić do państwa Turkiestan i Persję, które dotąd nie były ze wszystkiem przyswojone, a nawet w sercu swoim żywiły jeszcze różne niedogodne potęgi, jak Bagdadzki Kalifat, groźny swoim duchowem panowaniem, i sektę Izmaelitów, czyli z franska mówiąc, Assasynów, istną żmiję nigdy niepochwytną, a wiecznie grożącą żądłami skrytych sztyletów.

Przy mianowaniu wodzów na obie wyprawy, Mangu dowiódł że umie wybierać ludzi.

Chińską, powierzył bratu Kubilajowi. Uczynił go Wielkorządcą prowincji już podbitych, a na podbój nowych dał mu liczne wojska. Znane zamiłowanie Kubilaja w oświacie i obyczaju Chińczyków, czyniło go najzdolniejszym do ich przyswojenia.

Wyjazd Kubilaja przyniósł naszym brankom wielką choć tajoną radość, bo z orszakiem jego wyjechał i Kałga, który przed kilku miesiącami był już powrócił ze Szkół Jeliu-Czusaja. Wrócił prawie dorosły, ponurszy i zaciętszy niżeli kiedykolwiek, bo jak to zwykle bywa u złych ludzi, nauka zrobiła go jeszcze gorszym, dała mu jeszcze więcej broni do szkodzenia i oszukiwania. Powrót jego ciężko dał się uczuć Elźbiecie, a przeraził i zgrozą przejął Ludmiłę. Kałga przymawiał matce że jest malowana, że niewolnicom i niewolnikom pozwala się rozpróżniaczać — stryja wyśmiewał że słaby, że daje się za nos wodzić ładnej żonie—wszystko mu niedogadzało—wszystko, jak to młodzi, chciał przerabiać na swoje kopyto—słowem, w kilka miesięcy, zamaścił i podkopał znośną równowagę życia, jaką sobie branki wyrobiły latami świętej cierpliwości.

Na szczęście, Kałga był chciwy rozgłosu, wrzawy, łupów,—niemógł długo usiedzieć na pasterskim wózku. Świeżo zdobyta w Szkołach znajomość Chińskiego języka, przybywała mu w samą porę; został zaliczony do Sztabu młodych paniczów co mieli otoczyć Kubilaja, i wybierał się na tę pierwszą swoją wyprawę jak do ślubu, dworno, suto, strojnie, nawet z gronkiem niewolnic. Chciał też z sobą gwałtem zabiierać i Elźbietę, jednak Ludmiła zdołała wybić mu z głowy tę ochotę, przedstawiając jak łatwo byłoby wśród rzezi wojennych stracić ową szacowną robotnicę,

na której ręku niejako wisiało jego życie; uwaga trafiła w samolubstwo Kałgi, zostawił zatem niewolnicę przy matce, zabiérajac tylko mnóstwo szat i przyborów, które Elżbieta musiała wykończać co żywo. A roboty stawały się coraz trudniejsze; już to nie były małe, dziecinne sukienki, szyte wedle fantazji robotnicy, ale ogromne chałaty, kaftany i kołpaki, które młodemu zbytnikowi nigdy nie zdawały się dosyć pięknemi; kazał je sobie wyszywać złotem i srebrem, bisiozem i perłami; kazał je dziesięć razy przerabiać. Elżbieta całe dnie i noce siedziała nad szaloną pracą; wzrok jój się nadwierał, powieki czerwieniały, zdrowie słabło, a na nieszczęście nikt niemógł jój zastąpić, nikt niemógł ani w jednym ściegu jój wyręczyć, boć to właśnie jój ręka, i tylko jój ręka, posiadała ową moc magiczną, dzięki której szaty stawały się—jak tam zwano—*zaszamanione*.

Sama nawet świątobliwa Elżbieta strzegła się wszelkiej pomocy. Kiedy Ludmiła, zgryziona widokiem jój znużenia, chciała trochę za nią popracować, i namawiała:

— E..... co tam! Przecież nikt nas nie widzi? Nikt nie będzie wiedział, kto uszył ten kawałek?

Elżbieta, wyrrywając igłę z jój rąk, mówiła:

— Nie, Ludko. Ja tam niewierzę w ich gusła, ani w żadne szamaństwo mojej ręki, ale wiem że wszelkie oszukiwanie jest grzechem. Oni mi zaufali, patrz, nawet mię nie pilnują, pozwalają mi sam na sam pracować przy tobie. Uczciwość po-

winna być uczciwością, czy kto na nią patrzy czy nie patrzy.

I dalej pracowała, tracąc zaognione oczy, a Ludmile oczy także zaczerwieniały się, ale od łez.

Po długich latach ciągłego doskonalenia się w robocie, Elżbieta doszła do istnych cudów haftarstwa, nad któremi nawet niewiasty Mongolskie rozdziawiały usta, choć i one słyneły z wielkiej biegłości w igle. Ale hafty Mongolskie były innego rodzaju; tam wyszywano blaszkami, drucikami, guzami, które tworzyły rysunek luźny, tylko wtłoczony w grubość pilśni lub sukna. Elżbieta, po Europejsku wyszywała *ściegami*, jój rysunek był ze tłem swoim jakoby zrosnięty, i właśnie tłem zrosnięciem zdumiéwał Azjatki. Wprawdzie z początku, wyszywanie jój szło niełatwo, dla zupełnego braku wzorów; ale powoli, zaczęła je sobie dotwarzać z wyobraźni, albo z dalekich przypomnień Zachodu; nieraz gięła swoje wyszycia w rozetty i łuki, zapamiętane z okien lub relikwiarzy gotyckich; nieraz plotła różnofarbne jedwabie i złoto na podobieństwo tych kwiecistych obrzeżeń i tych cudnych inicjałów, jakie z Władziem niegdyś podziwiała w Misselach. Nakoniec, przyszedł jój do głowy pomysł jeszcze lepszy; napatrzywszy się w Azji tysiącznych bransolet, kling i amuletów, na których złotnicy Muzułmańscy umieszczali całe Versety z Koranu, pomyślała sobie:

— Zawstydzają mię te Saraceny..... Czemużby i moje roboty nie miały być modlitwą?

Zaczęła więc łączyć po kilka i kilkanaście inicjałów, tak że głoski, schowane misternie między płataniną gałązek i godeł, tworzyły w koło sukni tajemniczy napis. Tatarzy, patrząc na te szeregi nieznanym sobie, gockich znaków, brali je za proste hafciarskie floresy, a to były wykrzyki wiary i nieszczęścia, rodzaj Aktów Strzelistych zastosowanych najczęściej do miejsca i czasu, jak na przykład:

Öczcze nyebyeski szkrusch balwochffalcz.

albo:

Jesu mili sbałw crzeszezyani snyewoley.

A już co najczęściej wyszywała, to dwie prośby, które dzięki wiecznym pogrożkom Kałgi, najbardziej leżały jej na sercu. Pierwszą:

Swanthę Boze bron Cracova.

Drugą:

Marę y Angely szłscheszczę Jaszya.

I tak syn Arguny ani się domyślał, że na własnych piersiach i rękach nosił modły, przeciwne swoim najgorętszym życzeniom.

Ludmiła nie posiadała się z radości, widząc jak paradował w tych wymownych strojach, i kiedyś szepnęła do ucha przyjaciółce:

— Oj, ktoby to przypuszczał, że moja poważna, dobrotliwa Elżbieta, potrafi swemu wychowankowi płać takie psoty?

— Cóż chcesz? — Odparła tamta. — Niechże ten nieszczęśnik choć suknią się modli. Zresztą..... Kto wie?..... Pan Bóg ma tyle sposobów na wysłuchanie prośb ludzkich!

Nakoniec, stopy pysznych szat zapełniły podróżne skrzynie. Już téż i Kubilaj wyruszał z olbrzymią pompą wodza i Vicekróla.

Kałga, ubrany jak bożyszcze, wsiadł na czarnego rumaka. Matka żegnała go łamiąc ręce, i zaklinając aby się nie narażał—Ajdar żegnał go powtarzając rady wytrawnego wojaka — branki żegnały go uśmiechając się ze szczęścia, a razem truchlejąc na myśl że kiedyś jeszcze wróci. Ha! Bogu dziękować i za tę parę, może kilka lat ulgi.

Drugą wyprawę, Cesarz powierzył także bratu, ale zrodzonemu z innéj matki, Xięciu Hurlagu. Ten, wyjeżdżał z przepychem i solennością,

niewidzianą jeszcze u drugorzędnych Xiążąt; wyjazd ów stał się sławnym w kronikach Karakorumskich.

Wprawdzie, Mangu polecił bratu, ażeby zniszczywszy Izmaelitów i złamawszy Kalifat, wrócił do Mongolji; ale Hulagu miał widocznie przecucie wielkich losów co go tam czekały; jak wiemy z dziejów, nie wrócił; dokonawszy dzieł sobie powierzonych, został w Persji, gdzie założył osobną dynastję, tak zwanych «Mongolów Iranu», która przez lat sto panowała świetnie i prawie samodzielnie, ledwie czując daleką, prawie już legendową, zwierzchność Najwyższego Chaaństwa.

Hulagu wybierał się przez całe dwa lata; bo téż przygotowania były prowadzone ze starannością i przewidywaniem, które chyba do dzisiejszych wojen możnaby przyrównać. Szczegóły tych przygotowań zostały przechowane, i stanowią studium niezmiernie ciekawe. Z nich widzimy raz jeszcze, że Azjaci, jak w niejednej wielkiej rzeczy, tak i w prowadzeniu «regularnych wojen», wyprzedzili Europejczyków, i stali się dla nich wzorem.

Każdemu z panów Tatarskich, który zazwyczaj ze swoich posiadłości dostarczał rządowi dzieściu żołnierzy, na ten raz kazano jeszcze dostawić dwóch ludzi naddatkowych. Z samych tych *naddatków* złożyło się wojsko Xięcia Hulagu, któ-

ry tym sposobem ani o jednego człowieka nie umniejszył wewnętrznej armji państwa. — Dodano mu jeszcze tysiąc inżynierów Chińskich, którzy naówczas byli niezaprzeczenie najpierwszemi w świecie; oni jedni umieli budować maszyny straszliwe, ciskające głązy, proch i naftę. Naprzód wysłany oddział, naprawiał przejścia w górach, mosty rzucał na rzekach. — Wszystkim innym wojskom stojącym po drodze, kazano już *na rok* pierwszej, cofnąć się w kraje głębsze, ażeby pastwiska pozostały nietknięte dla nowo nadchodzących. — W prowincjach Perskich już podbitych, kazano przygotować dla *każdego* żołnierza sto miar mąki oraz pięćdziesiąt miar wina. — W niejakich odstępach, gromadzono wielkie stada kłaczy, ażeby Dwór xiążęcy wszędzie znajdował świeży kumys.

Posłuszeństwo, przezorność, odmierzenie wszystkich etap i nieledwie godzin, nie były rzeczą nową u Tatarów; Temuczyn wyuczył ich tej sztuki. Ale co było nowością, to wszystkie te wygody, gościńce i mosty, wina i kumysy, na które by stary mocarz niezawodnie brwi zmarszczył.....

Jeżeli żołnierz był tak pielęgnowany, jakżeż musiał wyglądać Dwór xiążęcy? Już on nie obozował w czarnych jurtach, ale w namiotach od złota, jedwabiów i puchu. Pełno się tam kręciło tancerek i historjografów, kuglarzy i skarbników.

A dopióróż sam Xiążę! Ten przeważnie był otoczony ludźmi o długich, czarnych szatach, nakrapianych w gwiazdy i różne dziwne znaczki; na

kołpakach mieli talizmany, a w rękę zazwyczaj więgi, albo długie rurki, które czasem do oka przykładali; byli to Astrologowie, bo Hulagu nad wszystko miłował tajemniczą naukę o gwiazdach. Oddawał się téż namiętnie Alchemji, dla której nawet później stracił dużo złota, zdrowia i humoru. Lubił przytém niezmiernie budownictwo, i tylko marzył o stawianiu zaczarowanych pałaców.

Przebóg! Sto lat nie minęło jeszcze od śmierci Dżyngischana, a już niektórzy z jego wnuków zdają się tysiącem lat oddzieleni od dziada. Ha! Sam ich nauczył że trzeba wszystko robić błyskawicznie. Pojętnych znalazł uczniów. Coraz nowe kształty Mongolji rosną w oczach z szybkością Karakorumskich murów. Ale w tym rozroście zbyt pośpiesznym, i odwet dziejowy przychodzi śpieszniej niżli zwykle, i oto, srodze zawojowana Cywilizacja, niby najprzebieglejsza z niewolnic, zaczyna już na dobre zawojowywać swoich panów.

Po dwóch latach nakoniec, Hulagu wyruszył i rozpoczął swój sławny pochód, który był jednym, prawie nieustannym festynem. We wszystkich znaczniejszych Ułusach, zebrane Chatuny wyprawiały Xięciu czarowne przyjęcie. Ze wszystkich miast, wynoszono kwiaty i potrawy na złotych półmiskach, wyskakiwano z tańcami i śpiewami. Co chwila czytamy: «Tu Xiążę przez dni dziesięć biesiadował.....» — «Tam, w rozkosznej dolinie pod Sa-

markandą, wojsko przez dni czterdzieści uczto-
wało.....»

— I cóż? — Zapyta niedowierzający czytelnik. — A potem, tych wszystkich co płasali i wynosili kwiaty, po staremu, w pień wyrznięto?»

Nie, bynajmniej. Kończyło się na objedzeniu okolicy i zawróceniu pięknych główek, a potem..... dalej..... marsz, do nowych stołów!

Któżby powiedział że to pochód Tatarski?

Obraz ten jednak nie podlega najmniejszej wątpliwości; mogliśmy opowiedzieć ów pochód nieledwie dzień po dniu i godzinę po godzinie, bo znamy go nietylko ze współczesnych Kronik, ale i przez mały, bardzo szacowny dokumencik, co się znalazł w Chińskich szpargałach; jest-to *Dzienniczek* prowadzony po drodze przez jednego z pomniejszych oficerków téj armji; bardzo niedokładny, pisany dorywczo, na kolanie, ale pełen nieocenionych spostrzeżeń, i świadczący że to wojsko nie składało się z saméj dziczy, kiedy tacy oto nawet niżsi jego członkowie, bawili się w literackie notatki.

Ciekawych, odsyłamy do Francuzkich Orientalistów, gdzie cały ten Raptularz podany jest w przekładzie. Tu, na wielką naszą żalność, nie może on znaleźć miejsca, jako niepotrzebny do dziejów Elżbiety i Ludmiły.

Jednak, tylko co nie stał się potrzebnym..... Niewiele brakowało ażeby nasze branki pojechały z Xięciem Hulagu do Persji.

Ajdar tęsknił za wojną, i chociaż pokryjomu ruszał ramionami na ten Sztab astronomów i na te bitwy półmiskowe, jednak mówił sobie:

— Przecież jak zobaczą nieprzyjaciół, to zaczęną się bić na dobre?

Prosił zatem Cesarza, aby mu pozwolił wyruszyć z Xięciem Hulagu.

Ale Chaan, który niezmiernie lubił Ajdara za jego żarliwą życzliwość dla Siurkukteni, odpowiedział:

— E..... wiesz co Terchanie, szkoda cię na te postronne wyprawy, żal mi odpuszczać od siebie tak dobrego sługę. Ja także pojedę na wojnę, do Chin; wtedy i ciebie wezmę; ale pierwój muszę się załatwić z uporządkowaniem domowego nieładu, w czém także mi się nieraz przydasz; a potrzeba mi ludzi wiernych, bo jest bardzo dużo do roboty.

Ajdar chcąc nie chcąc został, i nieraz odtąd był powoływany do zmundnych ale zaszczytnych zajęć pokojowych, nad któremi najtejsze głowy państwa, ślęczały po coraz obszerniejszych kancelarjach i biurach.

A rzeczywiście, dużo teraz w tém państwie było do roboty.

Ze wszystkich czterech stron ziemi, tysiące krzyków i zażaleń były jednym chórem pod obłoki; wszystkie ludności zwyciężone, wołały o pomoc do nieba za straszliwe, nazwy niemające nadużycia, jakich się wszędzie dopuszczali wojskowi.

Mangu chciał złe przeciąć jednym zamachem żelaza. Wydał ustawy tchnące niespodzianą, bezgraniczną troskliwością dla ludów ujarzmionych, a zwracające nagle cały rygor przeciw ujarzmicielom. I jaki jeszcze rygor! Niech się tu Grecki Drakon schowa. Jak niegdyś dla podbitych, tak teraz dla Tatarów, nie było prawie innéj kary oprócz kary śmierci. Pewien żołnierz został powieszony za skradzenie *jednéj cebuli*. Tak niesprawiedliwa sprawiedliwość niemogła się utrzymać długo; po kilku krwawych kaźniach, dopełnionych jak zawsze «dla przykładu», stary porządek zaczął cichaczem wracać. Że jednak w dziejach żadne dobre ziarno nie ginie, i ta więc próba nie poszła zupełnie na marne, i zasady przedwczesnéj ludzkości, brzmiące dziś napróżno w Jarlikach cesarskich, odnalazły się w dalszych pokoleniach, których wojny i zabory były już coraz mniej «Mongolskie.»

Nietylko poddani, ale i sam Chaan był srodze odziérany. Długie bezkrólewia, rozdarcia i Rejen-

cje, wprowadziły Skarbiec państwa w rozprężenie, na które Mangu niemógł patrzeć.

Jeżeli ród Ogotaja odznaczał się szaloną rozrzutnością, za to synowie Siurkukteni zostali wychowani w zasadach ładu i przezornego rachunku. Mangu zwłaszcza był niezmiernie rządny, surowy na wszelkie sprzeniewierzenia się i zbytki. Historia zapisała, że nawet żonom swoim zabraniał zbyt kosztownych strojów.

Przyszedłszy do władzy, powiedział sobie że przywróci błogie czasy Jeliu-Czusaja. Rzecz była trudna i miernie się powiodła, jednak w takim czasie i miejscu, wszelka próba, choćby nieudolna, już wzbudza niejaki podziw.

Zająto się lepszym porządkiem opodatkowania. Tysiączne i najdziwaczniej poplątane daniny, streszczono mniej więcej w jeden podatek, w «Pogłówne», którego wysokość została dość misternie przystosowaną do różnych krain, według liczby i bogactwa ich mieszkańców.

Zrzuciwszy z ramion te najcięższe prace, Mangu wziął się do zajęć stokroć sobie miłszych, do uporządkowania spraw duchownych, które mu najbardziej leżały na sercu, bo jak widzieliśmy, ten hieratycznie poważny monarcha, przekładał nad wszystko religijne obrzędy i teologiczne dysputy.

Rad był objąwszy władzę, że będzie mógł uczcić swego ukochanego Namo, co to miał wymowę «słodsza od miodu, płynniejsza od mléka.» Wyniósł go téż istotnie, jak nikogo jeszcze nie wyniesiono w Mongolji; zamianował go Naczelnikiem wszystkich Lamów, kierownikiem duchownym wszystkich Buddystów zamieszkujących państwo, nadając mu przytém chlubny przydomek «Nauczyciela monarchy». Co więcéj, urządził dlań hierarchję, naśladowaną po części z Tybetańskiej, a po części — choć bardzo niezgrabnie — z hierarchji Kościoła Rzymskiego, którym lubił zatrudniać swoją wyobraźnię, choć znał go tylko z mętnych wieści jakie powziął od matki, od nielicznych kupców Chrześcijańskich, i od niektórych jeńców.

Pomyślał téż i o innych wiarach. Różni mędracy i mężowie zakonni, jak Tao-czeng i Ka-yuan, zostali postawieni na czele sekt Chińskich, silnie rozgałęzionych w Cesarstwie.

Nestorjanie także niemogli się skarżyć, nie mieli powodów do żalowania Kujuka. Mangu tak samo stale ich opłacał, pozwalał im stawiać przybytki, śpiewać i dzwonić w tablice spiżowe tuż pod mieszkaniem Cesarakiem, bywał nieraz nawet na ich nabożeństwach.

Te ustępstwa rozbudzały coraz większą przedsiębiorczość u Chrześcijan wszelkich odcieni. Zbiegało się na Dwór Chański mnóstwo najprzeróżniejszych nawracaczy; z Armenji, z Syrii, z ziem

Ruskich i Greckich, ciągnęły jakieś osobliwsze figury, popi nie popi, pokutnicy i anachoreci, jakich Europa już wówczas nie widywała. Trafiali się między niemi ludzie dobrej wiary, myślący szczerze o ratowaniu Chrześcijaństwa i zbawieniu pogan, ale ci byli rzadcy. Po większej części, gromadził się tam stek awanturników, szukających pod płaszczykiem religji, własnej korzyści, zaszczytów i rozgłosu.

Bo téż przyznajmy: nadzieja nawrócenia takiego mocarza jakim był Wielki Chaan, mogła niejedno gorące serce rozpalić, niejedną bujną głowę zawrócić. A nadzieja ta nie wydawała się tak płonna jak nam się wydaje dzisiaj.

Wszyscy ci opowiadacze wiary, znajdowali na Dworze gościnność bardzo zachęcającą; wprawdzie ta gościnność była dosyć twarda i pozbawiona wygod, ależ sami krajowcy nie żyli mićciój ni wygodniój? Za to wygadać się i wymodlić można było ile tylko kto pragnął. Chaan przyjmował wszystkich z wielką jak na Tatara grzecznością, wysłuchiwał wszystkich z cierpliwością której niemożna dosyć napodziwiać, zwłaszcza gdy się wspomni, na jakie próby ta cierpliwość bywała wystawiana.

I tak, — że tylko jeden przykład przytoczymy, — pewien Kleryk Syryjski, Teodul, który każał się nazywać bardziej rycerskiem imieniem Raj-

munda, zabrał z sobą jakieś pięknie grające organki, i przebiegając z niemi Azję, przywędrował aż do Karakorumu. Tam przedstawił się jako Poseł od króla Franków Molera, (?) przytém oznajmił że wiezie listy z nieba, pisane złotemi literami, które Pan Bóg sam kazał oddać pod adresem Wielkiego Chaana Mangu.

Chaan, z tym uśmiechem Tatarskim, w którym niewiadomo co przemagało, ironja czy dobroduszość, rzekł:

— Jeśli nam przywozisz listy od twojego Boga i Pana, to bądź jak najmiléj pozdrowiony.

Potém pytano:

— Gdzież tedy owe listy?

— Ach, gdzie? To właśnie fatalność!..... Były razem z innemi rzeczami przytroczone do tego konia warjata, co na drodze urwał się i uciekł w góry.

— Trzeba konia odszukać.

Szukano, szukano, i nie odszukano, co i nie dziwota; w Azji gór dużo, i dużych.

Szkoda.

Ale jeżeli wieści z nieba przepadły, za to poseł-kataryniarz miał dobre wiadomości z ziemi.

Wedle jego zaręczeń, pocziwiec król Moler niezmiernie kochał Chaana, wybierał się nawet z hołdem osobiście do niego, tylko te łotry Saraceny zastąpiły mu drogę. Żeby nie ten ród jaszczurczy, to całe Chrześcijaństwo jużby dawno przystało do Chaana.

Mangu, na wszelki wypadek, wybornie posła przyjął, ugościł, obdarzył, i pytał go, czy podejmie się przeprowadzić Poselstwo Tatarskie do Molera i do Papieża?

Teodul, nie grzeszący nieśmiałością, podjął się wszystkiego z tęgą miną.

Chaan tedy kazał przynieść łuk niezmiernie wielki, oraz dwie strzały o nagłówkach srebrnych, dziurkowanych, wydających w locie przeraźliwe świsty, i rzekł do Mongoła którego wysyłał w poselstwie:

— Z tym oto człowiekiem pojedziesz do króla Franków, i ofiarujesz mu te rzeczy odemnie. Jeżeli zechce żyć z nami w pokoju, wtedy podbijemy ziemie Saracenów aż do Frankskiej granicy, a resztę ziemi aż do zachodu słońca jemu zostawimy. Jeśli nie, wtedy odniesiesz nam ten łuk i strzały, a jemu powiesz aby sobie zauważył, że z takimi łukami potrafimy strzelać daleko i celnie.

Słowa te są bardzo ciekawe: pokazują dowodnie nowy, cywilizowańszy kierunek polityki Mongolskiej; dzisiejszy Chaan już nie mianuje się jak nadęty Kujuk «panem wszystkich ludzi», ale pozwala w nieograniczonej swój dobroci, aby prócz niego istnieli jeszcze jacyś inni władcy pod słońcem, i oto przystaje na ustąpienie Zachodu Molerowi, byle ten mu zostawił ziemie Saracenów.

Teodul więc, otrzymawszy złotą paizę, wyjechał bardzo dwornie z onym posłem, obiecując sobie, wedle słów kroniki, — «że Papieża i naszych

królów oszuka tak dobrze jak oszukał Chaana.»— Można téż pojąć z jaką skwapliwością musiał po drodze korzystać z owéj paizy, jak suto musiał się przy niéj obłowić. Cóż kiedy przed końcem komedji, maski się niezręcznie rozwiązały i spadły! W Bizancjum, ów Mongoł poseł od Chaana, rozchorował się i umarł; jedni mówili że z przypadku, drudzy mówili że z naprawy swego przewodnika, który niewiedział już daléj co z nim robić, i wysłał go na tamten świat, po drugie wydanie owych listów z nieba. Jeżeli przypuszczenie było prawdziwém, Kleryk źle sobie poradził, bo właśnie ta śmierć podejrzana zwróciła uwagę policji Carogrodzkiej; zaczęto pytać, badać—wykryło się oszukaństwo — i Cesarz Grecki kazał uwięzić Teodulę Rajmunda, a świętę Posła Tatarskiego i złotą paizę odesłał uczciwie do Mongolji, razem z wyjaśnieniem sprawy, która musiała Chaanowi być bardzo bolesną.

Nie dziwny się jego łatwowierności; monarchowie Zachodu wpadali w takie same pułapki. Przed laty kilku, dwóch filutów, Marek i Sabledin Dawid, zgłosiło się znów odwrotnie do króla Molera, czyli do Ludwika IX-go, przywożąc podobne listy od Chaana Kujuka, gdzie tenże oświadczał się z wielką przyjaźnią dla monarchy Franków. Zaręczali przytém że Chaan jest

ochrzczony. Król Francuzki, królowa Blanka, Legat Papieżki, co żyło ucieszyło się niewymownie. Łamano sobie głowę, czém-by tu okazać wdzięczność za ten dowód pamięci, czém ująć tak niespodzianego i pożądanego sojusznika? Posłowie dali do zrozumienia, że dla nowo-nawróconych najpotrzebniejszymi byłyby piękne sprzęty kościelne. Posłano więc przenośną kaplicę, w kształcie namiotu szkarłatnego, gdzie były cudownie wyhaftowane głównejsze sceny z Ewangelji; przytém kielichy, xięgi i ubiory kapłańskie. Francja wystąpiła, jak to ona umie. Dawid i Marek byli tak czelni, że z kilku Dominikanami, wiozącemi tę kaplicę i serdeczne listy, wyruszyli do Karakorumu. Nim jednak tam dociągnęli, już Chaan Kujuk nieżył. Rządząca 'naówczas Rejentka Ogul-Gajmisz, przyjęła dary z niejakiém podziwieniem, ale i z niezmierną radością, jako dobrowolny haracz od nowego lennika, i w tym duchu przesłała odpowiedź bardzo dumną, nakazującą królowi Franków aby niezwłocznie stawił się z osobistym hołdem, co znów przejęło boleścią zacnego Ludwika, który — według Joinville'a — «se repentit fort, quand il y envoya.»

Niesłychane przestrzenie, trudność dróg, i niedokładna znajomość języków, czyniły wówczas możebnemi podobne nieporozumienia. A przytém,

w owych wiekach działy się istotnie takie dziwne rzeczy, że już ludzie o niczém nie wątpili.

Oto i teraz, przed kilku miesiącami, pojawił się na Dworze Mongolskim, człowiek niewątpiący o niczém, jakiś niby Mnich Ormjański, Sergjusz; ten już nie listowne ale ustne miał z nieba polecenie. Mieszkał długo jako pustelnik w okolicach Jerozolimy, i tam Pan Bóg przemawiał do niego trzykrotnie, rozkazując aby szedł i nawracał monarchę Tatarów, a w końcu zagroził mu nawet ciężką śmiercią, jeśli będzie odkładał wypełnienie rozkazu. Więc pustelnik puścił się w drogę, i oto stanął przed Chaanem, który swoim zwyczajem przyjął go wybornie.

— A i owszem, dziadku — módl się za nas — błogosław nam czarę — nigdy za wiele błogosławieństw.

Mógł się też Sergjusz podobać poważnemu władcy; wyglądał nadzwyczaj ascetycznie; dzień spędzał na modlitwach, a noc na pokutach; szepłano sobie nawet że przez całe miesiące nic nie jada. Z tém wszystkiém, chętnie przyjmował su-te dary od Chaana i od różnych członków rodziny Cesarskiej, bardzo hojnej dla wszelkich bogomolców. To też wkrótce urządził sobie prześliczną kapliczkę, z którą ciągle woził się za Dworem, u biegłych cieśli zamówił krzesło podobne do tro-

nu Biskupiego, a nakoniec kazał sobie zrobić czapkę i rękawiczki z piór pawich, w których tak osobliwso wyglądał, że nawet Azjaci—choć przywykli do dziwnych strojów — stawali przed nim w osłupieniu.—Posłyszał też o Tatarskiem Rumbabarum, którym Jeliu-Czusaj przemądrze ludzi leczył; zaczął więc i on robić wywar z téj rośliny, moczył w nim godzinami złoty krzyżyk, a potem dawał ów gorzki napój wszystkim chorym, jacy tylko w ręce jego wpadli. Jedni uczuwali się lepiej, drudzy dużo gorzej, w każdym jednak razie gwałtowne działanie tego leku zdawało się ciemnym tłumom rzeczą nadprzyrodzoną, pustelnik roś w owczarską sławę u pogan, a Chrześcijanom od tygodnia do tygodnia obiecywał, że na przyszłą Niedzielę ochrzczi Wielkiego Chana.

Co było najdziwniejsze, to że i duchowni Mahometkańscy żywili ciągle równie krzepką nadzieję.

— On już wierzy w Proroka — powtarzali — tylko jeszcze mu żal wina..... za miesiąc lub dwa się namyśli.....

A już co Lamowie, to byliby głowę dali, że jutro, pojutrze, Chaan pokłoni się przed Buddą.

— On już jego czci w sercu, — mówili — to widoczne, kiedy założył osobny Mongolski Lamaizm?

A na to Szamanie, ruszając ramionami, szep-
ptali:

— Niech sobie tamci co chcą prawią, my
wiemy że Chaan całą duszą nasz!

Tymczasem Chaan tylko się uśmiechał.

Podobny do zalotnej kobiety, co tak sztucznie
umie rozdzielić spojrzenia i półsłówka, że każdy
z jej wielbicieli ma się za wybranego, Mangu na
wszystkie wiary spoglądał z uśmiechem, a żadnej
nie wybierał.

Po co mu wybierać? Po co nakładać sobie
dobrowolne pęta? Ach to tak wygodnie być wy-
znawcą wszystkich religji! Czego jedna zabrania,
na to druga pozwala, tym sposobem wszystko
pozwolone..... Wszechwyznaniowiec najbliższym
jest podobno krewniakiem bezwyznaniowca.

Bądźmy jednak sprawiedliwemi: Mangu nie
doszedł do bezwyznaniowości, -- co dziwniejsze,
mimo swojej zawrotnej potęgi, nie popadł w sza-
leństwo Nabuchodonozorów ani Cezarów Rzym-
skich, nie kazał się «ubóstwiać.» — Nie, — Chaan
Mangu, z łaski swojej, uznawał nad sobą Najwyż-
szego Tangri.

— Tak, — ale téż nikogo więcéj, prócz jednego Tangri.

Cała jego teologia zawierała się w tém orzeczeniu:

«Na niebie jeden Bóg — na ziemi jeden Chan.»

Wszelkie religje uważał za rzecz pożyteczną a nawet nieodzowną dla zwyczajnych ludzi, którzy muszą przecie żyć pod jakimś prawem, ale on, postawiony między niebem a ziemią, on był wyższy nad wszelkie prawa.

To téż śmiesznie w oczach jego wyglądali ci wszyscy poczciwcy, którzy troszczyli się o jego duszę. Już on tam o nią się nietroskał. Dusza takiego Chaana, to rzecz nazbyt rzadka i drogocenna, aby sam Tangri nie miał o niej pomyśleć. Można być spokojnym.

Za to miał inne troski — nieodłączne od swojej podniebnej posady. Mangu był pożerany coraz większą a większą żądzą chwały. Passja to nie-naganna, i która wiele już pięknych wydała owoców. Mangu chciał robić wielkie rzeczy — same wielkie rzeczy — i to zawsze tylko takie jakich nikt jeszcze nie robił. A to nie łatwo! Cóż nowego pod słońcem?

Troski monarchy odbijały się często i na jego dworzanach. Oto i teraz, odbiły się ciężko na Mistrzu Wilhelmie, który od niejakiego czasu był trawiony jakąś tajemniczą zgryzotą.

Cóż mogło go tak dręczyć, i to właśnie teraz, kiedy Fortuna zaczynała mu się najpyszniej uśmiechać? Od chwili jak syn Xiężny Siurkukteni zasiadł na tronie, i miły jój Mistrz Wilhelm wypłynął na szczyty. Został nietylko Złotnikiem Nadwornym, ale i ulubieńcem Dworu. Wszystkie Chatuny, wszyscy Dygnitarze, dobijali się o najmniejszy wyrób jego ręki, przepłacali z Azjacką bajecznością, byle dostać jeden z owych filigranowych naszyjników, jedną z owych Gotyckich skrzynek, jakimi dawniej pogardzano. Teraz «gust Frankski» zapanował wszechwładnie nad brzegami Bajkału. Teraz Paryżanin miał całe miasteczko wozów, całe gromady robotników, i tak opływał w pomyślności, że chwilami zapominał iż jest niewolnikiem.

A jednak od pewnego czasu, Mistrz nieraz siadywał dziwnie zatroskany, i niekiedy nawet miał oczy pełne przerażenia, jak człowiek co stoi nad przepaścią.

Wprawdzie ta troska była przeważnie artystyczną, ta przepaść była to wewnętrzna otchłań

jego twórczości, do której zaglądał i zaglądał, oczekując na pojawienie się myśli genialnej.....

Ale myśl niechciała wypłynąć, otchłań pozostawała ciągle czarną i pustą, a Mistrz rozpaczał i truchlał — ach bo od jednej owój myśli, zawisło dla niego — wszystko.

Najprzód — nieśmiertelność imienia. Jednym z najbardziej dojmujących cierpień, jakie w początku niewoli trapiły artystę, było przekonanie, że dar wydzielony mu od Boga, zmarnieje w pośród barbarzyńców, że jego imię nigdy już nie zostanie powtórzonem w ojczyźnie. Potem, ze swoją stalową sprężystością ducha, powiedział sobie:

— Otóż nie! Właśnie, na złość losom, zrobię rzeczy takie piękne, ale to takie piękne, że sława ich napełni całą Azję, przeleci wszystkie góry i wody, i póty będzie brzmiała po świecie, aż złotem echem odbije się o mury mego serdecznego Paryża!

I oto, jakby na znak że losy zostały przeblą-gane, przedstawiała się teraz właśnie sposobność, do spełnienia tych wszystkich marzeń.

Cóż, kiedy przedstawiała się tragiczniej niż artysta pragnął?

Tu chodziło dla niego nietylko już o sławę, ale i o głowę.....

A co jeszcze straszniejsze..... gdyby on zawinił, gdyby on dał głowę, natenczas — obyczajem téj krainy — i żona i dzieci, i wszystko co mu drogie, popadło by także pod Tatarską pomstę.....

A całej téj zgryzoty napędził mu Chaan.

Pewnego południa, kazał go zawołać przed swoje oblicze. A gdy złotnik, padłszy na ziemię, dziewięć razy czołem uderzył, w niezmiernéj swéj łaskawości pozwolił mu powstać, i tak własnemi ustami do niego się odezwał:

— Słuchaj, ty rozumny człowiecze. Piérwszy Wielki Chaan, Temuczyn, mój dziad niezrównanéj pamięci, zrobił Cesarstwo Mongolskie. — Drugi Wielki Chaan, mój stryj Ogotaj, niemógł zrobić takiej wielkiéj rzeczy, bo już była zrobiona. Ale w tém Cesarstwie wybudował stolicę, a w téj stolicy postawił pałac, gdzie ja rad każdéj wiosny mieszkam. — Trzeci Wielki Chaan, mój brat po stryjcju, Kujuk, zastał już wszystko tu gotowe. Jeszcze jednak cóś nowego wymyślił. Kazał sobie zrobić tron, jakiego pierwéj nikt nie widział, na którym ja siedzę i potomkowie moi będą siedzieli do skoń-

czenia świata.—Otóż ja, czwarty Wielki Chaan, chciałbym także zostawić coś takiego, coby rozsławiło na zawsze moje panowanie. Poradź mi, rozumny człowiecze.

— Może-by — zaczął złotnik — zrobić piękną koronę, w rodzaju tych jakie u nas noszą królowie?

— A jakże to wygląda, ta wasza korona?

— To jest obręcz złota co się na głowę kładzie, wycinana w listki albo strzałki, nabijana we wzory z różnobarwnych kamieni.

— I gdzież ja tę koronę włożę? Na kołpak? On już cały okryty kamieniami, on sam jest jak dziesięć koron. A przecie kołpaka nie zdejmę.

— To prawda. Więc może by zrobić berło? Takie naprzykład jakie ma król Franków? U niego jest przesłiczna laska, ze złotym kwiatem u wierzchu. Albo takie jak ma Rzymski Cesarz? Tam znów na lasce jest otwarta ręka.

-- E..... co mi tam po tych laskach i kwiatkach? Ja niechęcę się tak samo nosić jak wasi królowie, jeszcze by powiedzieli że się od nich uczę. Zresztą, czy to ja pastuch, abym chodził z kijem? Nie, wymyśl co innego..... Cóż takiego, czego-by nie posiadał jeszcze żaden monarcha w świecie. Pamiętaj: żaden! — Możesz odejść, i nie pokazuj mi się na oczy, aż wynajdziesz w głowie coś mądrego. A jeśli to co wynajdziesz,

mnie się niepodoba, to i głowy nie wyniesiesz ztąd na karku.

Taki był koniec rozmowy z Chaanem.

A teraz, któżby się mógł dziwić, że Mistrz Wilhelm siadywał zamyślony?

Jeszcze raz gołąb'.

Rok 1253-ci, był dla naszych branek dwunastym rokiem niewoli. Lata szły ciężko — coraz wydawały się chmurniejsze.

Jednakże z końcem tego roku, Elżbieta dziwnie poweselała. Kilkokrotnie mówiła do Ludmiły:

— Mam przecucie że coś dobrego się zbliża..... Dwanaście, to liczba święta, liczba dobrowieszcza. No zobaczysz,— ten rok nowy przyniesie nam jakieś nowe zmiłowanie boże.

I łamały sobie głowę, z kąd przyjdzie, i jakie to będzie owo zmiłowanie? I nic niemogły wymyślić. Ołowiany widnokrąg ich życia, zdawał się zewsząd zamknięty na zawsze.

Według corocznego zwyczaju, przez pierwsze wa miesiące roku, tabory Ajdara koczowały po

najpołudniowszych, najmniej zimnych częściach Mongolji. Ale w Marcu zaczęto powoli wracać ku północy, ażeby na pół-Kwietnia stanąć w Karakorumie, i tam już razem z całą magnaterją Tatarską, czekać na przyjazd Cesarza, który zwykle w pierwszych dniach Maja przybywał do stolicy.

Po drodze, spotkano się właśnie z olbrzymiemi taborami Chaana, odprawiającego zimowe leże w okolicy stosunkowo przyjemniejszej, zaciszoniej od północy pasmem gór Karakorumskich.

Obóz Cesarski był jeszcze bardzo daleko. Żadne oczy, nawet najbystrzejsze Tatarskie, nie mogły jeszcze dojrzyć ludzkich siedzib na ziemi, a już ich obecność zdradziła się na niebie. W nocy, po jednej stronie widnokregu, zafalowała dygocąca luna; odbłaski jój, latały różowemi pręgami po niezmiernych śniegach krajobrazu.

Cała karawana wyległa przed jurty i wozy, dla przypatrzenia się zjawisku; niektórzy twierdzili że to Zorza Północna, inni że step się gdzieś pali. Ajdar słuchając, ruszył ramionami.

— Wszystko nieprawda. — Mówił. — Ja znam się na tém. Zorza, gdy gore, to nie taka dymna. Step nie zapala się pod śniegiem. To jakieś kocowisko, ale strasznie wielkie; to nie dziesiątki, ale setki a może i tysiące ognisk. To chyba Wielki Chaan.

Rano, kilku ciekawszych poleciało przodem, i wkrótce wróciło z wiadomością, że istotnie widać coś w oddali, ale coś niezwykłego; to nie namioty ani wozy, to coś jakby stały budynek; niski -- a długi, długi -- bez dachu ni okien -- cały szary. -- Co to może być? W tym kraju nigdy nie widywano żadnego budynku.

Ludmiła, znudzona jednostajnością koczowania, chciwa nowych wydarzeń, a choćby tylko nowych twarzy, wybiegła z izdebki ciągnionej przez woły, dosiadła konia, i wzięwszy małą świtę, pocwałowała naprzód, aby zobaczyć co to tam «niezwykłego?»

Spostrzegła, nie budynek, ale przestrzeń otoczoną wysokim ostrokołem. Co kilkanaście kroków, stał oparty na łuku żołnierz, a przy wielkiej, zatarasowanej bramie, aż roiło się od groźnej straży. Z po-za parkanu dolatywały jakieś kucia, brzęki, mieszanina głosów, i szum jakby w ulu.

— Co to takiego? — Zapytała. — Czy niemożna tam wchodzić?

— Niemożna. Chańska robota. — Odpowiedział naczelnik straży.

— Co to jest: «Chańska robota?» Puście mnie -- ja żona Terchana -- mnie wszędzie wolno wchodzić.

Mówiąc to, wesoło zsiadła z konia, a jój niewolnicy, chcąc usłużyć pani, zaczęli rozpychać strażę, i chcieli koniecznie kołatać do bramy.

Na odgłos téj sprzeczki, jakaś ręka z wewnątrz uchyliła furtkę, i wyrzał kto? Filipek, a raczej Filip, młodzian już dorosły i na twarzy dorodny, ale w ubiorze poplamionym, z rękami zbrukanemi, jak człowiek oderwany od jakiejś ciężkiej pracy.

Oboje ucieszyli się do siebie niewymownie, serdecznie. Każde spotkanie z przyjaciółmi bywa miłe w podróży, a cóż dopiero na wygnaniu, i jeszcze na pustyni! Filip klaszcząc w ręce, podskakując jak tancerz, zaczął krzyzcć:

— Papa! Papa! «Dame Ludomille» przyjechała! Chodźcie tu! Prędko! Prędko!

Nadbiegł Mistrz Wilhelm, w fartuchu ze zrudziałej skóry, także zamorusany, ale z twarzą promieniejącą. Wieczna niebieska czapka spadała mu na ucho, w poczernionych rękach trzymał spory liść srebrny, podobny do liścia dębowego.

— A zkąd wy tu, piękna damo? A to spotkanie! A to gość!.....

— My? Jak zawsze, z koczowisk zimowych, ciągniemy do miasta, powolutku, wołami. Ale wy, co tu robicie? Czy to więzienie, czy co?

— Nie, to mój warsztat.

— Ach, już wiem! Wy tu robicie to wielkie dzieło dla Chaana?

— Jakto? Wy już wiecie?

— A któżby nie wiedział? W całej Mongolji ludzie o niczém nie gadają, tylko wciąż o tym jakimś cudzie świata, który macie zrobić dla Chaana.

Twarz złotnika rozjaśniła się jeszcze promienniej.

Filip również uśmiechał się, i potwierdzał:

— Tak, tak, to będzie rzeczywiste чудо. Po prostu, arcydzieło.

— I cóż to będzie? Pokażcież mi.

— Niestety! Niemogę. Chaan wyraźnie powiedział: «Niepokazuj nikomu, aż będzie skończone, aby kto nie urzekł złém okiem.»

— Aha, więc to dla tego tutaj tyle straży?

— Po części tak, dla niewpuszczania ciekawych,—ale jeszcze bardziej dla pilnowania naszych skarbów, bo tu jest nawalone kruszców drogich jakgdyby w kopalni. Samego srebra Chaan dał trzysta Jaskottów, no — i złota niemało.....

— I cóż wy z tego wszystkiego zrobicie? Czy i powiedzieć niewolno?

Zakaz Chański nie musiał sięgać tak daleko, bo złotnik się zawahał.

Było może roztropnieją milcząć, ale ta żądza podzielenia się swemi myślami, co zawsze trapi artystę w nurtującym czasie twórczości, rozrywała piersi Wilhelma.

— No, to dobrze..... Wam się zwierzę, ale pod «sekretem», nieprawdaż?

— Nie powiem nikomu—tylko jednej Elżbiecie. Już co dla niej, to niemożę mieć «sekretu.»

— Niechże i tak będzie. Wy obie, zacne damy, zawsze stoicie w moich oczach i w mojej cześci nierozłączne, jak te wiązane kolumneczki, co to niby dwie, a przecie jedna. — Słuchajcież tedy..... Ale jakże to być może, ażeby piękna dama stała? Chłopcze, skocz-no po jakie «scabelum.»

Filip skoczył—Wilhelm zwrócił się z rozkazem do przechodzącego robotnika—furtka przez chwilę pozostała pusta —branka zapuściła ciekawe spojrzenie w głąb' dziedzińca. Były tam nietylko domki na kołach, ale i tymczasowo pobudowane szopy, gdzie płonęły z hukiem kuźnice, — i szałaszy zawalone mnóstwem pak, zawiniątek, narzędzi, z pomiędzy których migały rzeczy dziwne, świeciste. O..... tu zaraz przy furtce, wygląda z budy jakaś bestja srebrna, ze łbem osobliwszym, skołtunionym olbrzymią grzywą. Dalej, z pod rozpiętej płachty, sterczy pozłocista gałąź. Wszędzie kręcą się ludzie osmoleni jak czarty, przenoszący jakieś przedmioty o nieodgadnionych kształtach.

Krótki był przegląd Ludmiły, Filip już wra-

cał z kulawym zydelkiem; niewolnicy rzucili się do usług, jeden podparł siedzenie drewnem, drugi nakrył je swoją burką. Ludmiła siadła pod parkanem, a Wilhelm stojąc u progu, mówił do niej półgłosem:

— Dużo ja się nagryzłem, bo ta sprawa groziła ni mniej ni więcej tylko tém.....

To mówiąc, rękę położył na gardle.

— Więc modłę się, — do Świętego Djonizjusza, niepomaga — do Świętego Eligjusza, nic — do Świętego Grzegorza z Tours, nic — dopiero jak zrobiłem ślub do Świętej Genowefy — przebóg! jest! Jest cudowna — wybawcza myśl! A za nią i druga, i trzecia, i dziesiąta, jak zaczną się sypać, to jak te gwiazdy pod wieczór; póki niema żadnej, to żadnej — a potem od razu, krocie i tysiące niewiedzieć z kąd się biorą. — Więc powiedziałem sobie tak: — Najważniejszym zajęciem Chaana, kiedy siada na tronie, jest picie kumysu, wina i różnych innych trunków. Owóż, czy to rzecz przyzwoita, by do tak wielkiego władcy wnoszono bukłaki, a choćby téż i dzbany, jak do gospodarza pierwszej lepszej jurty? Czy to nie wstyd? Powiedziałem Chaanowi: «Kumys powinien sam płynąć do stóp twoich, i to na twoje skinienie.» — Chaan był tym słowem bardzo rad. — Więc ja tedy robię fontannę, która będzie wyrzucała nie wodę, ale kumys i wino, te dwa najszlachetniejsze napoje. A nie będzie ich wyrzucała ciągle, ale tylko jak Chaan zechce. — Uważajcie tedy: to będzie drzewo — całe srebrne — niby «Drzewo

życia.» — Pod niém siedzą lwy. — Na niém wiszą węże. — Wyżej, kwiaty, ptaki, tysiąc rzeczy, dobrych i złych, słowem: cały świat. — A nad drzewem, Anioł—wola boża—wszystkiém rządząca.

— I gdzież wy to postawicie? — Zapytała Ludmiła. — Na estradzie? Na tym stoliczku co stoi przed Chaanem?

Złotnik uśmiechnął się, w pół z ironią, a w pół z obrazą.

— Na stoliczku? Ależ — łaskawa damo — to będzie drzewo takie jak prawdziwe drzewo, i to jak drzewo porządne. To będzie wysokie, naprzykład..... jak dwa razy ten parkan, jeżeli nie więcej.

— Nie może być!..... I gdzież to będzie stało?

— W sali, naprzeciw tronu, w téj głównej nawie co zwykle jest pusta. Gałęzie będą sięgały od słupów do słupów, a już co Anioł, to będzie sięgał nieledwie do stropów.

Branka złożyła ręce z podziwienia.

— I to wszystko będzie ze szczerego srebra? Ze szczerego złota?

— A już co to, to nie. Musiałbym chyba zrabować cały Skarbiec Chański. To będzie z blach rozmaitych—Drzewo, całe grubo powleczone srebrem—zwierzęta i kwiaty, złotem—Anioł, pół srebrny, pół złoty. — I tak, wypadnie koszt bajeczny. U nas w Europie, nigdy bym się nie odważył na podobne dzieło, bo i nie znalazł-bym króla coby za nie zapłacił, i ludzie by się może jeszcze śmieli.....

A to jednak będzie piękne, ach niezmiernie piękne.....

Tu oczy mu powilgotniały od wzruszenia.

— A co najcudowniejsze,— mówił dalej—to że to wszystko będzie żyło. Anioł będzie grał na trąbie.

— Żartujecie, Mistrzu.....

— Nie żartuję. Posłuchajcie: Jak Chaan skłonie rękę, choćby tylko małym paluszkiem, zaraz Anioł zatrąbi.

— Jakim cudem?

— Oto takim..... to będzie bardzo sztuczne. We wnętrzu pnia, poumieszczam różne flety i miechy, coś nakształt organu. Jak tylko Chaan wzniesie rękę, ja dam znak umówiony; wtedy moi ludzie, ukryci pod piedestałem, zaczną dąć w miechy, i muzyka prześliczna będzie wychodziła przez anielską trąbę. A po chwili stanie się cud nowy: osiem strumieni kumysu i wina, wytryśnie z paszczek lwich i smoczych.

— A zkądże znowu te napoje się wezmą? Czy i one będą w samém Drzewie?

— Ale, gdzież znowu? Nigdy by się tam nie pomieściły. W ogrodzie Cesarskim, tuż pod pałacem, jest grotka kafelkowa; tam kazałem zrobić dwie olbrzymie kadzie, niby dwie sadzawki, na kumys i na wino. Od tych sadzawek będą szły rury, które przeprowadzę przez gałęzie, aż do owych paszczek. Skoro tedy ludzie umieszczę-

ni w grocie, posłyszają anielskie zatrąbienie, zaraz odkręcą kurki, trrrraf..... i osiem źródeł tryśnie. A co?

Słuchająca była odurzona.

— Cuda..... cuda.....—Powtarzała.—I to wszystko jeden człowiek wymyślił i zrobił! A dużo też macie ludzi do pomocy?

— Dobrych robotników, pięćdziesięciu. Chaan z całego Cesarstwa pospędzał ich dla mnie; wybrałem sobie pomiędzy jeńcami co było najlepszego ze złotników, płatnerzy, nawet i z mistrzów ślusarszczyzny. Mam kilkunastu naszych ludzi Chrześcijańskich; ci najlepiej rozumieją czego ja chcę po nich. Mam i Saracenów, z Damaszku, z Bagdadu, z Samarkandy; ci jakoś inaczej robią niżli my, ale ładnie, już co prawda to prawda. Prosiłem także o kilkunastu Chińczyków, bo to naród wyborny do wykończania mniejszych rzeczy. Naprzykład: jeśli dam Chińczykowi taki oto listek, to mi zrobi sto podobnusięńkich, ale to tak podobnych, że już mego własnego między tamtymi nie rozpoznam. A niech ja w tym listku zrobię coś krzywo, źle, to i w tamtych stu innych będzie krzywo i źle, aż śmiech pusty bierze. Nie wiem cobym począł z całym drobiazgiem roboty, gdybym niemiał takich cierpliwców, bo to tych liści jest istne zatrzęsienie.....

— Naprzykład, ile?

— Tak coś..... około dziesięciu tysięcy.

Ludmiła wzięła się za głowę.

Już nowe pytania stawały jéj na ustach, kiedy z głébi dziedzińca doleciał ją głos dobrze znany.

Sapiąc, pokasłując, pałką się podpiérając, nadbiegał powolutku Mistrz Kuźma.

O zmienności losu! Ze śmiercią Kujuka, i Kuźma stracił owo pyszne stanowisko na Dworze. Teraz on wieszał się przy swoim dawnym pomocniku. Ale zmiana Fortuny nie martwiła go wcale; przeciwnie, radował się pomyślnością przyjaciela, więcej niżli własną.

Co mu dokuczało, to że niemógł już rękami tak machać jak dawniej, że niemógł już oddychać pełną piersią; ów olbrzym chudł i niknął niemal codzien; na jego twarzy niegdyś pulchnéj, teraz wisiały puste fałdy; w oczach niegdyś krotochwilnych, coś przeświecało jak zmarznięte lzy.

W téj chwili jednak, przeblysk wesołości wrócił mu na usta.

Biegł ciężko i wołał:

— Co ja słyszę? Pani Terchanowa! Pani Ajdarowa! Ach, co za radość! Niechże ja ucałuję te śliczne Polskie rączki, niechże ja posłyszę nasze Polskie słówko!

I całował rączki «pani Terchanowéj», która mu się przyglądała z ukrytém zasmuceniem.

— O..... To moja najdzielniejsza pomoc! To moja prawa ręka!—Mówił Buchier, klepiąc przyjaciela po ramieniu.

— Ej, nie gadałbyś bratku. Właśnie też tobie trzeba ręki! Niby niemasz własnej? A co to za ręka! Ach, pani Ludmiło, co to za głowa! Jaki ja rad że nakoniec ludzie się na nim poznali, że przecie on teraz górą! Każdej gębie flasza po kolei. A nawet—Bogiem a prawdą—jemu się cała flasza już od samiuchnego początku należała. Ja zawsze gadał: To mistrz prawdziwy — a ja przy nim, to gruby kowal.

I zaczął na swój sposób rozpowiadać Ludmile cuda o Drzewie, i o węzach, i o muzyce anielskiej. Ale niedługo mu pozwolono gadać; za chwilę nadbiegł chłopak, wołający:

— Ojczulku, chodźcie jeść! Garnek stygnie.

— Daj mi pokój—nie głodzien ja.

— Ależ jédz, mój bracie. — Nalegał Wilhelm.—Kazałem dla ciebie zrobić prawdziwy «pot-au-feu.»

Kuźma pokiwał głową, i podczas gdy tamten dawał chłopcu jakieś polecenie, on szepnął do Ludmiły:

— Złoty człowiek! Dobrze mi tu jak u Pana Boga za piecem, ale już co tego ich «potofu» to nie mogę znosić..... to nie po naszymu..... nie.....

I odszedł, dysząc i wzdychając, — a Buchier otarł oczy rękawem.

— Boję się o niego.....—Mówił.—Co mogę, to robię—dogadzam—zabawiam — czasem umyślnie dla niego każę chleb wypiekać. Ale co to pomoże? On tęskni wciąż za *swoim* chlebem, za swemi polami, za tą jakąś waszą zupą, co się tak dziwnie nazywa jak u nas «dzień», le *jour*.—Ach, gdybym go miał stracić, to jakby mię kto na wpół przeciął.....

— E..... Bóg przecie go zachowa.—Pocieszała Ludmiła. Poczém, podniosła się i rzekła:

— Ja tu precz gadam, a na was tam czeka i obiadowanie i robota. Niechże Bóg szczęści! Oby tylko wszystko się udało!

— Udać się uda, moja damo. Ja boję się o co innego.....

— O co?

— Czy na czas wydażymy? Bo to z temi Tatarami wszystko zawsze idzie pod groźbą. I tutaj Chaan powiedział: «Musisz mi zrobić to Drzewo przez zimę, abym ja na wielką «Wiosenną uroczystość», mógł już pod tém Drzewem pić kumys.» — Łatwo to powiedzieć: «Musisz!» Ale gdyby tak jemu kto kazał robić rzecz podobną, ciekawy jestem jakby prędko skończył? A tu nie żarty — znów chodzi o głowę.

— I dawno wy to już robicie?

— Już całe pięć—ba! prawie sześć miesięcy, — a jeszcze z parę Niedziel upłynie, zanim będę mógł ztąd wyruszyć. Ach, gdyby to człowiek miał tylko więcej czasu, jakby rozkosznie bawił się tą ro-

botą! Ale z tym szalonym pośpiechem, to i nie dośpi — i nie doje — nieraz po całych nocach kujemy a kujemy — z tój przyczyny także niemogłem widzieć naszego kochanego Xiędza, ani syna mu posłać.

Ludmiła, która już zbliżała się do konia, nagle zwróciła głowę.

— Jakiego Xiędza?

— Jakto? Jeszcze nie wiecie? A toż wielka, największa wiadomość! Jest nowy Missjonarz -- nowy mąż boży —

— Ach, czy być może? I któż go przysłał? Papież?

— Nie, nasz król! Król Francuzki, Ludwik.

— I z czém? Po co?.....

— Niewiem—ja go jeszcze nie widziałem. — Wystawcie sobie, kilka dni temu, odbieram list po Francuzku, podpisany: «Guillaume Rubrouck, Cordelier.»—(Ten także z kochanych Braci Mniejszych!) Otóż tedy w liście, wita mię jako ziomka—bo to człowiek z naszój ziemi, z naszych Flandryjskich stron — przesyła mi wszelkie błogosławieństwa, donosi że przybył tu z drugim zakonnikiem, ażeby szerzyć Wiarę Świętą, ale skarży się na wielki kłopot: dano im niegodziwego tłumacza, pijaka i gbura, co im więcej szkodzi niż pomaga. Owóż, słyshał od pani Paschy, że mój Filip jest wybornym tłumaczem, zapytuje więc czybym niechciał mu go przysłać—«czém—powiada—przyczynicie się do szerzenia chwały bożej.»—Ach, jakaż to dla mnie boleść! Ten święty człowiek prosi, a ja mu-

sze odmawiać, przynajmniej na teraz! Bo Filipka niemogę od siebie odpuścić, tu robota się pali, ręk zawsze za mało, a ten chłopiec pomaga mi za trzech, i—co jeszcze ważniejsze—on jeden umie w karności utrzymać tę całą barbarzyńską czeladź. — Odpisałem że teraz niemogę — jak mi zbawienie miłém, niemogę — ale za miesiąc najdalej przyszlę mu syna, i sam stawię się do usług. Ach, jaby tam poleciał, a tu ani na krok ruszyć się niemogę! Dobrze to wyście się pytali, moja damo, czy tu jest więzienie? Oj więzienie — i jakie!

— I gdzież on mieszka, ten Xiądz? Daleko? W Karakorumie?

— Nie,— tutaj, o milkę—w obozie Chańskim— przy samym Chaanie. To jeszcze przykrzję że mam go tak blisko, a jednak.....

Niemógł dokończyć, bo w téj chwili jeden z robotników, cały pomieszany, przypadł do niego, krzycząc:

— Panie! Anioł kipi! Anioł kipi!.....

Mistrz chwycił się za głowę.

— Doléwać! Srebra! Czegobądź! A skrzydła ratujciel!.....—Wołał, i ręce utopiwszy we włosach, poleciał jak szalony do kuźnicy.

Ludmiła nie czekając na jego powrót, pędziła

bez pamięci ku taborom. Najprzód, wpadła do Elżbiety z radosną wiadomością, potem biegła do do męża. Ale tu ogarnęła ją trwoga i wahanie.

Ajdar siedział w jurcie przy ognisku, oglądając jakąś nową czeczugę, i popijając jak zawsze ze dwu-szyjkowej czary.

— Ajdarze.....

— Co takiego?

— Widziałam..... Obóz Chaana jest bliźutko. Czybyśmy tam nie pojechali?

— Po co?

— A no, aby złożyć nasze hołdy Chaanowi.

— Ani myśleć. Stada Chańskie wyjadły tu wszystką trawę z pod śniegu. Trzeba nam owszem jak najprędzej ztąd uciekać, inaczéj stracę mój dobytek.

— To wyszlij twoje trzody i stadninę przodem, a sami trochę tu zostańmy. Ja się straszliwie znudziłam na stepie. Chciałabym zobaczyć Cesarzową Siurkukteni, Chatuny, panią Paschę.....

Gdy Ajdar milczał, splecione ręce oparła na jego ramieniu, i zaglądając mu w oczy pieszczotliwie, rzekła:

— Skarżysz się wiecznie że cię o nic nie proszę. Otóż teraz, proszę.

Tegoż dnia jeszcze, stada i trzody Ajdara, wyciągnęły naprzód ku stolicy, a on sam ze swoim orszakiem, zajechał do koczowisk Chańskich.

Ludmiła chcąc zasięgnąć bliższych wiadomości o Missjonarskim gościu, pobiegła najpierw do pani Paschy.

Tój, nikt już z lekka nie nazywał «Paquette'a.»—Owa szczupluchna, zabiędzona istota, rządząc przez lat kilka Dworem dawniej Xieźniczki, a dzisiejszej Cesarzówny Cyryny, zwolna przytyła, wydobrzała, i nawet nieco spowaźniała. Wiecznie téż teraz u jej chałatu wieszalo się dwoje ślicznych dziatka, bo sprytna wdówka pojechawszy do Altajskich Ułusów, znalazła tam nietylko nowych państwa, lecz i nowego męża. Był to jeden z niewolników Xieźny Siurkukteni, dość dawno już w plon wzięty Rianzańczyk; zwano go «Żółty Józef.» Chłop osobliwszo urodziwy, barczysty jakby Goljat, a rumiany jakby dziewczyna, brodę i włosy miał szafranowate, wijące się w samorodne puki, oczy mleczno-niebieskawe, niby gałki z Chińskiej porcelany. Wśród mężczyzn wielki zawadziak, na skinienie białogłowy chadzał potulnie jak słoń obłaskawiony. — W swoim kraju, «Żółty Józef» był niegdyś cieślą-budowniczym, i jako sam twierdził, niemógł być czém innym, bo każdy Jó-

zef powinien, wedle swego Patrona, bawić się ciesiołką. Tam stawiał dla Pana Boga domy sute o krasiwych pokryciach, a dla ludzi ciepłe dworzyszczka o rzezanych szczytach. U Tatarów niemógł już budować cerkiewek ni dworów, ale nie stracił ducha, zaczął robić ruchome «sypialnie» i «świętyńki» na kołach, a plótl je tak misternie, obsadzał tak mocno, że i Fortuna jego poszła jak na kółkach. A z czasem, ciesielski Patron Oblubieńców, pobłogosławił mu i na serdeczném szczęściu. Żółty Józef zobaczył czarną Paschę, i jako zwykle bywa, opasły blondyn rozmiłował się w suchój brunetce. Ona, wzajem. Jak się tam rozmówili, niewiem, zapewne łamaną mongolszczyzną, to wiem że się umiłowali po bożemu, i pobrali się po Chrześcijańsku, chociaż ręce im wiązał podejrzany kapłan Alański.

Ludmiła więc, na niezmierny swój podziw, znalazła dawną samotną wdowę, uwijającą się wesoło, między mężem i dziećmi.

Już to na wesołości, nawet w najcięższych czasach, nigdy jój nie zbywało; a już co teraz, to mało nie szalała ze szczęścia; przybycie Xiędza-rodaka wprawiło ją w rodzaj nieustannój extazy; niemogła się dość nachwalić jego czarnej brody i bieluteńkiej duszy, jego dowcipnych oczu i cudnej rozmowy, słowem, była to — według jój zaręczenia — «Summa» wszelkich doskonałości.

Na nieszczęście, Cyryna wyprawiała dzisiaj zabawę dla Chatun; pani Pascha, zajęta urządza-

niem biesiady, niemogła prowadzić Ludmiły do swojego ziomka.

— Oj szkoda, szkoda..... — Mówiła wzdychając. — Ale i sama znajdziesz go bez trudności. On mieszka razem z Mnichem Sergjuszem.

— Jakto? Z tym cudakiem? — Zagadnęła niechętnie Ludmiła, którą doszły już liczne posłuchy o Jerozolimskim pustelniku.

— Niestety, z tym cudakiem. Smutny to współmieszkaniec dla takiego mędrca i świętego. Ale cóż począć? Sam Chaan tę rzecz postanowił. Sądził że jak najlepiej robi. Niechciał go umieszczać przy Xiężach Nestorjańskich, bo wie że mu są niezbyt chętni, podczas kiedy Mnich Sergjusz owszem sam się przymawiał o takiego znakomitego towarzysza, przy którym i jego własna powaga niemało urośnie. Sama słyszałam jak Chaan mówił do córki: «Obaj ci ludzie boży są z pod Zachodniego nieba, niechże razem siedzą i razem się za nas modlą.» — Otóż tego Mnicha Sergjusza znajdziesz bardzo łatwo, gdyż on zawsze się trzyma jak najbliżej Chaana. Jego kapliczka stoi tuż koło téj bramy co prowadzi na Majdan Cesarski.

Ludmiła wybiegła co prędkiej. Dzisiejszą wycieczkę odbywała pieszo; dwóch tylko niewolników szło za nią, dla utrzymania jéj pańskiej powagi.

Od małego taboru Cesarzówny Cyryny, miała

ledwie kilkaset kroków drogi do wysokich ogrodzeń, które otaczały siedzibę samego Chaana. Przy wschodnim narożniku, niedaleko bramy, spostrzegła dom kołowy, nad którym tkwił świecący krzyżyk.

— To musi być tutaj. — Powiedziała sobie, i odsunawszy nieco zasłonę wejściową, znalazła się w prześlicznej, tajemniczej kaplicy.

Na środku wisiała lampa ośmioramienna, olejna, której kręcące się płomyki, rozrzucały do koła niepochwytą jasność. Z początku, Ludmiła nie niemogła rozeznaczyć, tylko rodzaj tablicy świetlanej, mającej w głębi.

Była to tkanina złotolita, rozpięta nad ołtarzem. Na tém tle migotliwém, bieleły wązkie a wysokie, figury Pana Jezusa, Najświętszej Panny, Świętego Jana Chrzciciela, i dwóch klęczących po bokach Aniołów; twarze i ubiory tych postaci były zarysowane perłami.

Na samym ołtarzu, wśród mnóstwa przyozdobień, świecił duży krzyż srebrny, którego środek i cztery końce, nabite drogiemi kamieniami, ciskały pod lampą snopy różnofarbnych światełek.

Po chwili, gdy oczy patrzącej oswoiły się z tym półmrokiem, spostrzegła że w kaplicy nie jest sama.

Przy bocznej ścianie, siedział mnich wyschły, czarniawy, przyodziany w ostrą włosiennicę, wiążącą po kostki, zaciśniętą nad biodrami rudym że-

laznym pasem. Po wiérzchu miał czarny płaszcz podbity wełną, a na kolanach wielką siegę rozwartą. Czy w niej czytał, czy tylko rozmyślał, trudno wiedzieć; wzrok jego był w kartach utkwiony nieruchomie.

Ludmiła zakłopotana, po chwili oczekiwania, przystąpiła i zapytała po Mongolsku:

— Ojciec Sergjusz.....

Milczenie.

— Ojciec Sergjusz, — czy można się widzieć z tym kapłanem, co przybył od króla Franków? On jest z pod mojego nieba.

Mnich, nie podnosząc wcale oczu, odpowiedział głosem podziemnym:

— Brat mój Gwilelm poszedł do chorych. Niéma go teraz tutaj.

— A kiedyż będzie można go zobaczyć?

Sergjusz powoli podniósł na nią oczy, rzucił jej spojrzenie czarne, nieprzyjemne, i zamiast odpowiedzi, snuł dalszy ciąg swojej własnej myśli, w tych słowach.

— On chodzi do chorych aby ich spowiadać i namaszczać, a ja się tu za nich modłę. Jednych mojemi mojemi modlitwami uzdrawiam, a drugich zabijam.

Ludmiła cofnęła się przerażona.

— Jakto? Co wy mówicie? Czyż Chrześcijanowi wolno modlić się o śmierć czyja?

— Niewiasto, jeśli mają dalej grzeszyć, i sługi boże prześladować, to dla nich lepiej aby zdechli.

Tu wstał, zamknął xięgę, i odsunął czarną zaponę która zamykała ciemny kąt przy ołtarzu. Pokazał się tam rodzaj wnęki, gdzie na blaszanej misie płonął pstrykający ogieniek; nad ogniem, na trójnogu wisiał mały kociołek, a w kociołku bulgotała jakaś czarna polewka.

Sergjusz schylił się nad ciecżą, i zanurzonym w niej krzyżykiem, powoli ją mieszał, a czasem pomrukiwał smutny jakiś pacierz.

Nagle, zwrócił głowę ku Ludmile.

— Słuchaj niewiasto..... —Rzekł z żywością.—
Głos boży mię ostrzega że mój Brat Gwilem wraca.

Ludmiła, i bez objawienia boskiego wiedziała to już dobrze, bo ze dworu, od niejakiój chwili, dawało się słyszeć poklapywanie sandałów po zamarzlėj ziemi.

Rozradowana, nie żegnając nawet Sergjusza, wybiegła jak wicher, i ujrzała nakoniec oczekiwanego Missjonarza.

Był to człowiek w sile wieku, niezmiernie ujmującej postaci. Mimo swojej czarnej, pustelnicznej brody, i swojej włochaty kapicy, miał w sobie coś pańskiego, coś wytwornego, co wskazywało że nie zawsze w takiej odzieży chadzał.

Rzeczywiście, jeszcze przed kilku laty, Wilhelm Rubruk odziany w jedwabie i pióra, jaśniał między dworzanami Ludwika IX-go, dowcipny, świetny, zawracający głowy, pierwszy do Turnieju i do Serenady. Ale na ten arcywzór dworaków, — (jak na Brata Pacyfikusa, «Króla świeckich piosenek») — przyszedł nagle ów «Głos powołania», co idzie jak wietrzyk, a porywa jak orkan. Zkąd przyszedł? Może z ust samego świętego króla, który swoją rozmową i przykładem, krocie dusz do koła uświęcał? A może z ust jakiej «okrutnej piękności», co go skłóciła z ziemskim szczęściem?..... Zkądkolwiek przyszedł, zawsze tyle sprawił, że pewnego poranku piękny młodzieniec zwłókł z piersi jedwabie, roztrzaskał swoją trzystrunną «rote», a gdy Ludwik wyjechał na wyprawę Krzyżową, Rubruk popłynął także ze swoim drogim królem, tylko już nie w pancerzu ani w piórach, ale w brunatnym habicie «Cordelier'ów.»

I oto właśnie teraz Ludmiła całowała brzeg tego habitu, wołając jaką taką francuzczyzną:

— A witajcież, przezacny Ojcze! Sam Bóg was tutaj przyprowadzał!....

Na dźwięk rodzinnéj mowy, twarz zakonnika pojaśniała.

— Zkądże wy — pytał — moja dobra damo? Zkąd?

— Chrześcjanica — z narodu Polskiego — wzięta do niewoli już od lat kilkunastu — spragniona Sakramentów Świętych — wszystkiego co święte..... Przyjechałam tutaj umyślnie ażeby was powitać Ojcze. — Ach, jakże byłabym szczęśliwa, gdybyście chcieli zajść do mnie w gościnę — choćby dziś — choćby zaraz — bo nie wiem jak długo będzie mi wolno tu pozostać..... a ja tak łaknę pociechy! I nietylko ja, lecz i moja przyjaciołka, druga branka, daleko nieszczęśliwsza odemnie..... Chodźcie Ojcze, moje wozy tu bliżuchno stoją.

— Teraz niemogę, dobra damo, niemogę. Muszę jeszcze zajrzeć do mego towarzysza podróży, Brata Bartolommea, który ze znużenia nam się rozchorował, leży tutaj u Mnicha Sergjusza. Muszę także wstąpić do pewnéj niewolnicy staruszki, co podobno już dogoréwa. Ale za jaką godzinę, będę u was.

— Ach, dzięki! Dzięki!

To rzekłszy, zostawiła jednego z niewolni-

ków, ażeby Missjonarzowi wskazał drogę, a sama pędem puściwszy się na powrót, wpadła do swe-go mieszkania, kazała je na gwałt przystrajać, podwieczorek jak najsutszy zastawiać, a przede-wszystkiém posłała po Elżunię.

Tylko po Ajdara, nie posłała.

Ajdar od lat kilku, niemógł już znieść żadnej rzeczy ani osoby, któraby mu przypominała Chrzest, lub jakikolwiek inny Chrześcijański obrządek. Pod tym względem stał się tak zawzięty, że nieszczęsne branki zwątpiły już zupełnie o jego nawróceniu.

Któregoś dnia, jeszcze niedawno, powiedział do żony:

— Módl się ile chcesz, spraszaj sobie kapłanów ile chcesz, ale mi nie gadaj o téj waszój «wodzie oczyszczającej», bo jak się kiedy rozgniewam, to jeszcze gotówem cię zabić—a potém byłoby mi przykro—doprawdy, bardzo przykro.

Więc Ludmiła nie posłała zaprosin do męża.

Godzina przeszła — i pół godziny jeszcze..... Na koniec, o radości! nadszedł oczekiwany.

Dla naszych branek był to jeszcze raz «Gołąb' z domu.»

Wprawdzie nie z *ich* domu—nie przybywał nawet prosto z Europy — jednak przynosił z sobą jakby inne powietrze — odblask oświaty, swobody i Chrześcijaństwa—purpurowy odblask Zachodu.

Elżbieta ustąpiła dziś gościowi Gotyckiego krzesła, sama siadła przy Ludmile na sofie, i po raz pierwszy od lat wielu, przez kilka godzin ani razu nie nawlokła igły.

Branki zaczęły przyjęcie na Polski sposób, od poczęstowania.

Gość nie odmawiał, był niezmiernie spracowany i zgłodzony; jednakże jadł pod miarą, wykwintnie.

W całym jego wzięciu widniała owa słynna «urbanité» Francuzka, co umie zaokrąglić nadobnie każdą czynność, i jedwabiem spowinać każdy nowy stosunek.

To téż pół godziny nie minęło, a już wszyscy troje rozmawiali jakby starzy znajomi.

— Ojczy, jeszcze troszkę tego séra.

— Dziękuję. Doskonały, ale już mam go dosyć. Jakże on się nazywa?

— Gryjut. Według mnie za ostry. Cieszę się przynajmniej że wam Ojczy smakował.

— Bardzo. A kto wie, czy jeszcze nie smakowitsze te kielbaski takie soczyste? Ręczę, że te by się i u nas podobały.

— A z napojów, czémże można wam służyć? Kumysu nawet nie podaję, bo pewno nie będziecie chcieli.

— Czemu nie? To wyborna rzecz, «cosmos.»

(Trzeba wiedzieć że Rubruk, jako nieodrodnym Francuz, w Opisie swojej podróży, przekreca imiona i wyrazy obcych języków, prawie do niepoznania. I tak, niemogąc w żaden sposób wymówić «Mongolów», przezywa ich «Moalami», co w pierwszej chwili, przedstawia dla czytelnika rodzaj rzeczywiście zagadki. Jeszcze uczeniej przerabia «kumys» na «cosmos.» Nazwa tak zgreczona, wydaje mu się zrozumialszą, a pewnie i piękniejszą, jakoby klassyczną.)

I teraz więc mówik:

— To wyborna rzecz, «cosmos.» Jest u nas we Francji, pewna prowincja, nazwana Szampańską, sławna ze swoich winnic. Otóż ja znajduję, że wasz «cosmos» jest bardzo podobny do naszego wina Szampańskiego. Tak samo się pieni, z początku trochę szczypie w język, ale po wypiciu zostawia smak słodkawy, jakby po mleku migdałowym, i «rozwesela serce ludzkie», wedle słów Sa-

lomona. Mówiono mi nawet że słabe głowy spaja. Czy to prawda?

— Oh, i jak jeszcze! Ludzie się tu szkaradnie upijają kumysem. Już co my, to nie możemy go znosić..... Może dla tego samego, że Tatarski? To już dosyć, aby nam go zbrzydzić.

— Rozumiem. Ja tu przyszedłem z dobrą woli, dałbym połowę dni moich ażeby tu zostać i szerzyć naszą Świętą Wiarę, więc chcę sobie ten kraj upodobać, wszystko tu dla mnie dobre, a niekiedy sobie i wmawiam że dobre..... Ale wam, w niewoli, téż same rzeczy nie smakują. Musiałyście, moje biedne damy, bardzo wiele wycierpieć?

Niewiasty milczały. Tyle było do powiedzenia, że niewiedziały od czego mają zacząć?

— Co musi być dla was najprzykrzejsze, to te straszne pustynie. Ani miast, ani wiosek, ciągle życie na wózku; wprawdzie wasze wozy są prześliczne, malowane jak cacka, — jednak, wicznie koczować.....

— Otóż nie, Ojczy. To najmniejsza przykrość. Po kilku latach, przywykłyśmy tak dobrze do życia na wózku, że kiedy nam przyjdzie spędzić część roku w Karakorumie,—jedyném tu mieście— to niemożemy wytrzymać między czterema ścia-

nami; wyraźnie nas duszą — dach nam przytłacza głowę — nocujemy najczęściej na krużgankach, aby mieć więcej powietrza.

— Doprawdy? Dziwna rzecz, jak to człowiek może do wszystkiego przywyknąć!

— Oj, nie do wszystkiego, nie! Są rzeczy do których nigdy nie przywykniemy. Naprzykład, co nam truże życie, to ten..... jakby tu powiedzieć? Brak schludności.....

— A już to prawda. Niewidziałem kraju, gdzieby ludzie byli mniej porządni.

— I jakże ma być inaczej? Wystawcie sobie Ojcie, że tu *niewolno* prac odzienia, ani zmywać naczyń po jedzeniu. Trzeba wszystko wycierać na sucho.

— Dla czego? Czy to z lenistwa?

— Nie, z Szamańskiego zakazu. Jest między Tatarstwem zabobon, że wszelkie *poruszanie wody* wywołuje grzmoty i pioruny. A że ci ludzie straszliwie się gromów boją, więc wołają gnić w takim niechlujstwie. Już to co prawda, nie wszyscy: bogaci panowie i panie drwią sobie z owego zakazu; myją się, kąpią i namaszczają, nieraz aż do zbytku. Ale prostym ludziom nikt nie wybije z głowy tych przesądów; a jednak, oni to nam usługują, oni nam jadło przyrządzają! Trzeba ciągle ztykać się z takimi plugastwami, że doprawdy cały świat brzydnie.

— Oj, wiem ja coś o tém..... — Dodała Elżbieta. — Nieraz wymykam się do rzeki, aby wyprać

jakiś przydziełek dla Kałgi, albo wymyć kociołek zatłuszczony, bo już niemożę wytrzymać. To zaraz Tatarki, huzia na mnie! Jak zaczną mię bić, a przeklinać, tak i muszę dać pokój. — A na swoje usprawiedliwienie, wszyscy tu powtarzają słowa tego swego sławnego Dżyngischana, który miał powiedzieć tak: «Czystemu wszystko czyste.» A to bajka, bo trzeba najpierw aby ten co mówi był czysty, a jakże ma być czysty, jeżeli w koło siebie i na sobie niczego nie czyści?

— Ach, tak, tak! — Westchnęła Ludmiła. — To najokropniejsze ze wszystkich naszych cierpień.....

— No, tego nie powiem. — Odparła Elżbieta. — Są rzeczy jeszcze okropniejsze..... Naprzykład, patrzenie na tę przerażającą nędzę jaka panuje wpośród jeńców. Śmierć głodowa, to u nich rzecz codzienna. Czy wy wiecie Ojcie, że są między panami Tatarskimi tacy, którzy swoim niewolnikom i niewolnicom nie dają nic do jedzenia, ale to naprawdę *nic*? A swoją drogą ci nieszczęśni muszą ciężko pracować. Czém się mają żywić, to już jest zostawione ich własnemu przemysłowi. To téż jedzą rzeczy nie do wiary..... ja sama widziałam, jak niektórzy łowili myszy, i piekli je, ach..... i ogryzali.....

— Wiem to. — Rzekł Rubruk, a twarz jego — dotąd mile uśmiechnięta — nagle spoważniała, i zaszła ołowianą chmurą smutku.

— Wiem. Niewolnicy sami rozpowiadali mi to wszystko, i wyznawali z płaczem że muszą niekiedy okradać swoich panów, ażeby nie paść trupem od głodu i mrozu, bo nietylko że są bez pokarmu, ale nieraz i ostatnia odzież z nich obleci, a nikt im nie da płachty na pokrycie nagości.

— Ach Ojczy, i cóż na to odpowiedzieć?

— Ja tak im odpowiadam: Bierzcie u waszych panów tyle, ile trzeba koniecznie ażeby nie umrzeć. Jeśli weźmiecie tylko tyle, nie więcej, to nie będzie grzechu. Grzech zostanie przy waszych panach, co mają święty obowiązek zachowania was przy życiu. Jakto? Czyż to nie dosyć, trzymać człowieka w niewoli, w nadludzkiej pracy, biciu i nאיגrawaniu? Trzebaż jeszcze odmówić mu najniebezpieczniejszej strawy, gorzej niż psu, niż bydłociu? A! Tego już za wiele! Wiem że niektórzy tutaj gniéwają się za to na mnie, ale ja nie ustąpię — przed samym Wielkim Chaanem gotów jestem bronić mojej tezy.

— Ojczy! Ojczy! Jak to słodko widzieć, że przecie znalazł się ktoś odważny, co śmie przemawiać za nami, niewolnikami!

— A jest znów inny wypadek, w którym nie mogę ich rozgrzeszyć. Jeńcy ciągle się zapytują, co mają robić, kiedy Moale każą im iść na wojnę i zabijać Chrześcijan? Ja im odpowiadam: — Nie idźcie. — «A jakżeż — mówią — nie mamy iść, kiedy Moale nas przymuszają i męczą?» — To dajcie się męczyć, a nie idźcie. Lepiej zginąć śmiercią mę-

czeńską, niż walczyć przeciw Chrystusowi. — Tak powiadam — i tu znów powtarzam: gotów jestem przed samym Chaanem bronić świętej słuszności.

— A cóż Chaan, Ojczy, dobrze was przyjął?

— No tak..... dość uprzejmie. To tylko bięda, że już na samym wstępie, Szafarze zaczęli częstować i nas, i naszego Tłumacza, najrozmaitszemi napojami. Ja tylko kilka kropel wypilem przez grzeczność, ale Tłumacz tak sobie podchmielił, że kiedy mu przyszło powtarzać nasze słowa, to plątał się i w żaden sposób niemógł trafić do ładu. A kiedy Mangu zaczął nam odpowiadać, to już nikt niczego nierozumiał, bo zdaje mi się że i Chaan był trochę podcięty.

— I tak, Ojczy, niemogliście nawet zdać sprawy z waszego poselstwa?

— Już to, właściwie mówiąc, ja nie miałem żadnego poselstwa.

— Jakto? Czyż wy nie jesteście Posłem od króla Francuzkiego?

— I tak, i nie. Bronię się usilnie od téj nazwy «Posła», bo wiem że Moale biorą każde poselstwo za dowód lennictwa, i za obietnicę haraczu. Zresztą, prawdę mówiąc, jeśli byłem wysłany, to nie do Chaana Mangu, tylko do Batego.

— Doprawdy? I z czémże byliście wysłani?

— Rzecz się tak miała. Kiedyśmy dopłynęli do Palestyny, w Akrze rozeszła się wiadomość, że Xiążę Sartak, syn Batego, został Chrześcijaninem. Nasz przezacny król Ludwik ucieszył się z całej-

go serca, boć to byłby wypadek niesłychanej wagi, z jednéj strony ochrona od okrucieństwa Moalów, z drugiejszy gotowy sprzymierzeniec przeciw Saracenom. Król więc napisał listy bardzo mądre do Batego i do Sartaka, i w swojej najwspanialszej dobroci, mnie posłał z temi listami. A Batu, zamiast wprost odpowiedzieć, wysłał mię znowu tutaj, do Wielkiego Chaana. Niewiem po co? Czy chciał się pochwalić z poselstwem? Czy chciał się poradzić, jaką ma przesłać odpowiedź? To tylko wiem, że jestem tutaj.

— No, a cóż ten Sartak? Czy istotnie Chryścijanin?

— Ale gdzie tam! Nierozumiem zkad powstała ta bajka? Rozmawiałem z nim, i jedno tylko zmiarkowałem, to że sobie ze wszystkich drwi. Tak jak i wasz Chaan Mangu. Oj, ten człowiek to chodząca zagadka. Ktoby go chciał nawrócić, musiałby chyba mieć potęgę Mojżesza.

— Tak.—Poparła gorzko Ludmiła. — Nawrócić Tatarą, to rzecz niepodobna.

— Wszystko podobne, jak się Bogu spodobą.—Wtrąciła zcicha Elżbieta.

— Wprawdzie,—ciągnął dalej Rubruk—Brat Sergjusz obiecywał mi sto razy, że w dzień Trzech Króli ochrzci Chaana Mangu. Ja go prosiłem: — Bracie, zrób, niech ja zobaczą to na własne oczy, abym za powrotem do krajów Chryścijańskich, mógł zaświadczyć że Chaan jest naprawdę ochrzczony.—Przyrzekł mi uroczyście. Ale jak nastaly

Trzy Króle, poszedł bezemnie do Dworu, a potem Nestorjanie mi mówili, że nic tam innego nie robił, tylko razem z niemi błogosławił «cosmos» dla Chaana. To też odtąd strasznie się przedemną wstydzi.

— Ten Ormjanin, to dziwny człowiek..... — Rzekła kręcąc głową Ludmiła. — Musicie Ojciec mieć z nim niemało biędy?

— Tak, wiele rzeczy mi się w nim niepodobają..... wiele..... Ale cóż robić? Trzeba ile możności żyć w zgodzie. Ja też się z nim obchodzę jakby z jakim Biskupem, choćby za to samo że zna język Moalów, i że mi tu wszędzie służy za przewodnika. Służy nawet gorliwie, muszę przyznać.

— Czy to prawda Ojciec, że on nic nie jada?

Rubruk się uśmiechnął.

— Że go nikt nie widzi jedzącym, to prawda. Długo też niemogłem zrozumieć czém ten człowiek żyje? Ale w końcu dopatrzyłem: pod ołtarzem, w kapliczce, ma schowany koszyk, pełen migdałów, daktyłów, suchego wina, i modli się i modli, a precz rodzenki ściąga.

— Ha, ha, ha! To taki z niego cudotwórca? — Wołały niewiasty, i śmiały się do rozpuku.

I tak, swobodni, rozbawieni, gwarzyli w najlepsze, kiedy znagła, gromkie stąpanie ozwało się po schodkach, silna jakaś ręka rzuciła drzwiczkami,

prąd zimnego powietrza wionął — ktoś wszedł — był to Ajdar.

Ludmiła nieco się zmieszała.

Elżbieta rzekła do zakonnika:

— To małżonek tój pani.

Rubruk wstał uprzejmie, i dworskim ukłonem powitał wchodzącego.

Przybycie Ajdara zmroziło rozmowę, témbar-dziej że obecnie już potrzebowała tłumacza.

— Przepraszam cię mężu, może cię to gnie-
wa że przyjmuję nieznanym ci gości, ale to kapłan
z naszych krajów, człowiek świętobliwy.

— A wiem, wiem. Chaan mówił mi o nim,
i chwalił że poczciwy człeczyna.

Znów nastąpiła chwila milczenia.

— Powiedz mi niewiasto, dla czego ten czło-
wiek tak mało dba o swoje nogi?

— Jakto? Nierozumiem.

— A no, patrz-że: na ten mróz chodzi boso,
i jeszcze przywiązał sobie takie ostre deszczułki.
Jak straci nogi, to co będzie robił, on który wido-

cznie lubi dużo chodzić, kiedy aż tutaj do nas przywędrował?

— Widzisz mężu, u nas ludzie świątobliwi zadają sobie umyślnie takie umartwienia.

— Aha! Więc u was, męczą nie drugich ale siebie. I dla czego?

— Ażeby odpokutować grzechy swoje, a czasami i cudze.

— I to pomaga?

— Bardzo. Jak sami karzą się za życia, to już Bóg nie karze ich po śmierci.

— Hm..... Trzeba przyznać że to ludzie waleczni..... bo jednak łatwiej męczyć drugich niżli siebie. A powiedz mi co to on pije?

— Kumys.

— Jakto? Prawdziwy, Tatarski kumys?

— A jakież ma być inny? Pije kumys i nawet go bardzo chwali.

— Więc to Xiądz taki jak ci tutejsi z Chlébkami?

— Niechże Bóg broni! To Xiądz prawdziwy, kapłan mojej wiary.

Ajdar wstał w milczeniu, przystąpił do Rubruka, i wzięwszy jegu niedopity kubek, skosztował napoju.

— Prawda, kumys. —Szepnął.

Potém, nalał kubek po brzegi.

— Żono, powiedz mu, aby wypił przy mnie. Ja chcę widzieć to na własne oczy.

— Ojczy, mój małżonek prosi, abyście jeszcze ten kubek wypili. Nierozumiem dla czego nalega, pewnie z gościnności.

— A ja rozumiem dla czego.....—Zawołał zakonnik, i z radością porwawszy czarę, wychylił ją duszkiem, a wychyliwszy, zaczął mlaskać językiem, na znak że «cosmos» mu smakował.

Potém, sam znów czarę po brzegi napełnił, i z wymowném spojrzeniem podał ją Ajdarowi.

Ajdar pił powoli, z przestankami, a pijąc wciąż spoglądał na niego z pod oka.

Gdy skończył, obaj roześmieli się do siebie. Ajdar nawet podał mu rękę, i od serdecznego rozmachu trzasnął go po dłoni.

Potém, siadłszy znów obok żony, zapytał:

-- I ty powiadasz że to kapłan dobry? Czy i Chrzest od niego dobry, niefałszowany?

— Chrzest? Od niego? Najlepszy jaki tylko być może.

-- Wiész co, moja gołąbko? Gdyby ten mię chciał ochrzcić, to przystałbym z przyjemnością.

Nastąpiła chwila ciszy.

Obie niewiasty osłupiały.

Nagle, z ust Ludmiły wyrwał się wielki wykrzyk.

Rozwarła ramiona, runęła u kolan Ajdara, i całując go po rękach, wołała ze łkaniem:

— O ty mój drogi! Mój najdroższy! Niech-że cię Bóg nagrodzi! O, jakaż ja szczęśliwa!.....

Ajdar spojrział z uśmiechem na Rubruka, jakby chciał mu powiedzieć:

— Patrz, jak ta kobieta mię kocha.

Tak, ona kochała—ale nie człowieka—tylko duszę.

Rubruk wodził po wszystkich wzrokiem zadziwionym.

Elżbieta cisnęła mu to krótkie objaśnienie:

— On się chce ochrzcić!

A potem, ze złożonymi rękami, przystąpiła także do Ajdara, i pytała go drżącym głosem:

— Ależ powiedz nam, Behadyrze, co się stało? Przez tak długie lata odmawiałeś? Brata Benedy-

akta i słuchać niechciałeś? Czy to cud boski, czy co?

— Tak, to cud! Cud!.....—Powtarzała Ludmiła, ciągle klęcząca u nóg męża. Włosy jój, rozsypane w nagłym rzucie, opłynęły ją całą ciemnozłotym płaszczem, i na wpeł zasłaniały jój twarz rozplómienną, po której cicho toczyły się łzy gorące.

Ajdar, mocno zdumiony, rozgarniał ten przejrzysty rąbek na jój czole, i całując zroszone jagody, mówił:

— Nie płacz-że..... Jak ty dziwnie się cieszysz? Wy chcecie wiedzieć co się stało? Rzecz bardzo prosta. Długo niechciałem ci mówić, ale teraz powiem. Czekaj..... Niech-no sobie przypomnę..... To bardzo już dawno temu, zaraz po przyjeździe naszym tutaj do Mongolji, kiedy mi się ciągle z tym Chrztem naprzykrzałaś, pewnego dnia powiedziałem sobie: — A no, trzeba raz już ucieszyć gołąbkę.—Więc idę, i szukam którego z waszych kapłanów. Niechciałem iść do tych z Chlėbkami, bo mi mówiłaś że to udawani. Poszedłem do takiego Alańskiego.....

— Ach, to także nieprawdziwy, także kacerz.....

— A któż was tam wiedział że u was tylu nieprawdziwych? Zresztą, może to i nie był Alański, tylko Suzdalski albo jakiś inny? Dobrze już nie pamiętam. Idę tedy do niego. Patrzą: stoi dziad z ogromną brodą, taki wspaniały jakby jaki

Szaman.—Dziadulu—mówię—ochrzcij mię, bo mi niewiasta głowę suszy. — On odpowiada głosem grubym jakby wół zaryczał:—«Dobrze, ale musisz mi się tu natychmiast zaprzysiądz, że już póki życia nie będziesz pił kumysu.»—Kiedy takie słowo posłyszałem, to jakby mie kto wrzątkiem oblał. — Ojczy, —powiadam—jakże chcesz aby Mongoł wyżył bez kumysu? A toż będzie moja śmierć! —A ten jak mię zacznie łajać: — «A ty grzeszniku! A ty pijaku! To ty wolisz kobyle mléko niżli boską prawdę? Wiédz, że jak mi wypijesz jeszcze jedną kroplę kumysu, to pójdiesz na wieczne męki.» — Ja proszę:—Dziaduniu, zmiłuj się, pozwól. Wszak sam widziałem takich co się kłaniali przed krzyżem, a jednak pili kumys?—On mi na to:—«A to i ci pójdą na wieczne męki.» — Nakoniec wzięły mię złości. Rzekłem: — Dam ja tobie mękę! — I tylko temi trzema palcami głasnałem go po brodzie, a dziad jak rymnie o ziemię..... Oho! Mam ja rękę!

— Czemużeś mi zaraz tego wszystkiego nie powiedział?

Ajdar przygryzł sobie usta.

— A bo widzisz, niewieście to niemożna tak bardzo wierzyć..... Byłabyś może gadała: «Niewiem..... Zobaczymy.....» —A jakbym się ochrzcił, tobyś mi dopięro każdy kubek od ust odejmowała.

— A! Jakże mogłeś przypuszczać.....

— No, słuchaj tylko dalej. Kiedy potém

przyszli do nas ci wasi kapłanie z końca świata
wiész..... ci dwaj tacy chudzi.....

— Wiem, Posłowie od Papieża.

— Tak, Posłowie, — wtedy powiedziałem so-
bie: — Może ci będą lepsi? Trzeba zrobić jeszcze
jedną próbę. — Więc, pamiętasz? Zapraszam ich,
częstuję kumysem. A ci patrzą w ziemię, składa-
ją ręce, i przez zęby cedzą: — «My nie pijemy....
nie możemy.....» — Aha! Nie możecie? I wy tacy sa-
mi? A no, to już niema gadania. — I też od tego
czasu, już nie dałem sobie o żadnym Chrzcie ga-
dać. — Ale teraz widzę, że nie wszyscy u was ta-
cy srodzy. Oto ten kochaneczek przyjął ode-
mnie kumys; no, to ja przyjmę od niego waszą
wodę.

Tu Ajdar sam roześmiał się ze swego dowcipu,
wstał, podniósł Ludmiłę, i szepnął jój do ucha:

— Tylko proszę cię, urządz to wszystko
w jakiś łatwy sposób — nie nudźcie mię długimi
naukami — już ja się od ciebie nasłuchałem dosyć
nauk o téj twojój wierze.

Poczem, ucałował ją głośno, Rubrukowi ki-
wnął głową po przyjacielsku, i wyszedł, pośpiéwu-
jąc starą piosnkę Mongolską.

Ludmiła podbiegła z uniesieniem ku Missjo-
narzowi.

— O mężu boży! O święty człowiecze! Jakież ty mi szczęście przynosisz! Oto mój małżonek przez dwanaście lat się opierał, a dzisiaj....

— Ależ moja dobra damo, ja tu nié mam żadnej zasługi. To wasze modlitwy musiały mu wyjednać u Boga tę łaskę. Ja tu nic nie zrobiłem, jednego słowa z nim nie zamieniłem,—chyba, żeby ten «cosmos».... On musiał mieć do czynienia z jakim Xiędzem Alańskim albo Ruskim....

Niewiasty niezmiernie się zdumiały.

— Ojczy, wyście chyba Duchem Świętym zrozumieli naszą rozmowę? Ajdar właśnie opowiadał swoje zdarzenie z takim Xiędzem.

— Łatwo mi było wpaść na domysł. Już ja nieraz, i po drodze, i tutaj, spotykałem Tatarów zniechęconych do naszej Wiary tym okrutnym zakazem. Doprawdy że okrutnym! W takich pustyniach, gdzie ludzie niemają winnic, ani nawet chleba, jakżeż można im odejmować to jedyne zdrowe pokrzepienie? A ci Grecy tak umieją nastraszyć, że potem niemożna poganom wybić z głowy téj bajki. Straciłem ja z tego powodu niejedną duszę, co już, już garnęła się ku nam.

— I dla czegoż oni Ojczy, zakazują kumysu?

— Mówią, że to ma być napój *poświęcony bałwanom*. Niewiem czy to prawda? Mnie się zdaje, że oni chcą tylko tym sposobem odróżnić się od Nestorjanów, którzy ową wieczną pijatyką już się do cna ztatarzyli. Zastraszeni takim przykładem, chcą swoją trzodę odłączyć od obyczaju po-

gańskiego, a może i samych siebie uchronić od błogosławienia czary Chańskiej, do czego byliby niezawodnie wzywani, gdyby ich nie bronił ów dowcipny zakaz. Tu muszę nawet ich pochwalić. Nie twierdzą ja wprawdzie aby samo poświęcanie napoju miało być rzeczą grzeszną; bynajmniej! Wszelki dar boży może być uświęcony modlitwą. Ale co jest grzechem, to stawanie w jednym rzędzie z kapłanami Saracenów i pogan. A! Cóż to za poniżenie naszej wiary! To mi przypomina ową świątynię Rzymską, przeznaczoną dla *wszystkich bogów*, gdzie Senat z łaski swojej pozwolił, aby między innemi bożkami postawiono i Pana Jezusa. — Więc powiem: to jakby kto pokazywał światu: — Patrzcie, oto znowu Chrystus pomiędzy Łotrami!

— Wszystko to prawda, — sarknęła Ludmiła — jednakże dla nas ten zakaz wypadł nieszczęśliwie.

— Wyznajmy, — wtrąciła Elżbieta — że i my też byliśmy niedomyślni..... Mój Boże! Czemuż to tego wszystkiego nie wiedziało się wcześniej? Braciszek Benedykt byłby — ręczę — pił kumys całemi konwiami..... Ach, i my także..... A no, Bogu dziękować, że przynajmniej dziś jeszcze.....

W tej chwili ozwał się zdaleka dźwięk spizowy, równo przerywany.

— Oho! To mój Ormjanin dzwoni w swoje

Katajskie tablice. Muszę pójść na Pacierze, potem jeszcze mam wiele roboty przy chorych. Ale jutro tu wrócę. Pomówimy dłużej o mężulku. Niech Bóg was ma w swojej świętej opiece, moje dobre damy!

Wyszedł. Niewiasty padły sobie w objęcia. Uścisk był długi a milczący. Niemogły mówić od zbytku radości.

Nakoniec, obsunęły się na kolana, i zawołały wielkim głosem:

— Boże! Bądź błogosławiony za to że nas tu przysłałeś!

Piękny dzień.

Jednakże, nie można było zostawić Ajdara bez jakiegokolwiek przygotowania do tak ważnej chwili. Urządzono więc kilka posiedzeń, ale króciutkich, gęsto przeplatanych kumysem i rozmowami o rzeczach wesołych, wśród których Missjonarz wsuwał opowiadane Obrazki ze Starego i Nowego Testamentu; a Ludmiła, w przekładzie nieco wolnym, nadawała im koloryt po troszku Mongolski, aby je uczynić zrozumialszemi dla ucznia. Uczeń słuchał z dość wielkiem zaciekawieniem, zwłaszcza historii Patryjarchów, których życie koczowniczo-pasterskie, miało dla niego dotykalne powaby. Zajmowały go téż niezmiernie wszystkie czyny okrutne, rzezie—męczeństwa—wybieg Judyty—srogości Heroda. Niekiedy, czynił uwagi osobliwsze, prawdziwie Tatarskie. I tak, zastanawiając się nad Męką Pańską, którój opisu wy-

słuchał z iskrzącemi oczami, niespodzianie zagadnął żonę:

— A no, widzisz niewiasto, że to jednak czasem dobrze jest zadawać męki. Gdyby ludzie nie byli umęczyli tego waszego Boga, to nie byłby ich zbawił? Tego mi nie zaprzeczysz. Więc już nie wygaduj tak zawsze na Mongołów, po co męczą i męczą drugich? Może to na zbawienie ludziom?

Trudna była dysputa z takim stepowym filozofem. To też najczęściej sprawę zapijano, lub zagadywano świeckim żarciem, poczem Rubruk zamykał posiedzenie, — a czynił to tém skwapliwiej, że coraz więcej przybywało mu Katechumenów.

A tego przybytku przyczyniła Rubrukowi, — ktoby się spodziéwał? — czysta poganka, najpiérsza z małżonek Chaana.

Tą najpiérszą małżonką, nie była już matka Cyryny, która — jak wiemy — od kilku lat zesła ze świata. Na opróznioném po niéj miejscu, Mangu posadził młodą Chatotę, która była zazwyczaj zdrowa i wesoła jak rybka. Podobno jednak i rybki chorują; przyszła i na Chatotę choroba, a taka niezrozumiała i uporna, że nawet Szamanie poradzić jéj niemogli. Wtedy.....

Ale po cóż macie słuchać opowiadania z drudziej ręki? Lepiej, niech sam Rubruk wam opowie. Oto jego słowa:

«Niedługo potem zaczęto mówić, że ta pani Chatota, co zachorowała koło Niedzieli Mięsopestnej, miéwa się coraz gorzej; była już umierająca, a gusła tych pogan nic jój nie pomagały. Wtedy Mangu-Chan kazał zapytać Mnicha, czyby mógł co dla niój uczynić? A Mnich odpowiedział dosyć lekkomyślnie, że głowę swoją odda Chaanowi, jeżeli jój nie wyleczy. Po téj odpowiedzi zaczął nas przywoływać, z płaczem opowiadać sprawę, i błagać abyśmy przez całą noc odprawiali razem z nim modlitwy. Cośmy téż i uczynili. Owóz, miał on korzonki pewnej rośliny, która się nazywa Rumbabarum; utarł je na proszek, i włożył do wody, równie jak mały krzyżyk z wizerunkiem Pana Jezusa; twierdził, że przez ten wizerunek, może wiedzieć na pewno, czy chory wyzdrowieje, czy nie? Jeżeli miał ozdrowieć, krzyżyk przylegał do jego piersi jakby przylepiony; jeśli śmierć groziła, nie chciał się wcale trzymać. Ja byłem przekonany, że owo Rumbabarum to jakaś rzecz święta, przywieziona z Jerozolimy..... Radziłem aby lekarstwo zaprawił wodą Święconą według obrządków Kościoła Rzymskiego, bo taka woda posiada moc wypędzania czartów, a już stawało się dla nas jasnym, że Xiężna jest opętana. Więc na jego pro-

śby, zrobiliśmy wody Święconej, pomieszał ją z Rumbarbarum, i przez całą noc moczył w niej Krucyfix. Ja mu też mówiłem, że jeśli jest Xiędzem, to Sakrament kapłaństwa nadaje mu władzę Egzorcyzmowania, ale mi się przyznał że nie odebrał Świeceń, i że nawet nie umie czytać, bo jest prostym tkaczem płóciennikiem, co też i sprawdziłem później, wracając przez jego kraj.

«Nazajutrz więc, wybraliśmy się do chorój Xiężny, Mnich, ja, i dwaj Xięża Nestorjańscy. Była w małym pokoiku, położonym w tyle, poza głównem jej pomieszkaniem. Kiedyśmy weszli, podniosła się z posłania; uczciwszy Krzyż, kazała go postawić przy sobie na jedwabnym pokrowcu, napiła się wody Święconej z Rumbarbarum, i wytarła sobie nią piersi. Mnich mię prosił, abym nad nią czytał Ewangelję; czytałem opis Męki Pańskiej według Świętego Jana. Niedługo, Xiężna z wielką radością uczuła się dużo lepiej; wtedy kazała przynieść cztery Jaskotty srebra, które złożyła najprzód u stóp Krzyża» — (szczegół wzruszający, to dziękowanie najprzód sile niewidzialnej, ukrytej pod widzialnym znakiem —) «potem jeden dała Mnichowi, drugi mnie, ale niechciałem przyjąć; Mnich wyciągnął rękę, i wziął go za mnie. Dwa inne dostały się Xiężom. Tak, rozdała wartość czterdziestu Marek. Następnie, kazawszy przynieść wina, zaczęła częstować Xięży, i ja musiałem pić z jej ręki, trzy razy, na cześć Trójcy

Świętej. Chciała też uczyć mię swojego języka, i śmiała się ze mnie żeś byłem niemy, bo nie miałem z sobą tłumacza.

«Nazajutrz, wróciliśmy do Xiężny, a Mangu, dowiedziawszy się że nadchodzimy, kazał nas najpierw przywołać do siebie, bo już wiedział że pani ta miéwa się lepiej. Zastaliśmy go z kilku poufałemi, spożywającego *płynną ziemię*, to jest jakiś pokarm klajstrowaty, na wzmocnienie głowy.» — (Otóż znowu ciekawe lekarstwo, tą razą niestety zatracone, a szkoda! Zdałoby się i dzisiaj, niejednej, nawet Europejskiej głowie.) «Wziął krzyż do ręki, ale niewidziałem aby go pozdrawiał lub całował; przyglądał mu się tylko, zadając jakieś pytania, których niemogłem rozumieć. Mnich, podmówiony przezemnie, prosił Chaana, czyby nam niepozwoił nosić Krzyża zatkniętego na włóczni? Chaan odpowiedział: «Noście go, jak wam się wyda najstosowniej.» Poczém, złożywszy pokłon, poszliśmy do Xiężny; była już nierównie zdrowsza i wesolutka; piła znów Święconą wodę, znów czytaliśmy Mękę Pańską. Ci nędzni Xięża nie uczyli jój niczego co się tycze wiary; nie wspominali nawet o Chrście. Owóż ja, siedziałem tam oniemiały, niemogąc nic mówić, a ona jeszcze uczyła mię swego języka.

«Przez trzy dni odwiedzaliśmy Xiężnę, i zdrowie jój zostało *zupełnie przywrócone*.

«Wtedy Mnich zrobił chorągiew pokrytą krzyżami, poprosił o łaskę długą jakby włócznia, i tak

nosiliśmy wszędzie krzyż na drzewcu, jak się dało najwyżej, śpiewając *Vexilla regis prodeunt*, na co Saracenowie całkiem osłupiewali.»

Niepróżno Saracenowie osłupiewali ze zdumienia i zgrozy; Chrześcjanie szli górą na Dworze Wielkiego Chaana.

Zadziwiający, i niemal cudowne — bo we trzy dni dokonane — uzdrowienie Cesarzowej, wstrząsnęło umysłami, zapaliło serca. Wyleczona monarchini, zaczęła próbować i różnych innych obrządków Chrześcijaństwa.

Cesarz Mangu patrzył przez szpary, a nawet z pewnym filuternym zadowoleniem, na śmiałość z jaką teraz cudowni lekarze obnosili swoją chorągiew, chwiejąc nią processjonalnie i tryumfalnie pod nosem innych, upokorzonych wyznań. Wprawdzie o Chrście nic nie wspominał, ale widocznie był zajęty osobą Rubruka. Pierwszy to raz pod jego panowaniem, w przebiegłej wikłaninie politycznych plotek, w pośród ciżby słodkich intrygantów i ciemnych prostaków, pojawiał się prawdziwy «Mąż boży», człowiek niepragnący niczego, tylko pomnożenia chwały «Wielkiego Tangri.» — Cesarz obsyłał go darami, od których przyjęcia Missjonarz wiecznie się wymawiał. Ten brak chciwości, na który dworzanie ruszali ramionami w monarsze wzbudzał podziw podobny do cześci.

To téż coraz częściej zapraszał gościa tak niezwy-
czajnego; toczył z nim piękne rozmowy, oglądał je-
go Xięgi Święte, zwłaszcza zawarte w nich cudne
misselowe obrazki, których treść kazał sobie tłu-
maczyć, a których krasnością zachwycał się z dzie-
cinną niemal rozkoszą. Chcąc nawet w zupełno-
ści dogodzić najgorętszym życzeniom Rubruka,
nakazał urządzenie publicznej *Dysputy teologicznej*,
w której rozmaici kapłanie mieli kolejno bronić
swoich wyznań, «albowiem» — twierdził mądry
Mangu — «jako Bóg dał rękóm kilka palców, tak
ludzióm dał kilka zakonów.» — Missjonarz ucieszył
się niesłychanie, widząc przed sobą rozwarte
szranki do wygłaszania prawdy, i chociaż przema-
wiał tylko przez tłumaczy, jednak odniósł najzu-
pełniejszy tryumf; mądrością swoich rozumowań
przymusił do milczenia kapłanów Mahometańskich,
Tybetańskich oraz Ujgurskich, i po raz drugi — już
nie na drzewcu lecz na sercach — zatknął zwycięzki
sztandar Krzyża.

Wszystko zaczynało się powodzić.

Za przykładem obojga Cesarstwa, Chatuny,
Xiążęta, Dygnitarze, mieli same tylko już uśmie-
chy dla wszechwładnego Egzorcysty; a mieli je nie
z wyłącznych pobudek dworactwa, ale i z osobi-
stych przewidywań; na wypadek choroby, dobrze
posiąść łaski takiego uzdrowiciela; a kto wie? Mo-

że on ma «sekreta» i na różnè inne pomysły? Na dobre chowanie się bydła? Na wyłączne zdobycie miłości męzowskiéj? Na zwycięstwa i sute łupy wojenne? O! To wielki czarodziej, ten Szaman z pod Zachodniego Nieba!

Wszędzie go więc zapraszano, razem z Mni-chem Sergjuszem, który teraz już ani na krok nie odstępował «Najmilszego Brata.» Wszędzie ich karmiono, pojono, i gwałtem chciano wtykać dary.

Xięża Nestorjańscy cichaczem trzęśli się ze złości; zazdrościli zwłaszcza Sergjuszowi owego Krzyża z klejnotami, który w ich mniemaniu gułarskiém, niósł tak wielkie szczęście Zakonnikom. Nie śmieli się jednak dotąd z tą zazdrością zdradzić; owszem, głaskali współzawodników, jakgdyby najdroższych przyjaciół. Współzawodnicy byli jeszcze zanadto mocnemi aby się jawnie z nimi kłócić. Co gorzej, mogli łatwo «skompromitować» ich przed Chaanem, wyjawiając że to są kacerze, odepchnięci od reszty Chrześcijan.

— Kiedyś..... później..... to będzie co innego.....—Mówili sobie Nestorjanie.—Przy cierpliwości może potrafimy wyparować tych nieznośnych przybyszów..... Tymczasem, trzeba żyć z nimi w zgodzie, i podszywać się pod wspólny tryumf Krzyża.

I tymczasem, wszyscy byli radzi. Mnich Ser-gjusz roś w pychę i w podarki, (brane nietylko za siebie, ale i za drugich—) a Rubruk, pracując w ci-chości, korzystał z ogólnego zapału, aby pogańskie dusze napędzać do Krynicy Żywota.

I znalazły się takie dusze.

Powstrzymany pokorą zakonną, nic w liście nie wspomina o tych swoich trudach apostołskich, ale znać je później z ich owoców.

— «Już tedy—» pisze Rubruk w swoim Pa-miętniku — «Mangu-Chaan zaczynał powracać ku północy, to jest ku miastu Karakorumowi.....

«Owóz, przyszedł pierwszy dzień Postu..... i Chatota, co tam jest największą damą, pościła przez cały tydzień, razem ze swoim niewieścim Dworem. Przybywała codzien do naszej kaplicy, i rozdawała żywność Xiężom oraz innym Chrze-ścjanom, którzy się tam ogromnemi tłumami zbie-gali.....

«Okolo Pół-pościa, syn Mistrza Wilhelma, (złotnika)..... doniósł Mangu-Chaanowi, że robota którą był zamówił, już jest ukończona..... Kiedy mo-narcha się dowiedział że dzieło gotowe, kazał je Mistrzowi ustawić na miejscu. Kunsztmistrz wyru-

szyl z szeregiem swoich mniejszych, ruchomych domków, zostawiając większe za sobą. Mnich i ja towarzyszyliśmy mu w drodze, podczas której obdarzył nas bukłakiem wina. Jechał on przez góry, gdzie panowały wichry i zimna straszliwe, i gdzie śnieg padał w niezmiernéj obfitości. To téż po nocy przysyłał do nas, prosząc abyśmy się modlili o zmianę pogody, bo wszystkie zwierzęta mogły mu paść na drodze.

«W sam dzień Kwietniéj Niedzieli, przybyliśmy do Karakorumu. Przy piérwszym brzasku porannym poświęcaliśmy Palmy, zrobione z gałązek, na których żaden pączek jeszcze się nie pokazywał, — a koło godziny dziewiatéj weszliśmy do miasta z Krzyżem podniesionym i chorągwią rozwiniętą, ciągnąc przez dzielnicę Saracenów i place ich publiczne, aż do kościoła. Nestorjanie wyszli naprzeciw nas processjonalnie.....

«Pod wieczór..... Mistrz Wilhelm, z wielką uciechą zaprowadził nas do swego domu, na wieczerzę. Jego żona jest córką Lotaryńczyka, urodzoną w Węgrzech. Umie dobrze po Francuzku, a przytém zna i Kumański język. Wieczerza nam przeszła w najszczerzéj radości.....

«Jednak zbliżał się Wielki Czwartek, zbliżała się Wielkanoc, a jam nie miał moich ubiorów kościelnych, i przyglądałem się pilnie Nestorjanom, w jaki sposób oni «konsekrują», i byłem w srogiej niepewności, czy z ich rąk mam przyjąć Sakrament? Czy sam go mam konsekro-

wać..... w ich kielichu i na ich ołtarzu? Czy nakoniec mam się zupełnie od niego powstrzymać? Było tam niezmierne mnóstwo Chrześcijan, Węgierskich, Alańskich, Ruskich, Georgjan i Ormjan, którzy wszyscy od czasu swojej niewoli, byli pozbawieni Sakramentu, Nestorjanie bowiem nie chcieli przypuszczać ich do swego kościoła, dopóki by się nie dali na nowo przez nich ochrzcić. Nam jednak, ci Xieża nie czynili żadnej w tym względzie trudności. Owszem, przyznawali że Kościół Rzymski jest głową wszystkich innych, i że sami powinni by od Papieża przyjmować Patryjarchę, gdyby tylko drogi były możebne do przebycia.....

«Owóz, Mistrz Wilhelm kazał zrobić dla nas żelazną foremkę na Hostje, i sam dla siebie sporządził potrzebne przybranie, był albowiem trochę na xięgach uczony, i w kościele pełnił obowiązki Kleryka. Wykonał on także, w stylu Francuzkim, wizerunek Najświętszej Panny, a na bocznych jego skrzydłach wyrzeźbił z wielką sztuką figury z Ewangelji. Jemu również mamy do zawdzięczenia Puszkę srebrną na przechowywanie Ciała Pańskiego, i Relikwiarz z przegródkami wewnątrz. Nakoniec, zbudował jeszcze kapliczkę na wozie, pełną prześlicznych malowań, przedstawiających sceny z Historji Świętej. Przyjąłem tedy wszystkie te ozdoby, i poświęciłem je, i zrobiliśmy po naszymu bardzo piękne Hostje, a Nestorjanie oddali mi swoje «Baptysterjum», gdzie znajduje się ołtarz. Ich Patryjarcha, przysłał im niegdys

z Bagdadu skórę czworograniastą, jakby ołtarz przenośny, Krzyżmem namaszczoneą, której używają zamiast poświęconego kamienia. Odprawiłem więc Mszę w Wielki Czwartek, z ich srebrnym Kielichem i Pateną, — które to naczynia są niezmiernie duże, — i tak samo w Niedzielę Wielkanocną. Daliśmy Kommunję ludowi, z błogosławieństwem boskiem, jak ufam. A w wigilję Wielkiej Nocy, przeszło sześćdziesiąt osób zostało ochrzczonych w najpiękniejszym porządku, i wielka radość panowała dnia tego pomiędzy Chrześcjanami.»

.
.
.

Najwspanialszą niezaprzeczenie ozdobą téj processji nowochrzczeńców był Ajdar; przystąpienie takiego Dostojnika do religji Krzyża, sprawiło wielkie wrażenie na Buddystach, a zwłaszcza na Mahometanach; Mongołowie co prawda, nie dziwili mu się wcale; tylu z nich próbowało już i Wody Chrzestnej! Może nawet i kilkokrotnie, bo niektórzy niemogli sobie przypomnieć czy już byli chrzczeni, czy nie? Ajdar także byłby może lekko przyjął ten obrządek, ale widząc jaką wagę drudzy doń przywiązują, skorzystał ze sposobności, aby nasycić swoją szeroką próżność. Więc na

prośbę Ludmiły, w ten dzień od rana, kazał rozdać sutą płacę swoim niewolnikom, a po drodze do kościoła, kazał rzucać hojne jałmużny ubóstwu, zbiegającemu się tłumnie na odgłos tej szczodroty.

Zaraz też po przyjeździe do Karakorumu, kazał na gwałt przyozdabiać swój dworzec; najpiękniejszą w nim komorę przeznaczył na sypialnię Ludmiły; wszystkie ściany i stropy obwieszono tam zwojami białego atlasu, łoże zasłano futrami białych niedźwiedzi, a i sam Ajdar, wedle zwyczaju Neofitów, ubrał się od stóp do głów biało, w chałat ze srebrnej lamy, o wyłogach gronostajowych, (na których dzisiaj nie było czarnych cętek,) i w kołpak z białej purpury, osypany perłami. U boku miał szablę «ceremonjalną» w srebrnej pochwie, o rękojeści wyrzniętej z górnego kryształu. W tych srebrnościach, ze swoją złotą cerą, wyglądał jak ulany posąg, i kiedy po białych ulicach Karakorumu, szedł za Krzyżem na czele białych Neofitów, ludzie wychodzili z domów by podziwiać jego Behadyrską piękność, Chrześcijanie wydawali okrzyki radości, ubodzy całowali go po szatach, jedni tylko Saraceni zgrzytali zębami.

Ludmiła, wsparta na ramieniu męża, szła chwiejąc się od szczęśliwości. Owo ponure Karakorum wydało jej się dzisiaj jakimś «Miastem słońca», kościół Nestorjanów, do tej chwili taki

dla niej wstrętny, dziś jój się wydał odłamem Jeruzolimy Niebieskiej.

A kiedy Woda święta, z rąk Missjonarza spłynęła na czoło i pierś Ajdara, w oczach jój się zaćmiło; musiała głowę oprzeć na ramieniu Elżbiety, i obie rozszłochały się serdecznie, czém wszyscy obecni byli mocno wzruszeni. Tylko Ajdar w duszy dziwił się niepomału; on nigdy niemógł zrozumieć radości objawianej łzami.

Zdziwił się jeszcze więcej, gdy w połowie powrotnój drogi, Ludmiła nagle znikła.

Zniknięcie to zrozumiał dopiero wtedy, gdy wróciwszy do swojego dworca, zastał «gołąbkę» stojącą już u progu białej komnaty; czekała, z rajskim uśmiechem na wabiących ustach, i ze srebrną czarą, pełną kumysu, w rękach.

Podawszy ją mężowi, rzekła:

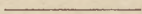
— Weź najmilszy, i przekonaj się, że nasza wiara nie wzbrania ci żadnej niewinnej uciechy.

Potém, sama chwyciła drugą czarę, i wychyliwszy ją radośnie, szepnęła do Elżbiety:

— Jak widzę, niczego w życiu nie trzeba się odrzekać. Ktoby to był powiedział, że ja kiedyś będę kumys piła, i to jeszcze ze smakiem? Ach, on ma dzisiaj dla mnie smak cudowny — smak Wody Chrześnej — smak zbawienia!

.....

Ajdar przebył ten dzień cały, sam na sam z Ludmiłą, i w tym dniu dopiero poznał owe rozkosze i zawroty miłości o jakich zawsze marzył. Ach, poznał takie nawet o jakich nie marzył!



Alleluja!

Nazajutrz, nasze branki mogły szczerze powitać się wesołóm: «Alleluja!» — Pierwszy to raz od opuszczenia kraju, spędzały Wielkanoc prawdziwie po Chrześcijańsku, a nawet—ktoby się spodziewał? prawdziwie «po naszymu.»

Zaczęto świętowanie — ma się rozumieć — od Nabożeństwa, które—jak wiemy z opowieści Rubruka—odbyło się nadzwyczaj solennie i rozrzuwniająco. Ludmiła klęcząc obok męża, radowała się widoczném zajęciem z jakim śledził niezwykle dla siebie widowisko. Znaczenia, ani straszego majestatu Przenajświętszej Ofiary, zapewnie myślą nie ogarniał, bo i z pomiędzy Chrześcijan oświeconych, jakże mało kto się nad nią zastanawia! Ale zewnętrzny przepych olśniewał jego wpół-barbaryńską wyobraźnię. Odbijanie się jarzących światła na złotolitych oponach ściennych, i na kunsztownych przyborach ołtarza—klejnoty rozsypane po

naczyniach i ubiorach kapłańskich — osobliwsza, jakby zaświatowa, harmonijność Syryjskich śpiewów — namaszczenie z jakim celebrował Rubruk, wspaniały i tajemniczy niby jakowyś Melchizedech — «gracja» z jaką Mistrz Wilhelm, główny Kleryk, rządził hufcem biało-szatnych młodzianków, zajętych służbą świętą niby zastęp aniołów — nakoniec wonne tumany kadzidła, nadające świątyni pozór jakiejś pod-obłocznej wizji — wszystko to wprowadziło Ajdara w stan rozkosznej, nieznanej mu błogości.

Przy wyjściu z przybytku, zaprosił do swego stołu wszystkich obecnych tam Chrześcijan, przynajmniej możniejszych. Po drodze, przyłączyło się do nich mnóstwo innych ludzi różnej wiary, a że i Terchan i Ludmiła mieli wielu znajomych, i to niepoślednich, cała ta więc gromada utworzyła im orszak nieledwie królewski, którego przeciąganie przez miasto, wywoływało nowe podziwy, zachwyty i Mahometańskie przekąsy.

W Ajdarowym dworcu, czekała gości pyszna niespodzianka, ni mniej ni więcej tylko Polskie *Święcone*.

Wprawdzie treść téj niespodzianki niemogła

się utrzymać w zupełnej tajemnicy. Już od Kwietniój Niedzieli, wszyscy Chrześcijanie, a nawet i nie-Chrześcijanie, szeptali sobie w Karakorumie, że u chrzczącego się Behadyra ma być uczta Zachodnia, czysto-lacka. Swoi się cieszyli, obcy byli ciekawi, sam nawet Ajdar był ciekaw téj nowości, choć — szczerze mówiąc — patrzył na nią przez ramię, jak na dziecinną igraszkę, dobrą tylko do rozweselenia «gołąbki.»

Ale gołąbka wcale nie na żarty wzięła tę sprawę do serca. Ach, ona byłaby chciała urządzić wszystko zupełnie po naszymu, a tu nieprzeparte przeszkody stawały na drodze.

A najprzód, brakowało tam owego uroku wiosny, dzięki któremu dzień Paschalny jest u nas prawdziwém świętem Zmartwychwstania.

W Karakorumie inaczej. Chociaż Wielkanoc przypadła w owym roku późno, nic tam nie wróżyło jeszcze ocknienia się przyrody. Owszem, była to pora, może ze wszystkich najbrzydsza.

«Zimno w tych stronach» — pisze Rubruk — «jest nadzwyczaj ostre, i jak raz już mróz się zacznie, to trwa bez przerwy do początku a czasem i do połowy Maja..... Gdyby tam panowały w zi-

mie takie wiatry jak u nas, toby wcale niemożna wyżyć, ale powietrze jest zazwyczaj spokojne aż do Kwietnia; w owym dopiero miesiącu zrywają się wichry..... Śniegu téż mało w zimie, ale za to koło Wielkanocy, to jest w końcu Kwietnia, spadło go tak wiele, że wszystkie ulice Karakorumu były zavalone od zasp śnieżnych, które musiano aż furami wywozić.»

Niemożna więc było spożywać Święconego przy wesołym słońcu. Przeciwnie, już od rana, w ogromnej sali dworca, musiano pozapiierać grube okiennice, (jedyne tam sposoby na zamknięcie okien,) a dla rozpędzenia ciemności, zażegnieto mnóstwo pochodni.

Trudniej wszakże było poradzić na zimno panujące w tej wymrożonej stodole. Niewypada przecie ognisk rozkładać jak w jurcie, a nawet i niebezpieczno to czynić w budynku skleconym tak na ślepo jakby ogromna kurna chata.

Zakłopotana Ludmiła, na ten jeden raz naśladowując Turakinę, kazała u czterech rogów sali w kamiennych stągwiach palić Arjasz, co wcale nieźle pomogło, i czém jój małżonek cieszył się niezmiernie, rad że ta uczta choć troszkę przypomina Chaanowe zbytki.

Większą jeszcze zawadą była krótkość czasu. Ludmiła przybywszy do stolicy dopiero na Palmową Niedzielę, miała już tylko ten jeden tydzień do czynienia wszelkich przygotowań, a i w tym tygodniu, cała jój uwaga została pochłonięta przez Chrzcziny Ajdara.

Ale znalazła mistrzowską zastępczynię. Zawinęła się pochlebnie około Arguny, (którą wyjazd syna zobojętnił na wszystko,) wyprosiła u niej kilka dni wypoczynku dla Elżbiety, i tym sposobem całe przyrządzenie Świąconego zostało powierzone Żegnanieckiej pani, która niegdyś w swoim «kastelu», słyęła z cudów sztuki gospodarskiej.

Tu jednak przedstawiła się największa trudność, zabrakło czegoś niezmiernie ważnego.

Nie bałuszów, bo temi Ludmiła sypała na ten raz bez rachunku—nie rąk ochotnych i zgrabnych, bo i pani Buchierowa, i pani Pascha, i kilka innych niewiast Chrześcijańskich, ofiarowało się z pomocą. Czego brakło, to prawie wszystkich rzeczy, z jakich się powinno składać prawdziwe Świącone.

A najprzód, zkąd wziąć jajek?

I na ten kłopot znalazła się rada. Nieoceniona Pascha przysłała z niespodzianym ratunkiem. Dawno już ona kuła głowę swojej pani Cyrynie, rozpowiadając jaka to rozkosz chować drób' sma-

kowity. Zaciekawiona Cesarzówna, kazała sobie ogromnym kosztem sprowadzać z różnych stron świata, różne ptastwo domowe; perlice Chersońskie, cyranki Chińskie, i wichrzysto rozwachlarzone kury z nad brzegów Bramaputry. Pascha więc dostarczyła jaj kurzych, ale niewiele, siedem kop zaledwie.

Za to Baranków nie brakło. Był jeden cały z masła; Elżbieta wyfryzowała go precudnie, i z resztek od Kałgowych sukien, zrobiła mu czerwoną, złotem naszywaną chorągiewkę. — Był téż i prawdziwy Baranek, ba! i niejeden; co sześć mis to stał baran, pieczony, lub gotowany z ryżem, bo ludzie Wschodni dziwnie się w mięsiwie tém kochają. Były i kosztowne pieczenie ze źrebięcia, które później w naszym kraju zwano *Hetmańskiem*.

Specjałów z wieprzowiny, stanowiących u nas główny podkład uczy Wielkanocnej, tam nie widziano prawie wcale. Mało kto chował nierogaciznę, a w każdym razie czasu już nie stawało na wędzenie szynek ani na przyrządzanie kielbas. Te ostatnie jednak zostały świetnie zastąpione przez całe stopy owych drobnych Tatarskich kielbasek z koniny, których sława, od ówczesnych pisarzy aż do dni naszych doszła.

Resztę misek zapełniono przeróżną dziczyzną, oraz wodnym i leśnym ptastwem, a że w tym kra-

ju arcy-mlecznym, nie brakowało masła, więc wszystko było sownie podlane okrasą, która dla ówczesnych Słowiańskich podniebień, stanowiła najwyższą zaletę wszelkiej potrawy.

Następnie pomyślano i o ciastach.

Xięza Nestorjańscy, ładnie poproszeni przez panią Buchierową, (co i sama była nieszpeta,) pozwolili aby niewiasty wykonały swoje dzieło w ich sławnym Szabaśniku, a pozwolili, najprzód z wrodzonej miękkości na wszelki uśmiech białogłowski, powtóre i w nadziei że sami téż coś podpatrzą z owych zachwalanych «sekretów» lackiego pieczywa.

Gorzko się jednak oszukali, bo na Mongolskiej ziemi, lackie sekreta najzupełniej zawiodły.

Elżbieta chciała koniecznie robić *Baby*, przynoszące jęj niegdyś niemało zaszczytu.

Próbowała i tak i owak, niestety! w żaden sposób niechciały się udać. Czy piec był niestosowny? Czy popsuła sprawę ciekawość Xięza Nestorjanina, który wetknął do izby swoją mężką głowę? Czy nakoniec, (i to najprawdopodobniej,) szkodziła niedostateczna ilość jajek?

W każdym razie same najoplakańsze kukle i kikuty wyłaziły jak potwory z gorącej czeluści.

Za to placki udały się niezgorzję. Jedne ponatykano pstrocizną rodzénków i migdałów -- (bo

już co bakalji to nie brakło na Wschodnich targach,) inne poprzekładano ciężkim sérem Gryjstem, — a wszystkie były zaprawne miodem, i takie tłuste, że tylko się oblizywać.

Czego zaś jeszcze więcej napieczono, to chlebów. Ach, te dla ust Europejskich były najpożądańsze. Ich obecność na stołach, nadawała biesiadzie pozór prawdziwie Zachodni.

Cechę zaś «polskości» podtrzymywała najwięcej niezliczona mnogość Pisanek. Było to dzieło Mistrza Kuźmy, dzieło wprawdzie nie jadalne, ale piękne dla oka. Nazbięrał on jaj rozmaitych od dzikiego ptastwa, pokrasił je misternie we wzorki czerwone, żółte i niebieskie, i wszystkie michy niemi do kolusieńka poubięrał.

Zrobił on i drugą rzecz ucieszną. Powycinał blaszane gałazeczki z listkami, pomalował je na zielono, a potem powtykał w mięsiwa i ciasta.

— Oj lichota..... — Mówił. — Takie to udawane te listki, jak udawana tu jest nasza radość.....

Ale branki były innego zdania; ach, one tańcowały z radości w koło stołów, choć na tych stołach roilo się więcej przysmaków obcych niżli swoich.

W każdym razie, było to pewnie pierwsze pod słońcem Świącone, podane z «Tatarskim sosem», a przynajmniej — mówiąc dokładniej — z Tatarską przyprawą.

Przyprawę tę stanowiły niezliczone trunki tamtejsze, owe mléka, miody, piwa i wódki, przyrządzane według miejscowej mody, a wszystko w ilości niesłychanej, bo Ludmiła dobrze wiedziała, że dla Ajdara i jego rodaków, tylko ta część biesiady będzie pociągająca.

Korzystając téż z obecnej łaskawości męża, piérwszy raz przyodziła się w szaty niezupełnie Azjackie. Pod mądrym kierunkiem Elżbiety, uszyto dla niej suknię skrojoną z Europejska; była ona ze złotogłowu, objęta sobolami, dziesięć razy piękniejszemi niż te, w których niegdyś harcowała po Żegnanieckich lasach. (I nie dziwota gdzieżby tedy nosić pyszne futra, jeśli nie nad Bajkałem?)

Dla nierażenia jednak Mongolskich oczu, na głowie zachowała Botę.

Elżbietę przystroiła téż gwałtem w jeden z własnych ubiorów; bardzo wprawdzie skromny, gdyż Elżnna na żaden sposób niechciała piękniejszego. Zawsze jednak w porównaniu do zbrukanych kożuszków, ładnie wyglądał ów chałacik

z kitajki fioletowój, ubrany w pośrebrzyste guzy, (które musiano przesywać, dla przystosowania ich do Elźbiecinój szczupłości,) a podbity i obłożony kałankami, z taką-że czapczyną dla ochrony głowy.

Stroje więc gotowe — jadło gotowe — nawet i «poświęcone». — Jeszcze wczoraj wieczorem, Elżbieta sprowadziła tu Rubruka, i prosiła go usilnie o udzielenie téj duchownój łaski. Zakonnik, nadziwiwszy się uczcie nieznanój w jego kraju, po chwili wahania, odpowiedział:

— A! Takie «święcenie», bez żadnych Mahometów ni Beliałów, tylko w imię samego Pana Jezusa, to i owszem!

Poczém, z najmiłszym uśmiéchem przywdział komżę, pobłogosławił stoły, i pokropił je Wodą Świąconą, którą Mistrz Wilhelm podawał w kunsztownój, srebrnej kropielnicy.

Dzisiaj, gdy prosto z Kościoła, goście hurmem weszli do sali, ze wszystkich ust Słowiańskich, na widok Świąconego, wydarł się jeden okrzyk wesela i rozrzewnienia.

Azjaci bez ogródki ruszali ramionami, patrząc

na bajeczną tę mnogość pokarmów, któraby dla nich — jak mówili — starczyła na pół roku.

Europejczykom przeciwnie aż oczy zabłyszczały, gdy ujrzeli że raz przecie będą mogli najeść się po dziurki.

Przypuszczono też do stołów szturm prawdziwy, przy którym niedługo już wypadło co tchu sprzątać misy i dzbany, aby je napełniać na nowo.

A już nikt może nie jadł z takim szczęściem jak rozplywający się od rozkoszy Kuźma. Bo też niewiasty, w zawdzięczenie za śliczną pracę około Pisanek i Listków, zrobiły dla Mistrza cały gar prawdziwego, najprawdziwszego *Żuru*. Starzec siedział nad szarą zupą rozczulony — powtarzał z uniesieniem:

— Przedni! Przedni! Aż gębę wykręca.

I zajadał go ze «świętym» chlebem, a czasem i ze łzami, bo łzy precz kapały mu do miski.

Próbowali tego przysmaku i ludzie innych «nacyi.» Węgrom dość smakował, ale Francuzi szepotali między sobą, że smutny byłby to *jour*, w którym by się trzeba taką tylko strawą zadowolić.

Za to mięsiwa i ciasta, wywołały tysiące pochwał. Nawet Mnich Sergjusz, (który kazał przynieść swoje składane krzesło, i paradował na niém jakgdyby jaki Patryjarcha,) dał sobie wmówić, że «choć raz do roku, około Wielkanocy», i największy asceta powinien odstąpić od umartwień, i raczył podjeść jak zwykły śmiertelnik.

Dwie przyjaciołki rozdzieliły pomiędzy siebie dwa różne obowiązki gospodyń.

Elżbieta — przy pomocy pani Paschy i pani Buchierowej — to krajała jadło, to rozlęwała napoje, a Filip z kilkoma innymi młodzieńcami, uprzemie roznosił je pomiędzy gośćmi.

Ludmiła, podzieliła się z mężem i ze wszystkimi Chrześcijanami Jajkiem święconém, (którem jednak dzieliła się oszczędnie, bo go zostało niewiele od owych bab nieszczęsnych —) stanęła koło progów, i tylko już witała wchodzących. A było kogo witać; przypływ i odpływ gości trwał przez dzień cały nieprzerwanie. Przyjeżdżały i panie Tatarskie, ciekawe nieznanego widowiska; te, po troszku zakosztowawszy «lackich» potraw, i zabrawszy kukielkę dla dzieci, wynosiły się coperdzój, drwiąc półgłosem z obżarstwa i nudów téj biesiady. Ale panowie Tatarscy już teraz nie drwili, rozbrojeni i oczarowani pięknnością gospodyni; a nie myliły ich oczy; istotnie, była tak uszczęśliwiona ochrzczeniem się męża i swoim Święconém, że dziś wyglądała cudniej niż kiedykolwiek w życiu.

To téż i ów Tolholos jój znajomy — który także tu przybył ze chciwości na wszystko co niezwykle — spożywszy aż trzy migdały, siadł na uboczu, i zapatrzony w brankę «jaśniejszą od słońca», układał cichaczem zwrotki na jój pochwałę.

Ale branka nie prosiła go dziś o śpiewanie; chciała zachować temu przyjęciu, Europejską i niemal Agapową cechę.

Niekiedy też opuszczała salę, ażeby przejść się po dziedzińcu, gdzie także było Świecone—mniej wykwintne ale jeszcze obfitsze—dla niewolników, tak Ajdarowych, jak i wszelkich innych, jacy tylko mogli się docisnąć. Tam już nie z mis jedzono, tam całe barany i woły piekły się na ogniach pod niebem rozłożonych, a hojność była tak wielka, że niejeden biédak nietylko się nasycił, lecz i do swojej nory unosił zapasik.

Z takimi tłumami, Ludmiła niemogła już dzielić się jajkiem; za to je obdzielała pieniążkami, czerpanemi ze szkarłatnego kaptargaku, który po każdym nawrocie musiał być na nowo napelniany.

(Kaptargak, jest to worek czworograniasty na podręczne sprzęciki, rodzaj tornistru czasem obciągniętego siatką; Tatarzy noszą go zazwyczaj u bioder, a niekiedy i zupełnie w tyle.)

Gdy wracała z piątą czy szóstą takową przechadzki, na niebie już wieczór szarzał, w sali powietrze robiło się coraz gorętsze, rozmowy nabrały ożywienia.

Towarzystwo, pod mimowiedn^{ym} działaniem duchowych pokrewieństw, rozpadło się na kilka gron osobnych.

W jednym końcu sali, Azjaci gromadnie otoczyli Ajdara. Ten, onieśmielony swoj^{ym} śwież^{ym} ochrzczeniem, sprawiał się z budującą powagą, ale powaga ta widocznie mu ciążyła. Szczęśliw był że dom jego jest w tym dniu tak hucznie i zaszczytnie nawiedzany, głaskał się po piersi gdy mu wieszowano że dzisiejsza jego rozrzutność przypomina Ogotajowe czasy, jednak szczęki mu co chwila drgały od ziewania.

Ludmiła chciała skierować się w tę stronę, aby wesołym słówkiem rozruszać małżonka, tymczasem po drodze zaczepił ją Mistrz Wilhelm, żywo rozprawiający w kupce Francuzów i Włochów.

Usprawiedliwiał on się z zarzutu, który mu został uczyniony — nikt by nie odgadł przez kogo? Przez najłagodniejszą z istot, przez Elżbietę.

Wprawdzie uczyniła go już dosyć dawno, i to tylko na cztery oczy, bo niechciała nikogo zawstydząć przy świadkach, ale Mistrz odtąd niemógł odzyskać spokojności.

— Zarzucają mi niektórzy — mówił — że mój Anioł ma dawać hasło do pijatyki, i to jeszcze po-gańskiej, mówiono że taka służba ubliża jego nie-

bieskiej personie. Ale przecież to tylko jest «figura»? Całe Pismo Święte przemawia figurycznie. I ja chciałem powiedzieć Chaanowi: «Słuchaj ty głosu Anioła bożego, a znajdziesz Drzewo Żywota.» — Wszak to każdy prawy Chrześcjanin zrozumie?

— Tak, ale czy Chaan zrozumie? — Zapytał cichutko, swemi słabemi piersiami, Brat Bartolomeo z Kremony, którego dziś tu przywieziono, aby się przy Chrześcijańskim stole pokrzepił i nieco rozweselił.

Zanim Buchier zdołał mu odpowiedzieć, Mnich Sergjusz krzyknął:

— Co mu tam po twoich «figurach»? Ja sam ochrzczę Chaana, on już wół-Chrześcjanin, bo niepróżno to syn Chrześcjaniki. Wszyscy synowie Xiężny Siurkukteni, chowali się we czci dla Krzyża. Oto niedawno jeszcze, byłem u Xięcia Aryk-Bugi. Siedziało tam dwóch Saracenów, co na Dworze, niewiedzieć z jakiej łaski, trzymają wysokie urzęda. Więc ja się pytam Xięcia: «Po co te psy przy tobie siedzą?» — A oni na to: — «Po co nas ty znieważasz, kiedy my do ciebie nie gadamy?» — A ja do nich: — «Bo i wy, i wasz Mahomet, jesteście paskudne psy.» — Jak tedy zaczną szczekać na mnie, a bluźnić przeciw Panu Jezusowi, tak do nich Aryk-Buga powiada: — «Nie gadajcie podobnych rzeczy, bo my wiemy że Messjasz to Bóg.» — A co? Czy Xięża nie Chrześcjanin w sercu? Tylko wodą świętą go polać. I Chaana tak samo. Ja wam

powiem coś więcej: Mangu jest nie tylko pół-Chrześcjanin, ale i pół-kapłan. Kiedyś, idę sobie z moim Bratem Frankiem, i niespodzianie natykamy się na Chaana, który wita nas, jak? Oto, robiąc ręką znak krzyża w powietrzu, zupełnie jak czynią Biskupi, gdy lud błogosławią. Cóż wy na to powiecie?

Nikt na to nic nie powiedział.

Wprawdzie u wielu Chrześcjan krew się zgotowała w żyłach. Niejeden miał ochotę wykrzyknąć:

— A zkażde temu poganinowi prawo do biskupich błogosławieństw?

Inny zacisnął pięść pod stołem, i chciał zawołać:

— Podobne przedrzężnianie naszych świętości, to jeszcze gorsze niż zabijanie ludzi!

Ale wszyscy przygryźli sobie wargi. W towarzystwie tak mieszaném, pełném Tatarów, odszczepieńców, i głupców podejrzanych jak ów zaczepty Sergjusz, najmądrzej było milczeć.

Zapanowała nieprzyjemna cisza.

Na szczęście, przerwał ją gość nowy, którego wejście sprawiło nawet niemałe wrażenie. Był to dygnitarz pierwszej wody, Mongoł, ale Nestorjańskiej wiary, nazywał się Bułgaj. Zdawna on już sprawował przy Cesarzu zaszczytne obowiązki Najwyższego Kanclerstwa, obecnie zaś, na domiar

chwały, został zamianowany jeszcze i Wielkim Sędzią, czyli «tym,» — jak mówi Rubruk — «co ludzi na śmierć skazuje.»

Miejsce to Bułgaj objął po — strasznej pamięci — Mangussarze, który niedawno wypadł z łaski pańskiej. Póki Mangu chciał mścić się i tępić swoich nieprzyjaciół, póty puszczał na nich Mangussara, jak złego brytana. Ale kiedy wszystkich wytepił, — «brysiu, precz do budy! A ty, milszy piesku, pójdź do nogi.»

Milszy piesek, Bułgaj, umiał się zastosować do nowych łaskawych usposobień Chaana; ludzi skąpo katował, nad każdym wyrokiem śmierci dobrze się namyślał, a czynił to nietylko z wyższego nakazu, ale i z natchnienia własnej duszy, która należała do mniej dzikich i stosunkowo prawych. Najlepszym dowodem tych oświeceńszych dążeń, była jego wielka zażyłość z Mistrzem Wilhelmem; Bułgaj przepadał za jego robotami, rozumem i układością. Paryżanin korzystał z tego wpływu aby ugłaskiwać Tatara; dawał mu nieznacznie różne rady, nawet w rzeczach nabożeństwa: kiedy ma zachowywać posty? Jak ma odprawiać modlitwy? A koso-oki Sędzia patrzył z uwielbieniem w jego mądre oczy, i słuchał go — jak oczarowany.

To téż i teraz, najpierw rzucał się ku Mistrzowi, mówiąc:

— Jak się masz, mój złoty? A kiedyż będziemy tańcowali pod twojém złotém Drzewem? Gadjże, kiedy?

Potém, w pas się pokłonił Ludmile, nadchodzącój na jego spotkanie, — nakoniec, roztworzywszy objęcia, szedł do Ajdara i krzyczał:

— Winszuję! Winszuję żeś przystał do naszej wiary Krzyża! Jakem prawy Mongoł, wart byłeś tego, Behadyrze.

I zaczęli się ścisnąć — po Tatarsku — aż kości trzeszczały.

Ludmiła, rada że mąż jój znalazł towarzysza wedle swojej myśli, ciężko téż znużona całodzienną krętaniną, powiedziała sobie:

— No, teraz mogę wypocząć.

I zaczęła wzrokiem szukać Elżbiety, ażeby z nią razem spędzić tę chwilę wytchnienia.

Elżbieta siedziała w drugim końcu sali, pod oknem które dla upału panującego w tłumie, cokolwiek odchyłono. Przy niej siedział Rubruk, z wielkiém życiem cós opowiadający.

Właśnie gdy się Ludmiła zbliżała, mówił:

— Choć Moal, jednak z ruchów i postawy przypominał mi nieboszczyka «sire'a de Beaumont», którego znałem na Dworze w Paryżu. Dziwna rzecz,

takie podobieństwo znaleźć na dwóch końcach świata!

— Kto to był podobny do tego pana de Beaumont? — Zagadnęła nowo-przybyła, siadając obok przyjaciółki.

— Kto? Xiążę Batu. Właśnie tu opowiadam pani Elizabecie pierwsze moje wrażenia z podróży. Teraz już trochę przywykłem, ale z początku, kiedy wyjechawszy z Soldai, zobaczyłem po raz pierwszy Moalów, ich wozy, ubiory i zwyczaje, to mi się zdawało że wchodzę w inny wiek. A jednak — prawdę mówiąc — to wszystko nie powinno było tak bardzo mnie dziwić, bo przecie przed wyjazdem, czytałem już opisanie tych krajów przez naszych Braci Jana i Benedykta. Ale to co innego czytać a zobaczyć, oho!

— Jakich Braci? Czy tych co posłowali tutaj od Papieża.

— Tak, właśnie tych samych.

— Jakto? — Wykrzyknęły niewiasty z uniesieniem. — I wyście ich widzieli, już za ich powrotem do ziemi Chrześcijańskiej?

— Widzieć nie widziałem. Nieznam ich wcale — czego mocno żałuję — ale czytałem wyborny Dziennik ich podróży, który we dwóch ułożyli wymownie i wiernie. Dopiero teraz widzę, że wszędzie prawdę mówią.

— I jakim-że cudem, ten Dziennik, właśnie wam Ojciec wpadł do ręki?

— Nie żadnym cudem. Wszystkie narody u nas go czytają, wszyscy Xięża i Klerycy go przepisują, zwłaszcza téż każdy klasztor Franciszkański dobija się o taki odpis, bo to dla nas nie mały zaszczyt, że nasz Zakon wydał te dwie rzadkie światłości.

— A cóż się z nimi dzieje? Gdzież oni teraz mieszkają? Co robią?

— O Bracie Janie słyszałem, że podobno został Biskupem..... gdzie? Niewiem na pewno. Zdaje mi się..... czy nie w Dalmacji?

— A o Bracie Benedykcie, nic nie wiecie?

— O tym nic niewiem. Pewnie wrócił do swego kraju.

— Do naszego kraju, boć to przecie nasz rodak.

— Prawda! Teraz przypominam sobie że tam stało: «Frater Benedictus Polonus.» Prawda!

Branki zmartwiły się niezmiernie, odkrywając że Rubrukowi niewiadome były właśnie te rzeczy, które najwięcej mogły je obchodzić. Elżbieta — na pociechę — dopytywała się przynajmniej co tam stało w ich opisaniu? Czy dobrze odmalowali wypadki Kuryłtaju? Czy téż co wspomnieli o nieszczęsnych ludziach zostających w niewoli? Czy opowiedzieli przygody swojej drogi powrotnéj? Rubruk przytaczał wszystko co tylko mógł zapamiętać, a Ludmiła całą duszą tonęła w ich rozmowie.

W najlepsze była zasłuchana, kiedy przez okno doszedł ją odgłos przytłumionego szlochania.

— Ach, czyż być może aby w takim dniu, którokolwiek u mnie płakał? Czyżby który z niewolników został zapomniany? Czyżby kogo z żebraków odepchnięto?

I niemogąc znieść téj myśli, skoczyła ku stółom. Odcięła kawał kołacza, położyła na nim gruby płat mięsiwa, i wymknąwszy się z sali, wybiegła na dziedziniec.

Musiała jednak całe pół domostwa okrażać, gdyż owo rozwarte okno, było wycięte w bocznej połąci dworca, około jéj ulubionéj, siatkowéj wendy. Obszedłszy narożnik, spostrzegła pod tém oknem kobietę, która wpatrywała się pilnie w głąb' sali, a ręce przyciskała to do ust, to do piersi, aby powstrzymać wyrrywające się z nich łkanie. Twarzy jéj niemożna było rozeznać, dla gęstego już mroku, i grubych zasłon, jakie od stóp do głowy szczelnie ją spowijały.

— Masz..... bierz..... pewnoś głodna..... — Szepnęła Ludmiła, wtykając jéj w ręce jadło.

— Czekaj..... może jeszcze jaki bałyszek znajdzie się u mnie w kaptargaku?

I rękę już zapuściła na głąb' woru, kiedy nagle, uczuła dziwne jakieś, wilgotne uderzenie. To niewiasta cisnęła jéj w twarz, dane sobie ciasto i mięsiwo, — potém, podniosła rękę z pięścią zaciśniętą, i mówiła do niéj głosem przyduszonym, przez zęby:

— Masz! Nietrzeba mi twoich złych darów, ani twojej fałszywej litości. Ha, dzisiaj ty się cieszysz, ja płaczę! Ale kiedyś i ty zapłaczesz nad tym dniem okrutnym..... Będiesz ty kiedyś miała krzyż!

To mówiąc, odepchnęła Ludmiłę, — wyszła na dziedziniec — i znikła w natłoku.

Ludmiła, zmieszana, ogłuszona, obcierała twarz i ubranie.

-- Co to za niewiasta? Czy jaka warjatka? Czy też.....

Przeleciało jej przez głowę przypuszczenie.....

W chwili gdy nieznajoma podnosiła rękę, z pod obsuniętej chusty mignął profil rysów, które Ludmile przypomniały Bigę..... Ale, w takim głębokim zmierzchu, wzrok łatwo może się omylić.

Wróciwszy powoli na dziedziniec, oświetlony kilkoma dogasającymi ogniskami, stanęła u progów dworca, i ztamtąd przepatrywała tłumy niewolników i ubogich, w nadziei że może jeszcze dojrzy nieznajomą, a na sercu zrobiło jej się smutno. W tym dniu w którym chciała rozsięwać samą radość, w tym dniu właśnie.....

— Co to? Gosposia we drzwiach? Sama śliczna gosposia? A my właśnie do was!

Takie słodkie słowa, grubemi głosami powtarzane, zbudziły Ludmiłę ze smutnego jej zamyślenia.

Spojrzała. W koło niej roilo się pełno mężczyzn opasłych, o twarzach karmazynowych, o ruchach dziwnie chwiejnych. Była to gromada Xięży Nestorjańskich, już dobrze podpiłych.

— My słyszeli, co dziś u was było «poświęcenie» już nietylko samych kubków, lecz i mis. Więc my przyszli aby cieszyć się z wami, bo i my przecie Chrześcijany, i Behadyr w naszym kościele się ochrzcił, i chleby się u nas piekły. Wszak piękna gosposia nie odpędzi nas, co?

I tak, jeden przez drugiego zaglądnąwszy, pchali się do sieni, a razem z sobą i Ludmiłę wpychali.

Ta, choć nierada nieproszonym przybyszom, przypomniawszy sobie święte obowiązki gościnności, weszła co prędzej do sali, mówiąc z uśmiechem:

— A i owszem, proszę, bardzo proszę.

Wtargnęli za nią, z iskrzącymi oczami, z czerwonymi nosami, powiązani łańcuchem po trzech i po czterech, pomimo czego zataczali się od ściany do ściany i od stołu do stołu.

Z ich wejściem, zabawa przybrała nową postać, hulacką, krzykliwą. Gospodyni z początku zmartwiła się tą zmianą. Dotąd, przyjęcie było takie pańskie i Chrześcijańskie!

Po chwili jednak pomyślała sobie:

— Może to i lepiej?

Albowiem Ajdar, który do téj chwili gadał półgębkiem i pił maleńkimi haustami, z przybyciem nowych gości nagle poweselał.

I jak tu nie było poweseléc? Nestorjanie rzucali się wszystkim na szyję, całowali wszystkich z pijackim rozczuleniem, a precz sypali dwuznaczniki, od których aż uszy wędły.

— A! Tak ucztować, to rozumiem. — Pomyślał sobie Ajdar, i powoli rozpinał guzy od chałata. Wszyscy się rozochocili, nawet sztywny dotąd Bułgaj, lał czarę po czarze z czubem, i gardło rozdziewiał do Mongolskiego śmiechu,—nawet cienki Filip zaczął pleść grube żarty, za które Tatarzy go chwalili.

Toasty szły bez końca.

«Za długie życie ukochanego Behadyra!» — Na co Ajdar odpowiedział, wychylając kubek «na cześć pięknych niewiast, a zwłaszcza lackich gołabek!»

Potém pito «za spełnienie życzeń» Kanclerza Bułgaja—oraz wszystkich obecnych — nawet «za szczęśliwe udanie się Srebrnego Wilhelmorego Drzewa.»

Buchier dziękując, wniósł dwa zdrowia. Jedno «przecacnego króla Franków, Ludwika» — drugie «swego przyjaciela Mistrza Kuźmy.»

Kuźma znów przy podziękowaniu, zapędził się w toast niebezpieczny.

— Pije — rzekł — za szczęśliwy powrót.....

Chciał powiedzieć: «za powrót nasz do domu» — ale Buchier trącił go łokciem pod żebro, Kuźma zmiarkował że w obec Tatarów niemożna wygłaszać takich życzeń, i ratując się nowym pomysłem, zawołał:

-- Za szczęśliwy powrót Ojca Rubruka do Francji!

Ale został zakrzyczany przez całą prawowierną część towarzystwa, która wołała:

— Ale gdzież tam! Pijmy owszem za pozostanie Ojca między nami, jak najdłużej! Jak najdłużej!

Z czego wszczął się gwar wielki, — tylko Nestorjanie, jakgdyby nagle wytrzeźwieni, zachowali głucho milczenie.

Zakonnik, chcąc dowieść Ajdarowi, że nie wzbrania szczerzej ochoty, przystąpił do stołu, podziękował, i podnosząc czarę z «cosmosem», wniósł Zdrowie Ojca Świętego, Najwyższego Pasterza, którego zacny Gospodarz stał się dziś owieczką.

Poczém, wrócił na swoją ławę pod oknem, gdzie go przyciągała rozmowa z Elżbietą, prowadzona piękną francuszczyzną, i budująca piękną treścią.

Ludmiła siadła opodal, i pograżyła się w słodkiem dumaniu, które ją zwolna odgradzało — niby mur obłoczny -- od poziomej rzeczywistości.

Raz tylko jeszcze, mocniejszy okrzyk biesiadników, przywrócił jój poczucie miejsca i chwili w których się znajduje. Przez błękitnawe opary, unoszące się z Arjaszowych płomieni, spostrzegła stół zasłany zwaliskami uczy — twarze mężów rozgorzałe — w rękach podniesionych dwuszyjkowe czary — a nad wszystkiem postać Mnicha Sergjusza, który wstawszy, i w górę wyrzucając swój kapelusz z piór pawich, wznosił toast «za wieczną zgodę Chrześcijan i Mongołów, a za wytracenie przeklętych Saracenów!»

Ale te obrazy i okrzyki przemknęły się przed nią niepochwytne, jakby senny majak. Po chwili, już nic niewidziała tylko Elżbietę i Rubruka, których postacie świeciły przed nią na czarném tle okna, jak cicho gorejące, dwa niebieskie zjawienia, — nakoniec, otoczył ją całą biały świat zadumy, w którym zawieszona, kołysała się jak skowronek w obłoku, i trzepocąc radośnie skrzydełkami duszy, w głębi serca wyśpiéwywała pacierz dziękczynienia:

— Więc jednak dożyłam tego dnia czekanego! Dzięki Ci Boże, za wszystko! Za wszystko! Dzięki Ci, Baranku Zmartwychwstania! Dzięki Ci, Matko miłosierdzia! I Wam dzięki, Aniołowie i Święci! A już najwięcej tobie, ty mój najmilszy,

mój złoty Święty Franciszku, co tak wyraźnie opiekujesz się nami! Oto już dwa razy przysłałeś nam twoich synów duchownych z gałązką pocieszenia. Raz, Ojca Benedykta do Elżbiety, aby jój opowiedział o dziecku. Drugi raz, Ojca Wilhelma do mnie, aby zbawił duszę Ajdara. Dwa ptaki dobrej wieści spuściłeś ku nam z nieba. Ach, i tamten był drogim gościem, tém droższym że z naszój ziemi, ale cóż? Ledwie błysnął, już odleciał! Ten lepszy, bo chce zostać. Nie trzebaż to być świętym człowiekiem, aby z dobrej woli pozostawać w tém piekle, zkaąd wszyscybyśmy chcieli na skrzydłach uciekać? Ten jeden rozmiłował się w kraju cierpienia. Dzięki ci Boże, ten już nie odleci!

I ten odleciał!

A jednak, i ten odleciał! Wygryzło go czarne pactwo pogan i kacerzy. Od wieków całych siedzieli oni w Azji obok siebie, nie narażając się nikomu zbytnią gorliwością, nie myśląc o wyłącznym zwycięztwie swoich wyznań, ale czyniąc sobie wzajem uprzejme ustępstwa, dzięki którym wszyscy mogli żyć spokojnie, i dzielić się po kawałku grubą łaską Chaanów.

Nie psuło im téj spokojności zjawianie się owych fałszywych nawracaczy, niosących listy lub rozkazy niebieskie; dość było spojrzeć na podobnych przybylców, aby poznać że im także nie chodzi o nic innego, jak o kawałeczek łaski Chańskiej; byle im tę kość rzucić, a przysiądą w kątku, i będą ją sobie ze smakiem ogryzali.

Dopiero przybycie posłów Rzymskich, rzuciło piérwszy postrach. Jednak jeszcze mówiono sobie:

— To tylko *posłowie*. Jak przyszli tak odejdą.
I rzeczywiście, — odeszli.

Ale ujrzawszy Rubruka, wszyscy — Szamanie i Mahometanie, Buddyści i Nestorjanie — uczuli że teraz przyszła chwila stanowcza — że to wróg dla nich wszystkich wspólny.

To był już czysty Missjonarz, człowiek nie szukający ni politycznych sojuszków, ni osobistych korzyści, ale pragnący tylko zdobywania dusz.

I co najgorsze, ten chciał zostać.

— Trzeba go wypłoszyć, bo za tym pierwszym przyjdą inni, a wtedy już przepadło nasze wygodne gospodarzenie po Azyjskim rajy.

— Trzeba go wypłoszyć — ale zręcznie, cicho, zwłaszcza bez męczeństwa — bo męczeństwo prędzej czy później, zawsze płodzi tryumf.

Nasamprzód, spróbowano potwarzy.

Właśnie w owym czasie, policja Tatarska odkryła rzecz straszną: w odwecie za wojnę jaką Hulagu niósł Izmaelitom, «Assasyni» wyprawili czterdziestu morderców, którzy krążąc po Mongolji pod przybranemi postaciami, na ten lub inny sposób mieli zgładzić Chaana. Wtedy rzucono myśl, czy Rubruk i jego towarzysz, nie należą także do liczby tych czterdziestu?

Posądzenie jednak było nazbyt śmieszne. Po krótkim śledztwie, i po sprawdzeniu listów Xięcia Batego, sprawa sama z siebie upadła.

Wtedy, wzięto się do skrytej, zjadliwej obmowy, która kroplą po kropli sączyła jad w ucho Cearskie.

A traf też nieszczęśliwy zdarzył, że Rubruk, rad nie rad, musiał i z własnej woli nieco się narażać Chaanowi.

Było to z powodu owego wiosennego festynu, którym Chaan Mangu chciał na wiek wieków rozsławić swoje rządy.

Przygotowania do tej uroczystości, kosztowały Mistrza Wilhelma niemało trudu i zgryzoty.

«Drzewo srebrne» już było umieszczone w sali pałacowej; przytwierdzono je tak uczenie, że ani drgnęło, niby dąb odwieczny. Rury też wyborne pracowały; strugi kumysu i wina były na zawołanie. Wszystko się powiodło, prócz jednego, jedyne go szczegółu, a niestety, był to właśnie ten szczegół, na którym twórca zasadzał największą cudowność swego dzieła: anielska owa trąba milczała jak zaklęta. Przerabiano sto razy tajemną maszynerję,—próżne usiłowania! Wprawdzie, po wielkim przymusie wywartym na miechy, coś buczało we wnętrzościach Drzewa, cóż kiedy te ryki były takie zabawne, że sami robotnicy kładli się

od śmiechu. Tylko Mistrzowi na śmiech się nie zbierało; nieszczęśliwiec chodził jak bez głowy.

Filip, od dzieciństwa przesiąkły Tatarską zabobonnością, twierdził że wedle Chańskiego przewidzenia, ktoś musiał podpatrzeć robotę, i urzec ją «złém okiém.»—Sam Wilhelm zaś w duszy sobie mówił, że «dame Lisbette» musiała mieć słuszność, i że Anioł niechce grać, bo się obraził na głupiego Chrześcijanina co mu każe słuchać rozkazów pogańskich.

Tymczasem dni schodziły, zlatywały..... W ostatniej chwili, złotnik musiał z bólem serca wyrzec się swoich miechów, skwitować z czarodziejstwa, i zastąpić je środkiem nierównie pierwotniejszym: w grubości pnia, pod Aniołem, wyżłobiono skrytkę z kilku nieznacznymi otworami; tam po kominiarsku dostawał się i sadowił żywy człowiek, prawdziwy trębacz, który za danym sobie znakiem, wygrywał fanfary na prawdziwej trąbie. Tym sposobem, skutek został bądź co bądź osiągnięty, a dla nieświadomych, wyglądał nawet równie czarodziejsko jak w pierwotnym zamiarze. Mistrz Wilhelm odetchnął.

Na kilka dni przed ucztą, Chaan przyszedł do sali dla obejrzenia Drzewa, i został tak zachwycony, tak podbity, że twórcę nie tylko po cesarsku obdarzył, ale o dziwo! tego jeńca, tego niewolnika, zamianował swoim Najwyższym Podczaszym.

Był to zaszczyt odurzający. Zresztą, mniejsza Francuzowi o pogańskie zaszczyty, on w téj chwale widział coś lepszego: była to fortuna, była to względna wolność, była to przyszłość zapewniona jemu i jego dzieciom, o ile przy władcach Mongolskich cokolwiek mogło zwać się pewnym.

Chaan chciał jeszcze coś uczynić dla nowego swego ulubieńca; na domiar łaski, jemu powierzył urządzenie Uroczystości Wiosennéj.

Mistrz Wilhelm wywiązał się z tego zadania prawdziwie po mistrzowsku. Złoty przepych Azjajski, posypany brylantowym pyłkiem wykwintności Paryzkiéj, wytworzył święto godne «Tysiaca i jednéj nocy.»

A był w tém święcie pewien szczegół niezwykły, może z Wilhelmowego serca wyszły..... kto wie czy nie przezeń podszeptęły monarsze? Do téj uroczystości bezprzykładnéj, przypuszczeni zostali wszyscy — wszyscy bez wyjątku — nawet niewolnicy.

Świętowanie, które miało trwać dni kilka, rozpoczęło się 25 Czerwca, 1254 roku.

W dniu tym, nietylko że na placach i targowiskach rozdawano darmo sutą strawę i obfite napoje, nietylko że do Cesarskich ogrodów puszczano bez różnicy bogatych i ubogich, ale przez drzwi

pałacu szeroko rozwarte, każdy mógł widzieć oblicze Chaana, majaczące za Srebrném Drzewem, jak bożyszczę między obłokami. Każdy nawet kto chciał i śmiał, mógł wejść do sali, uklęknąć, i przed oślepiającym tronem dziewięć razy czołem uderzyć. Ale z pomiędzy gminu, mało się znalazło takich śmiałków. Straże gęsto porozstawiane, nie miały w tym dniu roboty; lud, wystrachany wielkością łaski Chańskiej, krążył cicho jakby rój cieniów, aż Wielki Podczaszy wydał Skarbnikom rozkaz, aby wstąpili na mury otaczające ogród, i pełnemi garściami ciskali pieniądze. Pomysł mądrego Mistrza podziałał magicznie; w gonitwach za złotym deszczem, tłumy się rozruszały, zaczęły jeść, pić, płaszać, w ręce klaskać przed obliczem Chaana, i oto—jak niegdyś podczas «inauguracji» stolicy—tak i dziś, wszyscy mieszkańcy Karakorumu, od największego aż do najmniejszego, zostali porwani szałem bezpamiętnej radości.

Radość ta i na brankach naszych odbiła się słodko, tém słodziej że po raz pierwszy mogły w jakiejś uroczystości Dworskiej uczestniczyć *razem*. Arguna, korzystając z ogólnych zaprosin, wybrała się także do pałacu, strojna jak dziesięć Chatun; szła z całym swoim domem, nawet z niewolnicami, których liczba powiększała jęj wspaniałość; między niemi, kroczyła trwożliwie i Elżbieta,

przybrana przez Ludkę w swój odświętny chałcik. Wkrótce nawet obie przyjaciółki mogły się połączyć, Arguna bowiem, z otwartymi ustami, olśniona widokiem Dworu, na nic nie zważała, — Ajdar zaś, porwany przez przyjaciół, zawieruszył się już u progu. — Wtedy Ludmiła szepnęła do Elżbiety:

— Pójdź ze mną.....

I uśmiechała się w duszy, wyobrażając sobie podziw, jaki za chwilę ogarnie Elżunię, na widok sali z koralowemi ścianami, ze złotemi słupami, z estradą i niezrównanym tronem.

Ale czego się niespodziéwała, to że i sama dzisiaj oniemieje z podziwu.

Kiedy nakoniec przez tłum się przebiły — kiedy spostrzegły — obu im jeszcze nieznane — arcydzieło Mistrza Wilhelma, obie stanęły jak wryte.

Blask sali, przepych Dworu, nawet majestat Chański, wszystko nikło w obec czarodziejskiego Drzewa.

Musiało być ono niepojęcie ogromne, kiedy wedle słów Rubruka: «zapełniało większą część sali», która mogła — jak wiemy — pomieścić do tysiąca osób.

Utwór ten nie wyglądał więc wcale na dziecinną zabawkę, ani na «koncept» niezdrowego smaku. Owszem, był to wykwit najbujniejszej poezji, dotykalne urzeczywistnienie jakiejś bajki Wschodniej.

Pień fantastyczny, gdzie-nie-gdzie pokryty korą, gdzie-nie-gdzie łuszczkowany, wyrastał srebrnym słupem z ciemnego, spiżowego pagórka, do którego po czterech stronach wiodły wspaniałe stopnie. Na czterech narożnikach téj podstawy, srożyły się lwy dziwne, o twarzach pół-człowieczych,— a z wysokości Drzewa spuszczały się cztery węże skrzydlate, pokazujące złośliwie swe widlaste żądła; rzekłbyś, że lwy i smoki groziły sobie wzajem, te z dołu, te z góry. — Nad tą pierwszą sferą walk i gniewu, roztaczała się sfera wesołego spokoju. Kopała z pokręconych konarów, powiązana siatką misternych gałązek, zatrzęsiona morzem błyszczącego liścia, srebrna, przezroczysta, ruchoma. Gdzie-nie-gdzie gałęzie spływały tak nisko, że przechodzący goście, wierzchem kołpaków i piórami botty je trącali, a wtedy wszystkie liście grały cudnym chrzęstem, jakby jakieś niewidzialne wojsko w karacenie, zstępowało z nadziemskich krain.

Wszystko to Mistrz wykonał z szaloną fantazją Średniowiecznych artystów. Owe lwy i węże nie były brane z żywych wzorów; były to pyszne dziwolągi, jakieś pół-Chimery, pół-Demony.— Drzewo także przedstawiało gatunek nieznany uczonym; niby dąb—niby jabłoń—niby palma—miało i złote żółędzie, i złote jabłuszka, i gdzie-nie-gdzie kiście wachlarzyste. — A w tym gąszczu, gnieździły się niewidziane ptaki; jakieś fenixy w emaljowych djademach, jakieś pół-słowiki o motylach skrzy-

dłach, jakieś pół-gołąbki o kobiécój piersi — tu samotne — ówdzie całujące się złotemi dzióbkami.

Dopiero nad tém wszystkiém — nad śmiercią i życiem, — nad walką i miłością — unosił się Anioł — stopami ledwie dotykający Drzewa — ze skrzydłami rozwichrzonemi — z trąbą przy ustach — i piękny i groźny — niewiadomo na co zatrąbi, na tryumf czy na sąd?

Napatrzywszy się Drzewu, Ludmiła rzekła do Elżbiety:

— Czy pamiętasz, jak tam w Krakowie, przy uczcie Turniejowój, nasz król Bolesław mówił «że byłoby to cudnie, gdyby po świecie rosły drzewa srebrne ze złotemi *fructami?*» — No i oto, drzewo takie wyrosło, i my na to patrzemy!

— Pamiętam dobrze. I także pamiętam, jak mu nasza świętobliwa Xiężna odpowiedziała, że lepiej by prosić Pana Boga o coś takiego, coby mogło służyć nietylko bogatym ale i ubogim. Ach, i tu widzimy jaką mówiła prawdę. Czyż to nie zgroza? Jedni siedzą pod złotemi drzewami, a drudzy jedzą myszy!

— Tak, prawda. Jednak rzecz dziwna, że taka bajka się spełniła, i że my na to patrzemy. Jeszcze słyszę jak nasi goście mówili: «Oj, tożby się garściami rwało takie fructa!»

I jakby w odpowiedzi na te słowa, Chaan właśnie wyciągnął rękę, targnął gałązkę chylącą się ku estradzie, odłamał z niej złote jabłuszko, i podał je swojej piérwszej małżonce, Chatocie, która siedziała przy nim na niższej poduszce. Chatota usmiechnęła się z pokorną podzięką, i wiewiórczemi ząbkami zaczęła dla zabawy nadgryzać lśniącą gałkę, a Cyryna siedząca na trybunie Xiężniczek, zérkała okiem zazdrościwém, czekając czy téż ojciec i dla niój nie odłamie złotego «fructu»? A pani Pascha stała za Cyryną, wystrojona i rozradowana — tryumfująca tryumfem swojego rodaka.

Tryumf ten był zawrotny.

Piérwszy Podczaszy wyglądał jak słońce. Po Paryzku dzisiaj umyty, po Wschodniemu namaszczoney wonnościami — odziany w błękitną purpurę i w różowe Chińskie atłasy — obłany złotem i drogiemi kamieñmi — stał pod swoim Drzewem z piersią wzdętą od chluby i rozkoszy. — Jako «Mistrz ceremonji», witał wchodzących i miejsca im wskazywał, a wszyscy mu się kłaniali, Wodzowie i Ministrowie, starzy i młodzi, wszyscy. — Był on dla nich czémś niepojętém; na owo cudowne Drzewo, ciemni ci Azjaci patrzyli nietylko z uwielbieniem, ale z ogłupieniem. Przez Wielkiego Tangri! Człowiek co to zrobił, to chyba nie człowiek..... po prostu..... czarnoxięźnik..... a co jeszcze większe:

to najnowszy, ostatni faworyt Chaana! Więc zamiatali przed nim ziemię pokłonami podobnemi już nieledwie do czołobitności.—Pani Buchierowa była obleşona przez uśmięchające się do nięj Chatuny—a dorodny Filip, ubrany pół z Tatarska, pół z Frankska, zbierał strzeliste spojrzenia Mongołek, i w junackich rojeniach obiecywał sobie, że póty będzie zbierał i przebierał, aż dostanie za żonę, jakąś w jassyr wziętą, Chińską cesarzównę.

Cóż dopiéro zaczęło dziać się w sercach, gdy Chaan dał znak ręką, trąba z ust Anielskich zabrzmiała, i osiem strumieni wytrysło pod Drzewem, cztery srebrne z kumysu, cztery złote z wina! Wytrysły same, jakby cudem..... W piérwszój chwili, wszyscy osłupieli. Potém, z tysięcznych piersi wyrwał się okrzyk dziwny, podobny do krzyku przerażenia.—Tylko Wielki Podczaszy nie okazał trwogi; przeciwnie: — on, który dotąd ciągle truchlał czy ów nieszczęsny trębacz odezwie się w porę, teraz potoczył po tłumach spojrzeniem zwycięzcy.—Wziął roztruchan wysadzony trzystu rubinami, podstawił go pod lwią paszczę, burzący się od kumysu wniósł po krętych schodach, i na kolana podał go Chaanowi.

Wtedy, wszystkie Wiary wystąpiły kolejną.

Poganie i kacerze błogosławili czarę Chańską, nawet Mnich Sergjusz wyciągnął nad nią swe piezaste ręce.

W chwili gdy monarcha do ust ją przytykał, Nestorjanie podali mu «Święty Chlébek» leżący na agatowej misie. Chaan przyjął go miłościwie, i z przyjemnością zakąsił napój, tym pulchnym a rzadkim u Tatarów przysmaczkiem.

Potém..... stał się dziw niesłychany.

Chaan, wypiwszy pierwszy kiélich, wypowiedział rodzaj Tatarskiego toastu.

Pan świata, raczył przemówić do świata.

Treść mowy była niespodziana, nie licująca z godziną zabawy i rozkoszy.

— Oddaliłem—rzekł—braci moich odemnie, i wysłałem ich do krain zapadłych, między niebezpieczeństwa srogie, ażeby tam szerzyli wielkość imienia Mongolskiego. No, a teraz wkrótce zobaczymy, co téż wy potraficie, gdy z kolei wam każę pracować nad pomnażaniem naszej mocy i chwały?

Słowa monarsze, z ust do ust powtórzone, gromem się rozbiegły po tłumach, i chwilowo zasepiły ich wesołość. Posłowie obcych mocarstw,

kupcy, niewolnicy, zadrżeli na zapowiedź nowéj wojny.

Ale Mongołom oczy krwawo błysły. Behadyry i Nojany wzniosły ku Chaanowi okrzyk dziekczynienia — całe żołnierstwo Tatarskie odpowiedziało jedném wyciem radości — radość ta, wespół bezwiednie udzieliła się innym sercom — wrócił nastrój ślepéj uciechy — trąba zaczęła grzmieć raz po razie — światło dzienne zachodziło i wschodziło — gwiazdy się zapalały i gasły — trąba ciągle grała — Chaan pił — sto ludów z nim piło — i dopiero piąty wschód słońca zakończył te dni pamiętne dla Mongolji — dni tryumfu Mistrza Wilhelma.

Nic jednak na tym świecie niemoże być zupełném. I w radości Mistrza brakło jednéj struny; między zaproszonemi brakowało mu gościa, jednego, ale może najmiłszego, bo to był gość Europejczyk, jedyny co mógł zanieść do Francji wieść o arcydziele i tryumfie jéj syna-wygnańca. Na «Uroczystości Srebrnego Drzewa» byli wszyscy — oprócz Rubruka.

Wiedział on, że jeśli się tam uda, zostanie wezwany do błogosławienia czary Chańskiej, czego — jak wiemy — nigdy nie byłby się podjął w takim kształcie obrzędu jaki tam odprawiano.

Pójść zaś, i odmówić błogosławieństwa? Rozgniéwać monarchę i oburzyć tłumy? A tegoż

właśnie pragnęli jego nieprzyjaciele? Na taką tylko sposobność czekali, aby go zgubić w oczach władcy, i przeciąć na zawsze jego przyszłe działanie.

Najroztropniej było nie pójść wcale. Pomimo więc uprzejmych zaprosin Dworu, pomimo nalegań i błagań Podczaszego, wymówił się obowiązkami swego stanu. Podczas gdy zabawa wrzała u Chaana, on chrzczył biędne dzieci jeńców, których w niewoli tyle już naprzybywało, że niemógł nadażyć ze chrzcinami.

Rodakowi swemu jednak świetnie wynagrodził ten zawód; w kilka dni później poszedł z nim do pałacu, obejrzał cudowne Drzewo, i w swoim Pamiętniku zamieścił jego wierny opis, równie jak i szczegóły całej Uroczystości, zasłyszane z ust Wilhelma i tysięcznych świadków. Pamiętnik ten, chciwie później czytany w Europie, rozślawił tam dzieło Mistrza, tak że przez długie wieki, nie wyobrażano sobie inaczéj Chaana Mongołów, tylko rozsiadłego pod «złoto-srebrném drzewem», i spełniło się najgorętsze życzenie jeńca-Paryżanina, imię jego zabrzmiawszy od Chin do Atlantyku, obilo się złotém echem o mury Paryża, i oto my dziś jeszcze, po sześciuset latach, wspominamy je z podziwieniem.

Wielki Podczaszy więc niemógł zachować żalu do Rubruka, ale kto go zachował, to Chaan. Ubodło monarchę pogardzenie jego zaprosinami;

zrozumiał, że ten kapłan nie będzie w jego ręku tak powolnym jak inni.

Jednakże, gdyby nie tajemne knowania, wdzięczny małżonek Chatoty byłby pewnie prędko zapomniał urazy, témbardziej że właśnie w tymże czasie przedstawiła się nowa sposobność do zyskania jego wdzięczności.

Cesarzowa Siurkukteni, która już od koronacji syna zaczęła upadać na siłach, w ciągu tego lata ciężko zachorowała.

Mnich Sergjusz, zawsze skory do śmiałych obietnic, zapowiedział iż chce się za nią wstawić u Pana Boga, co—wedle słów Pamiętnika—«podo- bało się Chaanowi.»

Okoliczność ta rzuciła na wszystkich innowierców niesłychany postrach. Bo i cóż? Jeżeli ów Ormjanin z owym Frankiem potrafią jeszcze uzdrowić i matkę Cesarską, wtedy już ich stanowisko na Dworze stanie się niezachwiałném, ich wpływ na umysł Chaana nie zazna już granic. Trzeba tych przybylców niedopuszczać do chorój.....

Odszczepieńcy nie śmieli występować jawnie przeciwko Chrześcijanom, ale naprzód wysforowali pogan. «Chan Szamanów» szepnął Cesarzowi, że modły Sergjusza i Rubruka szkodzą jego matce. Skutki téj przestrogi dały się wnet uczuć obu Mnichom; niepozwolono im bić w tablice wiszące

przed ich kapliczką, bo ten dźwięk miał drażnić «Ongona choroby», a nakoniec kazano im się wynieść zupełnie z okolicy gdzie stały tabory Cesarzowój.

Zazdrośnie strzeżona przez Nestorjan, barbarzyńsko leczona przez Szamanów, po niedługim cierpieniu, Mądra Xiężna umarła.

Przed śmiercią zostawiła rozkaz, aby ją pochowano nie w ojczyźnie Dżyngischana ale w ziemi Chereth, i aby do jój grobu włożono jakąś czarną skrzynkę, która była tak uczenie zamknięta, że nikt nie doszedł co się w niej zawięra?

W ostatnich latach swego życia, Siurkukteni— jak wiemy — ustąpiła z widowni; zdawało się że szuka ciszy, że chce być zapomnianą. Ale cisza i niepamięć nie leżały w jój przeznaczeniu. Jak za życia wzniecała wszędzie wojnę i rozterki, tak i śmiercią swoją wniosła do świata umarłych jakieś niesłychane zamieszanie. W chwili jój skonu, zerwał się nad ziemią Chereth przerażający huragan, i co dziwniejsze, wielu tamtejszym ludziom pokazały się Duchy.

Jakie Duchy? Po co przychodziły?

Czy to były larwy tych wszystkich Dżyngischanidów, co dla jój miłości świat burzyli, mordo-

wali się i truli wzajem? Czy — niesyci współzawodnictwa, zbiegali się i teraz do śmiertelnego jéj łoża, aby sobie tę zdobycz i za grobem wydziérać?

Czy téż to były krwawe Cienie Ong-Chana i wyrzniętych przy nim Cheraitów, które wychodziły tryumfalnie na spotkanie swojej mścicielki?

Nikt z żyjących niemógł zrozumieć tego niepokoju w świecie Duchów.

Sam tylko «Chan Szamanów» może wiedział co się tam dzieje, — ale jako prawy Mongoł, pokrył milczeniem Cheraicką zagadkę.

Tymczasem, spochmurniałemu Chaanowi, szeptano coraz nowe skargi na Rubruka. Wszak on niewolnikom dawał dziwne rady? Aby okradali swych panów..... aby nie spełniali powinności żołnierskiej.....

Na pierwszy z tych zarzutów, Mangu się tylko uśmiechnął, i machnąwszy ręką, powiedział:

— E! Wy wszyscy mię okradacie, a ja jednakże nic nie mówię.....

Ale drugi zarzut wydał mu się cięższym, a już co go najwięcej obraziło, to wieść puszczona przez potwarców, jakoby missjonarz twierdził, że Mangu

jest pokryjому Buddystą, i prowadzi życie przeciwnie prawom boskim.

Dotknięty monarcha, rozkazał swoim Pisarzom aby co prędzej ułożyli w jego imieniu dumno-brzmiący list do króla Franków, poczem Rubruk został zawiadomiony, że ma z tym listem niezwłocznie wyjeżdżać.

Przy pożegnalnej audiencji, Chaan jak zawsze uprzejmy a chytry, nagadał swemu gościowi Tatarskich nauczek, nie dał mu się z niczego dobrze wytłumaczyć, a gdy w końcu Missjonarz zapytał otwarcie, czy wolno mu będzie jeszcze wrócić do Mongolji, dla szerzenia słowa bożego i zamieszkania wpośród jeńców swoich współwyznawców, Mangu przez długą chwilę zachował milczenie, potem, wskazawszy stół biesiadny, dał wymijającą odpowiedź:

— Jédz i pij obficie, bo masz przed sobą długą drogę.

Gość zrozumiał, że niema już przed sobą nic innego tylko «długą drogę», — i wyszedł zboląły.

Mój Boże! — Przemódz tyle przeszkód — zajść tak daleko — znaleźć cały «świat nowy» — całe

żniwo nietknięte, olbrzymie, tylko czekające na żniwiarzy — i odchodzić z jednym snopkiem w rękę?

Pociesz się, boży robotniku! Niepróżno aż tu zaszedłeś. Te kilkadziesiąt owieczek przypędzonych do «krynicy żywota», czyliż to nie wspaniała zdobycz? Wszak Dobry Pasterz dla *jednej* zbłąkanéj opuszczał całą trzodę? — A te krocie i tysiące niewolników którym łyzy otarłeś, którym zostawiłeś pociechę i pokrzepienie na długo, może na resztę ich okropnego życia? A te drogowskazy świetlane które zapaliłeś po drodze, i wedle których twoi następcy będą się kierowali, jak ty szedłeś po śladach Jana i Benedykta?

Czyż ci jeszcze mało?

Mało! Wielkim duszom zawsze mało.

I oto, trzeba mu się żegnać z tém wszystkiém, ach i z temi wszystkimi, dla których już uczuł ojcowskie wnętrze.

Najmniej bólu doznał przy rozstawaniu się z Sergjuszem. Przebiegły Ormjanin zmiarkowałszy że słońce Francuza w tych stronach zachodzi, ostygł odrazu w swém «Braterstwie.» Może nawet cieszył się pokryjomu że już nie będzie za-

ćmiéwany przez niebezpiecznego towarzysza? Prędko jednak pożałował téj uciechy; bo niebezpieczeństwo, zagroziło wnet od innéj strony; kacerze, korzystając ze sposobności, sądzili że potrafią zważyć do siebie Mnicha, razem z jego złotemi naczyniami, gorzką receptą, i tym prześlicznym krzyżem na który ciągle brała ich oskoma? Bułgaj go zapytywał urzędownie, czyby niechciał nadal zamieszkać w stolicy, przy kościele Nestorjańskim, gdzieby mu na niczém nie zbywało? Ale pustelnik oburzony odpowiedział: — «Otom ja na rozkaz Boga przyszedł tutaj aż z Ziemi Świątój, otom opuścił miasto Jeruzalem, gdzie stoi tysiąc kościołów lepszych niż wasza jedna kościelina Karakorumska. Jeżeli Chaan chce abym wedle rozkazu Boga był przy nim i za niego się modlił, to zostanę. Jeśli nie, to pójdę sobie precz do kraju z którego przyszedłem.» — Pozwolono mu więc zostać po staremu przy Dworze, za którym dalej się włóczył ze swoją perłową kapliczką, i tak przeżył podobno niejednego Chaana, paradując jak paw' pod słońcem, objadając się skrycie przy xieżycu, a brańcom Chrześcijańskim obiecując na każde Trzy Króle, że im Wschodniego Monarchę sprowadzi w końcu do Gwiazdy Betleemskiej.

Nierównie smutniejszém było rozstanie z Bratem Kremonończykiem, który pozostawał się w Mon-

golji; cichy ten pracownik, ofiara wieloletnich trudów Missjonarskich, obecnie w pól umierający, nie mógł już myśleć o żadnej podróży, chyba o jednej drodze ku wieczności.

Kochany Podczaszy wziął go do swoich domków i otoczył przynależnym staraniem, a korzystając ze wpływów świeżo zdobytych u Dworu, pomyślał też gorliwie i o potrzebach odjeżdżającego.

Nastrojony przezeń Cesarz Mangu, chciał przynajmniej na końcu wydać się wspaniale; posłał Rubrukowi kilka ciepłych ubrań, z wyraźną *prośbą* «aby choć raz jeden zechciał coś przyjąć od Chaana», i kazał wypłacić aż dziesięć Jaskottów na kosztą jego podróży.

Podczaszy jednak dobrze dopilnował, ażeby ta summa nie została oddana w całości pod bezpośredni zarząd Podróżnika, bo wiedział że w jego rękę, stopnieje natychmiast na jałmużny.

Oto Rubruk jeszcze nie wyjechał, a już wszystko co było mu powierzonym, rozszafował między biednych jeńców, którzy zbiegali się tłumami ażeby go żegnać.

Bo nakoniec przyszło i do pożegnań.

Najtrudniejsze było rozstanie z rodakiem Podczaszym.

Opisując te ostatnie chwile, w liście swoim

do króla Francuzkiego, zacny Missjonarz mówi w końcu:

«Mistrz Wilhelm, niegdyś wasz mieszczanin, przesyła wam pas, ozdobiony drogim kamieniem, który tu się nosi od piorunów i grzmotów. Kłania się on wam nieskończenie, i ciągle się za was modli. Co do mnie, to niemogę się dosyć za niego dziękować Bogu..... Rozstaliśmy się ze łzami w oczach.»

Do tych łez, i nasze branki domieszały swoje. One także były u Podczaszego na pożegnalnym śniadanku, i z progu jeszcze powtarzały owo stokrotne: «Au revoir!» którym pozostający omylili swą żalność.

Nie spełniło się jednak dobrowieszcze słowo. Nigdy już nie zobaczyły Rubruka, nigdy nawet nie dowiedziały się na pewno, czy wrócił do swojej ukochanej Francji?

Co dziwniejsze, to że i my dziś jeszcze, pozostajemy w tej samej niepewności. Wiadomo nam tylko że dojechał szczęśliwie do Azjatyckich brzegów morza Śródziemnego. Tam, niezastawszy już Krzyżowców, miał wsiadać na okręt i płynąć

do Europy, dla opowiedzenia się królowi Francuzkiemu z powierzonego sobie posłannictwa, kiedy w Trypolisie Syryjskim trafił na Kapitułę Braci Mniejszych, podczas której Prowincjał Zakonu postanowił, że Rubruk pozostanie nadal w Palestynie, w swoim dawniejszym klasztorze Akryjskim, a królowi Ludwikowi tylko na piśmie zda sprawę ze swego poselstwa.

Co mogło skłonić Prowincjała do tak twardego rozkazu? Czy chciał wypróbować posłuszeństwo zakonnika? Czy chciał ustrzedz jego duszę od świeckich przyjęć i zaszczytów jakie go pewnie czekały w Paryżu? Czy też, wiedziony miłością nauki, chciał tym sposobem zmusić podróżnego, aby swoje nieocenione wspomnienia utrwalił pod kształtem xięgi?

Łatwo nam się domyślić, że w skrytości serca, zakonnik musiał mocno przeboleć tę próbę. Przebywszy tyle trudów nieledwie nadludzkich, zaszedłszy dwakroć dalej niżeli sam zamierzał, nie zobaczyć się nawet z tym który go wysłał, nie rozmówić się żywém słowem,—to ciężko. Tém ciężej, tém niezręcznieej, że bądź co bądź, w rozmowie na cztery oczy, można daleko więcej powiedzieć, dokładnieej ostrzedz i objaśnić, niżeli w uroczystém piśmie. A przytém, to była taka śliczna sposobność, aby raz jeszcze zobaczyć ojczyznę, od której nigdzie, nawet w Ziemi Świętej, niemógł się odtęsknić!..... Echo téj tęsknoty podzwania zlekka w końcu listu, w ustępie gdzie piszący uprasza nie-

śmiało, aby król wstawił się za nim, i wyjednał mu choćby najkrótszą przejażdżkę do miłej Francji.

Czy święty król się wstawił, czy mu wyjednał tę pociechę? Niewiemy. Jakbądź się stało, zawsze potomność w swoim samolubstwie, powinna błogosławić surowość Prowincjała, bo tej to właśnie surowości zawdzięcza ów List a raczej Memorjał, który pozostanie na zawsze bezcennym klejnotem.

Sam Rubruk inaczej sądził swoją pracę; przeprasza on króla za jej nieudolność, mówi że jako człowiek nienawykły do pisania «takich długich historii», tylko prze *obediencję* przedsięwziął to dzieło. Ale nie wiercie mu; przy całej Braciszkowej pokorze, Rubruk jest wybornym pisarzem.

Pojęcia jego religijne, są przepięknie miłociwe, czyste i bezstronne. — W swoich poglądach naukowych, on także nie szuka cudactw, nie rozszerza bajek; nieraz bada i rozsądza już prawie «po naszemu.» — Opowiadanie jego, towarzyskie, ruchliwe, często wystrzela racami niespodzianych wyrażen; często błyszczący ex-dwo-rzanin, ucieka się do Europejskich przypomnień i przyrównań, dla rozjaśnienia barbarzyńskich ciemności.

Wprawdzie, na wielkiej widowni dziejów, Rubruk wygląda mniej olbrzymio niż jego poprzednicy Jan Plano i Benedykt; ale niemoże wyglądać inaczej, kiedy stoi za niemi, już na drugim planie.

Tamci łamali pierwsze lody, zbierali pierwsze postrachy i podziwy. — Ten, stąpa już po ścieżce nieco wydeptanej; za to, bliżej się przypatrzył wielu rzeczom przydrożnym, drobnostkowiej nam je odwzorował.

I właśnie owa odmienność poglądów sprawia, że obie księgi dopełniają się wzajem.

Tamci, kręślą szkice—hardo—czarno na białem. — Ten, wypieszcza ciepłe widoki miejsc i osób.

Tamci rysują—ten maluje.

Dar malowniczości jest w nim wysoce rozwinięty. Wszystko pod jego piórem układa się w obrazy. A farby ich takie żywe, tyle tam złota i amarantu na tłach z ultramaryny, jak w miniaturach owego Misselu, od którego Chaan Manggu niemógł oderwać oczu.

Niechże się więc święci Obedienca zakonna, co niby cudowne Drzewo Mistrza Wilhelma, wydaje nietylko palmę cnoty, lecz i złote jabłka mądrości.

Jeszcze roczniki niewoli.

I znowu dwanaście lat minęło.

Dwanaście lat, na pozór jednostajnych—a jednak i te sprowadzały coraz to nowe zmiany, ni-
by coraz inne konstellacje na widnokregu naszych
niewiast.

Kiedy mowa o «zmianach», każdy pewnie
zapyta przedewszystkiém, czy téż Ajdar bardzo się
odmienił od wielkiego dnia, w którym go polano
Chrzestną wodą?

Ach! Jeśli prawdę mam powiedzieć, Ajdar bar-
dzo mało się odmienił.....

Przyjął obrządek chrzestny «z przyjemnością», bo widział w nim religijne oczyszczenie, i co więcej, «sekret» na zdobycie przywiązania Ludmiły — uważał go zresztą za rzecz nieszkodliwą, a może nawet i korzystną, ale nie myślał bynajmniej kępować się nim na przyszłość.

Jeszcze w pierwszym roku, mógł na pozór ująć za Chrześcijanina. Czasem odprawiał wspólne modlitwy z Ludmiłą, dawał sute jałmużny dla Brata Kremonczyka, i zapomogi dla biednych niewolników, a już co najsurowiej zachowywał, to posty; był to dla niego jakby jeden zabobon więcej; nieśmiał jeść mięsa w Piątek, jak nieśmiał noża włożyć w ogień, ani się oprzeć na biczu, ani stąpić na próg pomieszkania; były to wszystko rzeczy, mogące według niego przynieść jakieś nieszczęście, i z téj tylko przyczyny pilnie ich się wystrzegał.

Ale kiedy po roku, zdechł mu koń ukochany, kiedy w jednym z Ułusów bydło mu wypadło, Ajdar zrażony, zaczął się opuszczać w modlitwach i postach, i niedługo Ludmiła spostrzegła że po staremu wraca do Szamanów, przy których — jak twierdził — lepiej mu się wiodło.

W jednym tylko względzie trzymał się uporczywie zasady Chrześcijańskiej, to w jednożeństwie; tu zakaz wypadał mu na rękę, pozwalał mu się pozbyć żon starszych, dawno uprzykrzonych. Wprawdzie już i przedtém zaniedbywał je mocno, ale jeszcze sobie szukał niejakich wymówek, i od czasu do czasu odwiedzał je na chwilę, wykłamuując się i wykręcając prawdziwie po Tatarsku. Przed samym Chrztem dopióro, bardzo poważnie oświadczył, że nowa wiara niepozwała mu zachować więcej małżonek nad jedną, i to tę co wyznaje ową wiarę.

Chcąc jednak tamtym los osłodzić, pozostawił każdą w Ułusie w którym dotąd gospodarowała, i mienia swego im nie skąpił, tylko już ich ani nawiedzał, ani chciał widzieć na oczy.

Opuszczone, rozmaicie zniosły swoją dolę.

Kaszłaca Ałuta niewiele się troszczyła o małżonka. Zajęta swoim gasnącém zdrowiem, przepłacała Szamanów aby ją leczyli i pocieszali wróżbami, włóczyła się z krainy do krainy szukając cieplejszego słońca, szczególniej zaś unikała wszelkich stosunków ze Dworem, ażeby przypadkiem *nie zobaczyć drugiego Chaana*. Ale co komu przeznaczone, to widocznie go nie ominie. — Raz, na

łowach, Cesarz Mangu znalazł się pod jéj koczowiskiem, a będąc od upału spragniony, z jednym tylko towarzyszem sokolnikiem, wstąpił do namiotu, i prosił o kubek mléka. Ałuta niewiedząc kogo wita, przyjęła go ze wschodnią gościnnością. Na wyjściu dopiéro, sokolnik zdradził tajemnicę przed jedną z jéj służebnych. — Ałuta od téj chwili wpadła w czarny, niepokonany smutek, i czy z tego smutku, czy z przewidzenia Szamańskiego, rzeczywiście wkrótce zamarła.

Zutta z początku mocno się oburzyła odstępstwem Ajdara. Ale że go nigdy bardzo nie kochała, że była przytém wielce wyniosła, nikt nie spostrzegł po niéj boleści ni żalu. — Zajęła się zawzięcie gospodarstwem, chowem bydła, gromadzeniem rozmaitych bogactw, bawiła się spraszaniem Tolholosów i licznych gości, i mimo lat już więcéj niż dojrzałych, wiodła żywot wesoly, ani racząc wspomnieć o niewiernym.

Jedna tylko Biga niemogła się pocieszyć. Biga była jeszcze bardzo ładna, przebiegła, i — powiedzmy prawdę — ognisście rozkochana w Ajdarze, nietylko z miłości, ale i z przekory, z obrażonej dumy niewieściej. Gryzła ją niemoc jéj wdzięków — bodło srogie upokorzenie — szarpała żółta zazdrość. — Niemogąc wytrzymać w naznaczonym

sobie Ułusie, który jój się wydawał więzieniem, kilka razy najechała dawnego małżonka, obległa go szturmem zalotności, nakłuiła Ludmiłę do żywego. Zawsze jednak Ajdar dosyć twardo kazał jój odjeżdżać, i Biga odjeżdżała z niepojętą pokorą, bo na jego widok cały jój hart upadał, słowa jój na ustach zamiérały. — Wróciwszy do Ułusu, znowu trawiła dnie i noce na pochmurném rozmyślaniu, — nad czém? Czy nad sposobami jakimi by można odzyskać Ajdara? Czy tylko nad jaką zemstą? Nikt niewiedzia! — ale ktokolwiek zszedł ją w takiej chwili, ten przeląkł się jój czarnego wzroku.

Ludmiła tymczasem pozostawała samowładną panią myśli i serca Ajdara.

Nie twierdzimy bynajmniej aby Ajdar zachowywał tę wierność idealną, nieposzlakowaną, o jakiej ówczesna Europa lubiła śpiewać przez usta Trubadurów; podobne pojęcie nie mogło zmieścić się w głowie Azjaty, niemogło kwitnąć w kraju pełnym niewolnic; uśmiech rzucony niewolnicy, nie liczył się tam za niewierność.

Zapewnie więc i Ajdar musiał po świecie rozrzucać przelotne uśmiechy, zwłaszcza podczas długich wojennych wypraw, na których teraz, czasem i rok cały spędzał po-za domem.

Tak,— ale zawsze wracał do Ludmiły. A co więcej, wracał coraz przywiązanszy, coraz większą czcią dla niej przejęty.

Niemógł sam dobrze zrozumieć, dla czego ta kobieta wydawała mu się jakby z lepszej gliny ulepiona, jaśniejszy świat z sobą nosząca?

W koło jój osoby zawsze panowała jakaś dziwna schludność — w jój mieszkaniach było zawsze nie tylko piękniej ale i porządniej niż w innych, — a porządek ma w sobie rodzaj magji, która zdumiewa i mimowiednie przyciąga tych, co niemogą zrozumieć jakim cudem go się utrzymuje?

A dopióróż jój obejście pańskie! Jój rozmowa rozumna i przykuwająca! Inne niewiasty, chciwe błyskotek i łakotek, wyglądały przy niej dziecinnie, a co gorzej, gminnie.

Nakoniec — zjawisko najdziwniejsze — mogące ujść za rodzaj czaru — piękność Ludmiły ciągle rosła.

Azjatki starzeją się nierównie wcześniej niż Europejki. Teraz, po dwudziestu czterech latach niewoli, branka ukończywszy czterdziesty rok życia, wchodziła w ostatni ale najpyszniejszy rozkwit swojej urody. Z lekkiej Djanny, rozrosła się na wspaniałą Junonę. Życie koczownicze zdawało się dla niej stworzonem. Jak niegdyś, w pierwszej młodości u ojca, tak i tu, ciągły pobyt na otwartym powietrzu, wieczny ruch, długie łowy, cudownie utrzymywały jój zdrowie i rzeźwość. Nic niemogło jój zmęczyć, ni dziki rumak, ni obsza-

ry stepu — nic jój nie szkodziło, ni wicher ni słońce — zawsze bijąca blaskiem cery olśniewającą, świeżością rumieńców i ust purpurowych, zdawała się istotnie jak bogini, wyższą nad ciosy żywiołów i czasu.

Zupełnie inaczej niewola podziałała na Elżbietę. Gruba odzież, gruba strawa, życie siedzące, nad pracą złamane, szybko wyniszczyły tę obłoczną istotę. Postawa jój niegdyś wiotka, stała się chudą i kańczastą. Lica przejrzyste, nie mogły znieść skwarów ani huraganów pustyni, zawiedły i pomarszczyły się przed czasem. Elżbieta kończąca czterdziesty piąty rok życia, skulona i zasuszona, wyglądała tak zagadkowo, że nikt nie wiedział czy jój dać lat trzydzieści czy sześćdziesiąt?

Ale nie martwiła się wcale utratą piękności. Owszem, w głębi duszy dziękowała niebu, mówiąc sobie po cichu:

— Wié Pan Bóg co robi. Ludmile zachował a nawet przymnożył wdzięków, bo wiedział że jój będą potrzebne do ugłaskania i nawrócenia męża. Mnie zespecił, i niemógł większej łaski mi wyświadczyć — wysłuchał moją najgorętszą prośbę.....

Istotnie, ta przedwczesna starość, obroniła Elżbietę od największych niebezpieczeństw niewoli.

A mogły grozić ze stron wielu, zwłaszcza z namiętnych oczów Kałgi, co był panem jój życia i śmierci. Na szczęście, wysłuchanie jój modłów przyszło w samą porę; nim Kałga dorósł, nim wrócił z pierwszej wyprawy, już Elżbieta była tak zmieniona, że młodzieńcowi nawet nie przeszło przez głowę, aby jego niańka mogła była jaśnieć kiedyś między pięknosciami.

I oto przeszła nad przepaścią, spowinięta w szarą pomrokę, co uczyniła ją dla ludzi jakby niewidzialną.

Szkoda tylko, że tracąc urodę, straciła i zdrowie. Nie chorowała ciężko, ale ciągle; według znanego wyrażenia, była «jak skrzypiące drzewo.» Wiecznie ją coś bolało, zwłaszcza oczy; mało kto jednak o tém wiedział; anielska cierpliwość wstrzymywała skargi na jój ustach. Zresztą, któżby się troszczył o skargę biédnej niewolnicy?

Ach, owszem! Był ktoś, co się troszczył i gryzł nieustannie, to ta «kochana Ludka», więcej cierpiąca nad zdrowiem przyjaciołki niżeli ona sama. Jakież to przynajmniej szczęście, że mogła ją niejakiem staraniem otaczać, i chociaż czasem lepiej pożywić lub odziać! Elżbieta nieraz uśmiechała się, mówiąc:

— I chorować warto, aby tak być pieszczoną.

A teraz, mogły więcej niż kiedykolwiek cieszyć się i pielęgnować wzajemnie, bo panowie ich, coraz częściej, coraz dłużej bawili w dalekich stonach, a tu już nikt nad nimi nie przewodził, Arguna już od kilku lat nie żyła.

Ciężkim był dla niej koniec. Kałga zatruli matce stare lata, obojętnością i niewdzięcznością, która same branki oburzała. Twarda Mongołka, zraniona w jedyném swém uczuciu, zamknęła serce i usta na żelazne wrzeczadze. Nie oskarżała syna, ale wpadła w dziką ponurość, i umarła — niemając go przy swém łożu, nie wspomniawszy nawet imienia swego Kałgi.

Ach, co téż to ludzi już powymiérało!

A najprzód, jeńcy..... o! ci padali całemi szeregi.

Oto już przed laty dziesięciu, zabrakło poczciwego Kuźmy. Umarł nie z żadnej choroby, tylko z owój niewysłowionój tęsknoty. Umiierając, jeszcze marzył o «szarym żurku», i o «świętym chlebie». Jednak, przed skonaniem został pocieszony; opowiadał że widzi jakieś pola prześliczne, szumiące od kłosów, i sady pachnące od drzew owocowych. Szeptał radośnie: «Wracam już.... wracam!» I nikt nie wiedział, czy jego dusza wra-

ca do pól rodzinnych, czy zagląda już do furtki raju?

Wkrótce po nim i Brat Bartolommeo, niby cień przeszedł między cienie. Wprawdzie on już dawno nie należał do ziemi, chyba cierpieniami; jednak i po nim, wielu brańców Chrześcijańskich westchnęło żałośnie, bo to była ostatnia, pajęcza niteczka, wiążąca ich jeszcze ze światem Zachodu.

A i w świecie Tatarskim, nawet na szczytach państwa, dostojnicy wynosili się jeden za drugim.

Subutaj, najstarszy i największy z Behadyrów, zmarł w swoim Ułusie nad Donem.

Teraz niedawno, wieść doszła że Xiążę Batu skończył życie nad Wołgą, — i jeszcze nie ochłonięto z wieści, już druga doniosła że i Sartak poszedł za ojcem.

A było komu się wynosić, bo ród Dżyngischanidów dochodził już w tej porze do bajecznej liczby *dziesięciu tysięcy*.

Nastawały jakieś inne czasy; wszędzie kręcili się nowi ludzie, synowie, lub nawet już i wnukowie tych, z którymi branki przybyły do Mongolji.

A i na tronie szereg zmian majaczył, jakby przepływ sennych widziadeł.

Oto już w roku 1259-m, po niecałych ośmiu latach panowania, Cesarz Mangu zamarł gdzieś daleko w Chinach, wśród największych zwycięstw jakie właśnie odnosił przy podbijaniu wielkiego cesarstwa Sung. Zabił go klimat południowy, jedyny wróg w obec którego Tatarzy byli zawsze bezsilni.

I znów zwłoki Cesarskie powracały, drogą dłuższą niż kiedykolwiek,—tém więcej kosztującą ofiar. Chatota, owa małżonka cesarska—niegdys uzdrowiona przez Rubruka — co w amazońskim zapale jeździła za mężem na wyprawę, teraz odwołując jego zwłoki, chciała go uczcić więcej niż któregokolwiek z Chaanów; mówiono, że dwadzieścia tysięcy osób zginęło po drodze, — a gdy mary skierowały się ku Cmentarnéj górze, to z orszakiem dziewic i pacholąt, jeszcze liczniejszym niż poprzednie.

Wątpimy jednak czy te krwawe hołdy miłe były ceniom nieboszczyka, bo Mangu w ostatnich latach życia dowiódł niesłychanych postępów na drodze uobyczajenia; ta zwłaszcza wojna Chińska była już prowadzona zupełnie w nowym duchu, nieledwie po Europejsku; już miast nie wyrzyna-

no—wiosek nie palono—po wzięciu największych grodów, sami tylko ich dowódcy padali pod mieczem, ludność pozostawała przy życiu, a nawet i przy mieniu. Całą swoją surowość Chaan zwrócił teraz przeciwko własnym żołnierzom; tym pod najsroźszymi karami zabraniał rabunku; za to po każdym zwycięstwie, kazał im rozdawać sute «gratyfikacje».

Kubilaj szedł o lepsze z bratem w dziwach wspianiałomyślności. Kiedy zdobywał mury Tali, miasta leżącego już na granicach Indji, mądry jego nauczyciel Yao-szu, rozповідаł o pewnym Cesarzu Chińskim, co zdobył miasto Yo-nan tak łagodnie, że nawet handel na ulicach nie ustał. Naza-jutrz, Kubilaj dosiadając konia, zawołał: «No, zobaczysz! I ja to potrafię.» — Poczém, kazał obnosić w koło miasta wielkie jedwabne chorągwie, na których stało wypisano, jako: «Mord i rabunek, wzbraniają się pod karą śmierci.» — Gdy mieszkańcy przeczytali te słowa, zaraz otworzyli swoje bramy; Kubilaj wszedł wesoło do miasta, gdzie istotnie nawet sklepów nie zamknięto, i *żaden* człowiek nie zginął, ani z jednej ani z drugiej strony.

Czytając podobne obrazy, trudno uwierzyć że to wojny Mongolskie..... Widz zapytuje osłupiały, kto sprawił tą cudowną zmianę?

Kto sprawił? Kapłanie i Literaci — Lamowie i Mandaryni Chińscy, którzy nieustannie Dżyngi-

schanidom kładli w uszy jedną i tęż samą radę, a mianowicie, że łaskawością i dobrocią więcej zyskają niż ogniem i mieczem. Długo, rada przechodziła mimo uszu, aż nakoniec znaleźli się Xiążęta co zechcieli jęj popróbować; skutek przeszedł oczekiwanie; oto już nietylko pojedyncze miasta i warownie, ale całe kraje dobrowolnie się poddawały. Nie było co mówić — rada wychodziła na dobre.

Tak, — na dobre dla panujących, którym przybywało ziemi, poddanych, i dochodów. Ale wojsko.... czy mogło być zadowolónem? Sferność Tatarska zamykała usta — niepozwalala głośno sarkać — ale w głębi duszy zżymał się niejeden — taki naprzykład Kałga.....

Oj Kałgo, nie w porę na ten świat przyszedłeś! Trzeba ci było rodzić się trochę wcześniej, za dobrych czasów Temuczyna, albo przynajmniej Ogotaja, kiedy to w całej Azji od końca do końca, i aż w ładnej Polsce i w obfitych Węgrzech, żołniérz mógł zabawić się i pohulać. A teraz co? Jakiś w koło murów taniec honorowy — defilada — parada — mała gratyfikacyjka — i koniec! Czy licho przyniosło tych żółtych dziadów, i tych nudziarzy z xiążkami, co naszym wodzom poprzewracali w głowie?

Pocieszcie się jednak, wyposzczeni wojacy! Krótka chwila minie, a będziecie mogli dużo krwi

naprzeléwać — szkoda tylko że nie obcéj, ale właśnéj, bratniéj.....

Wkrótce po śmierci Chaana, pod murami Karakorum ogłoszono Kuryłtaj elekcyjny. — Wielka część Xiążąt powoli ściągnęła, i zgodnie wybrała Xięcia Aryk-Bugę, który najwięcéj mógł rozwinąć wpływów, bo nieboszczyk Mangu wyjeżdżając na wyprawę Chińską, jemu był powierzył zarząd właściwéj Mongolji.

Ale tymczasem — i nawet jeszcze wcześniéj — Kubilaj, pozostający z wojskiem w Chinach, zwołał tam sejm drugi, złożony głównie z Wodzów, i został okrzyknięty Chaanem.

To już nie była rysa, ale przełóm w państwie.

Dwa sejmy — dwa wybory — dwaj cesarze.

Do szczęścia jakim opływały ostatnie lata Xiężny Siurkukteni, trzeba zaliczyć i śmierć wczesną, co jej nie dała doczekać tak straszego widoku, wojny między synami.

Bo przyszło do wojny.

Aryk-Buga, posiadający stolicę, prawowiciéj obrany, zdawał się panem położenia.

Była jednak w tój przewadze strona słaba, i bardzo słaba; żołnierstwo miał na prędcie zaciągnięte, złożone z samych niemal wybiérków i odpadków armji.

Kwiat wojska, pułki najstarsze i najdoświadczeńsze, znajdowały się w Chinach przy Xięciu Kubilaju, który po śmierci Chaana Mangu mądrze marudząc za Murem, dotąd nie wypuścił ich z ręki.

Pustynia Gobi, olbrzymie pobojowisko żywiołów, stała się teraz widownią ludzkiej walki. Dwa wojska zaludniły pustkę — dwaj bracia stanęli sobie oko w oko.

Zwycięzcą został Kubilaj.

Ajdar walczył jak lew przy jego boku, Behadyrską ręką przyczynił się mocno do przechylenia zwycięztwa, radosném okiem patrzył na rozgrom przeciwników — ale radość ta była zatruta; Ajdar truchlał o żonę zostawioną w Mongolji.

Tam istotnie zapanował popłoch—wybuchnął wszystek wir wojny domowej. Stronnicy Kubilaja, dotąd przyczajeni, zerwali się, zaczęli napadać i rozbijać stronników Aryk-Bugi, którzy sowicie oddawali łupieżą za łupież, mordem za mord.

Ludmiła i Elżbieta, uchodząc bezładnie, z taborami, ścigane, strwożone, zdołały schronić się do Karakorumu. Ale i tam, czy schronienie pewne? Czy Ajdar zdąży nadbieść, i na czas je obronić od gwałtów przewidywanego szturmu?

Aryk-Buga uciekając z małą garstką przyjaciół, zatrzymał się kilka godzin w stolicy, zwołał głównych mieszkańców, i rzekł litościwie:

— Zwalniam was, biedni ludzie, z posłuszeństwa, bo nié mam was czém bronić. Jeśli brat mój nadciągnie, poddajcie się—ja sam na to pozwalam.

Podał im nawet radę, aby dla przebłagania zwycięzcy, wysłali doń poselstwo złożone z samych Duchownych.

To rzekłszy, dosiadł konia, i puścił się na północ, w kraj Kirgizów, gdzie zaczął zbierać szczątki rozbitych pułków, i skarbić sobie nowych sprzymierzeńców.

Miłosierna jego rada wprędce się przydała.

Po trzech dniach, już u widnokregu zakraśniały buńczuki i sztandary Kubilaja.

Na ten widok, Szamanie, xięża Nestorjańscy i Lamowie, w najpyszniejszych ubiorach, bijąc w tamburyna, chwając kadzielnicami, wyszli processjonalnie naprzeciw tryumfatora, i błagali o zmiłowanie nad stolicą przodków.

Zwycięzca wspaniałomyślnie przebaczył.

Przeszedł tylko przez miasto, — gdzie wojsku niepozwoił niczego się dotknąć, ani w plon nikogo zabić, — i zamianowawszy nowe władze, skierował się napowrót ku granicy Chińskiej.

Tak, — nie zniszczył gmachów, nie wytepił ludzi, a jednak — zadał stolicy cios niepowetowany.

Jak wyszedł — tak więc nie powrócił.

Skończyło się dla Karakorumu owe trzydzieści lat świetności.

Gwiazda pustyni nagle zgasła.

Teraz już po wszystkiém!

Aryk-Buga jednak nie dał za wygraną. Raz jeszcze zebrał wojsko, i znów na obszarach pustyni przyszło do bratobójczej walki.

Ale gwiazda Kubilaja niezaprzeczenie i nieodwołalnie była promienistszą. Losy mu służyły, serca do niego lgnęły.

Czemu? Trudno zgadnąć. Bo i współzawodnik jego miał wysokie zalety, prawa równe jeżeli nie większe, i aureolę najżywszej miłości macierzyńskiej, która powinna była—jak się zdaje—zjednać mu życzliwość i niebian i ludzi. Czemuż więc nic mu się nie wiodło?

Może-by głębiej trzeba poszukać powodów tej niezrozumiałej stronności przeznaczenia.

Kubilaj był przedstawicielem żywiołów postępowych w Mongolji. Może Genjusz historii służył mu zwycięstwami, ażeby przeprowadzić zwycięstwo postępu? Genjusz ten, zwykł cenić ludzi,

nie według ich osobistej wartości, ale według idei której są narzędziami. To téż nieraz wydaje nam się niesprawiedliwy i okrutny; ale on dobrze wie co robi, trzeba tylko patrzeć tak szeroko i daleko jak on.

A może?... Tu znów inne przypuszczenie.... Może te miliony Chińczyków, co sto lat już jęczały zdławione, poniżone, odarte, wymodliły sobie na koniec u nieba zwycięstwo téj strony, co miała im przynieść ulgę i rodzaj odrodzenia? Kto to wie? W tkaninie dziejów jest więcej nitek, niż oko ludzkie może dojrzeć.

Jakiegokolwiek powody kierowały losami, Kubilaj szedł górą wszędzie, na polach bitwy i w ciichych knowaniach, wpośród swoich i wpośród obcych. Aryk-Buga po dłuższej, bohaterskiej walce, od jednych jawnie opuszczony, od innych najhaniebniej zdradzony, mrący z głodu w zimnych pustkowiach, postanowił zdać się na szlachetność brata, i dobrowolnie ustąpić mu korony. Chwila ta pięknie świadczy za obiema stronami. Zjawił się u Kubilaja, z maleńkim, ostatnim pocztem swoich wiernych, bezbronny i ofiarujący służby bratu.

Kiedy wchodził do namiotu Cesarskiego, wedle starych zwyczajów, spuszczo mu na plecy zasłonę wejściową, i tak przykryty, ex-Cesarz

ukląkł, oddając czołobitność zwycięzcy. Kubilaj patrzył na niego, najprzód z tryumfem — potem ze zmieszaniem — nakoniec ogarnęło go wzruszenie, i łzy mu się rzuciły do oczu. Zawołał na brata aby wstawał, aby do niego przystąpił—kazał ze wszech stron odsłonić namiot — sam zeszedł z tronu—roztworzył objęcia — i obaj bracia, w oczach całego wojska, uściskali się z głośnym płaczem.

Cały ten dzień przepędzono w biesiadach, i nie wspomniano już o żadnej niezgodzie.

Nazajutrz za to, wielu stronników Aryk-Bugi zostało powołanych przed sąd wojenny, który chciał na ich podmowy zwalić całą winę, i ci zginęli «dla przykładu». On sam został oszczędzony, i na Dworze brata pozostawiony z wszelkiemi zaszczytami.

Wprawdzie..... w miesiąc później..... Aryk-Buga umarł.....

Śmierć ta nieprzyjemnie razi w dziejach Kubilaja. Zanadto jakoś w porę przypada..... Dziś jeszcze, najobojętniejszy czytelnik zastanawia się nad nią podejrzliwie.

A jednak — rzecz dziwna! — ze współczesnych, żaden nie natracił ani słówka tchnącego podejrzeniem, chociaż kronikarze tamtejsi w ogóle nie ską-

pią posądzeń, które zapisują bez uwag, niby to bezkrytycznie, ale z wiernością, przeraźliwie otrąbiającą ciche szeptu ludów.

Otóż przeciw Kubilajowi, nie spotykamy najmniejszych śladów oskarżenia; co dziwniejsze — nie spotykamy śladów uniewinniania. Czy następny blask jego rządów, pochłonął zupełnie ten cień początkowy? Czy też może istotnie, Aryk-Buga umarł tylko ze zgryzoty, i rzecz była dla wszystkich tak jasną, że nawet nie potrzebowała obrony?

W każdym razie, upadły Cesarz zeszedł w kwiecie wieku, nie zaznawszy z władzy nic oprócz jej niebezpieczeństw i goryczy, a Kubilaj, dwakroć szczęśliwy, i ręk nie zmazawszy, i współzawodnika się pozbywszy, zasiadł na tronie, którego złote, różami słane stopnie, miały zająć większą część świata.

Niepróżno losy mu słały drogę.

Ledwie zasiadł spokojnie, Kubilaj ściąga rękę, i w xiędze dziejów całą kartę odwraca.

A na nowój karcie, zupełnie co innego:

Inny kolor — inne pismo — inny duch — inny świat.

Czytelnik przeciera sobie oczy, niedowierza, i zapytuje z podziwieniem, gdzie się podziała Mongolja?

Niéma jój.

Niéma już dziejów Mongolji, są tylko dzieje Chin.

Aby tak zupełnie zerwać z ciemną przeszłością, aby tak namiętnie wejść na nową drogę, Kubilaj potrzebował zaprawdę niesłychanej odwagi.

A najprzód, pierwszy z potomków Dżyngischana, porzucił politykę religijnęj obojętności, i jawnie, urzędownie, przyjął wyznanie Buddy. Ta jedna zmiana, już nieobliczone sprowadziła następstwa: Buddyzm, smętny i łagodny, zabraniający przedewszystkiém zabijania, (i to nietylko ludzi, lecz i najmniejszych stworzeń,) szukający spokoju, ach! i tylko spokoju, Buddyzm lepiej ubezwładnił dzicz północną, niz całe miliony wojska.

Potém, przybrał sobie nowe imię Chińskie, — przodkom swoim wystawił «Sale pamiątkowe», jak to było w zwyczajach Państwa Niebieskiego, — i cały ród Dżyngischanidów przezwał Dynastją «Yuan».

Tu dał dowód budującej pokory, złożył najwymowniejszy hołd cywilizacji: zamiast mongolizować Chiny, chciał zchińszczyć Mongolję, — wolał należeć do dwudziestej dynastji państwa oświeconego, niż do pierwszej dynastji barbarzyńców.

Nakoniec, dobrze rozumiejąc że tam gdzie stolica, tam i serce monarchji, zmienił stolicę. Z Karakorumu przeniósł ją do Pekinu, który wówczas był zwany Chambałykiem.

Tu jednak, zastał same zwałiska.

Wywrócony szablą Temuczyna, zapalony pochodnią Subutaja, Pekin leżał jeszcze w czarnych gruzach.

Kubilaj, nieśmiejąc brodzić między temi szczątkami srogości swego dziada, postanowił tuż obok założyć nowe miasto.

Zaczęły powstawać mury, sale, i wieże, wszystko z marmurów i alabastrów, z malowidłami krasnemi jak senne widziadła, z dachami złotemi jakby pałac słońca.

Cuda — niewidziane cuda.

A prócz gmachów kamiennych, władca chciał budować i gmachy dla ducha. Zakładał Kollegja, Akademje, Bióra Matematyczne.

Co prędzój na język Mongolski tłumaczono klasyków tamtéj krainy. Cesarz zwoływał sesje, na których toczyły się rozprawy naukowe. Mongołom sam rozdawał xięgi, a potém brał ich na examin, bo chciał mieć przy sobie nietylko Chińczyków ale i rodaków uczonych.

To téż od panów Tatarskich zażądał, ażeby w koło jego mieszkania budowali sobie pałace.

Zwrócił się z tém żądaniem i do Ajdara.

Ajdar posmutniał..... ale nieśmiało odmówił Chaanowi.

I oto, przed Ludmiłą stanął wkrótce goniec, nakazujący aby z całym dworem Ajdara, i z całym dworem Kałgi, wybrała się do Chambałyku, gdzie mają pozostać już na zawsze.

Ach, jakże branki musiały się uradować podobnym zaproszeniem!

Przeciwnie,—przyjęły je ze zgrozą i boleścią.

Czemu? Wszak miały zamieszkać w mieście ludnym i wspaniałym, wśród warunków nieco zbliżonych do przeszłości? Wszak miały odnaleźć Mistrza Wilhelma, i Paschę, i tylu innych przyjaciół i znajomych, którzy wszyscy, razem ze Dworem, wynieśli się do nowój stolicy?

To prawda,—ale ten «Mur.....»

Nie śmiejcie się. Elżbieta i Ludmiła były dziećmi swojego wieku, wierzyły że od wschodniej strony świat jest *zamurowany*, a dalej są tylko już kraje Goga i Magoga. I to między te straszne ludy Ajdar im każe jechać?

Cóż z tego że ludzie opowiadają dziwy, o pałacach szklanych, o miastach kaflowych, o napojach z aromatów, o drzewach i stworzeniach cudnych jakich tam pełna ziemia? Czy to napewno jeszcze ziemia? Te wszystkie dziwy, czy to nie złudzenia czartowskie? To Mamona piekielna, którą się Antychryst otacza, boć on tam właśnie szykuje swoje królestwo?

Tu, co prawda, pustynie smutne i wicherzyste, ale przynajmniej otwarte daleko — daleko — aż gdzieś ku ojczyźnie—jakgdyby ogromny gościniec, po którym bujać można w marzeniach powrotu.

Jakto? Czyż branki jeszcze marzyły o powrocie?

Jeszcze.

Nadzieja tak jest mocno zrosnięta z sercem ludzkim, że mimo wszelkich ciosów i zawodów, mimo najwyraźniejszych przeczeń rzeczywistości, nie da się zeń wyrwać aż do chwili skonania.

Brankom, ich własne marzenie zdawało się szaleństwem, a jednak pieściły je z miłością, nie chciały być rozczarowanemi.

Wprawdzie w ich pamięci tkwiło jedno wspomnienie co mogło służyć za podporę nadziejom, wspomnienie wątłe jak nić jedwabnika, blade jak

promień xiężyca, jednak pocieszające: prorocstwo Ojca Pawła.

Pomimo lat już tak mnogich, pamiętały doskonale każde jego słówko. Przewracały i nicowały te słowa na tysiąc sposobów, chcąc odkryć prawdziwe ich znaczenie. Wszak w samym końcu powiedział:

— «A kiedy powrócicie, odnajdziecie skarb utracony.»

Więc powrócą?

Tak..... Alé dokąd? Do jakiego życia przystosować tę wróżbę? Do jakiej ojczyzny, doczesnej, czy wiecznej?

Póki jednak nie przeszły owego nieszczęsnego «Muru», póty jeszcze mogą się doczekać jakichś okoliczności zbliżających do kraju: wielkich wojen, przybycia nowych Missjonarzy. Tu jeszcze żyją przynajmniej pod tém samém niebem.

Nieraz o zmroku, siedząc przed namiotem na pustyni, liczą gwiazdy, i mówią sobie:

— Jaś patrzy na te same gwiazdy, patrzy swojemi oczami już wielkimi, bo to już mąż blisko trzydziestoletni, w jasnej zbroi albo duchownej sukience. Pewnie odbudował Żegnaniec, może w tój chwili właśnie wychodzi na ganeczek od wieży, patrzy w niebo i myśli o nas? O! Bo my dobrze po-

znajemy, to *te same* gwiazdy które świeciły nad Żegnańcem!

Ale tam, za «Murem», tam pewno już inne niebo, inne gwiazdy, — a może i wcale gwiazd niéma?

Tam już i wojny nie dosięgną — i żaden Misjonarz nie zechce zajrzeć w świat wyklęty!

Niedość-że było, większą część życia spędzić *na końcu* świata? Trzebaż im teraz, w dwudziestym piątym roku niewoli, jakby na jubileusz cierpienia, wynosić się aż *za koniec* świata?

Więc zbierały manatki, ale zwolna, -- pakowały wozy, ale niechętnie, — i co chwila opuszczając ręce, mówiły:

— O! Już teraz po wszystkim!.....

S e n.

Jednak tą razą, Bóg miłosierny nie dozwolił aby się ich obawy spełniły.

Najniespodzianie, pewnego wieczora, Ajdar i Kałga stanęli w Ułusie, oznajmiając zupełnie inny zwrot wypadków:

Hulagu, coraz mocniej uwikłany w swoją Perską wojnę, gońca za gońcem słał do Kubilaja, prosząc i nagłąc o nowe posiłki.

W odpowiedzi na to żądanie, Cesarz wyprawił tam Ajdara, z kilkoma tysiącami doborowego żołnierza, i synowca dodawał mu do pomocy.

W poufnej rozmowie z Ludmiłą, Ajdar przyznał się że sam żądał tego wysłania.

— Póki mam jeszcze siły, — mówił — wolę czynnie służyć monarsze, niż po próżniacku bły-

szczęć na jego Dworze. A przytém..... ten Dwór jakoś mi do serca nie przypada. Może to wszystko bardzo mądre, bardzo piękne, ale ja już nie mogę nawyknąć do tych cudzoziemskich nowości. Wychowałem się i wyrosłem w huku wojen, wśród wichrów pustyni. Te pałace marmurowe, te przedwieczne posiedzenia z Mandarynami, usypiają mnie i zabijają. To wszystko nie Mongolja. Niech młodzi chińszczą się, kiedy Cesarz tak żąda..... ja, wolę po staremu pić kumys w drewnianej czarze, niż jakieś pachnące ziółka w porcelanowym kubku, wolę bić się, niż nad xięgami suszyć sobie głowę.

I zamilkł, ale w jego drgającym głosie, w każdym jego wspomnieniu o Dworze, przebijał się żal ciężki. Coraz częściej mówił o «niezrównanym» Ogotaju, coraz częściej utyskiwał nad zmiennością czasów i ludzi. Ajdar widocznie się już starzał. Wprawdzie dopiero kończył rok pięćdziesiąty, wyglądał pysznie jak słońce u zenitu, ale szybkość wypadków miotających państwem, przymnażała niejako lat ich uczestnikom, a przełom polityki, zmieniającej Mongolję na Chiny, upotężniał żal za przeszłością w przedstawicielach dawniej, czystej Tatarszczyzny.

Jeżeli Ajdar smutniał, za to nasze branki ucieszyły się niezmiernie zmianą przeznaczenia. Już

więc nie pojedą za ów «Mur» zaklęty,—i co jeszcze lepsze, zamiast ruszać na Wschód, ruszą na Zachód. Wprawdzie Persja także strasznie daleka od ojczyzny, zawsze to jednak pociecha iść z oczami zwróconemi w tę stronę gdzie słońce zapada. Branki same nie wiedzą czemu, ale cieszą się do téj strony, jakby tam świecił jeszcze jakiś promyk nadziei.

Oh, złudzenie! Złudzenie!..... Jakaż nadzieja może pozostawać? Ha! Kto wie czy wiadomość z Europy tamtędy się nie przedrze? Wszak za Persją gdzieś podobno leży Ziemia Święta? Może nowa Krucjata się tam szerzy? Może jaki rycerz, wzięty w niewolę przez niewiernych, jakiś nowy Henryk Sandomierski, przyniesie im wieść upragnioną? One już tak dawno nie odebrały wieści!

W ten sposób niewiasty marzyły, wędrując ze swemi panami. Bo Ajdar tą razą wziął z sobą Ludmiłę.

— O! Już niemogę — mówił — żyć dłużej bez ciebie. W Chambałyku, może dla tego było mi tak nieznośnie, że bez mojej gołąbki. Ty się niczego nie boisz, pojedź za mną na wojnę. Wszak Cesarzowa Chatota jechała za Chaanem nieboszczykiem? Niechże i ja po cesarsku jadę.

-- Ale i Kałga weźmie Elżbietę? — Pytała Ludmiła, truchlejąca na myśl rozstania.

— A! Prawda, że ty bez twojej *Andy* będziesz

smutna. Dobrze, dobrze, pociesz się, już ja nie pozwolę Kałdze wyruszyć bez tamtój.

Jechali więc wszyscy razem, chociaż dość daleko rozdzieleni, bo Kałga, chcąc wszystkim pokazać że już nie jest małym chłopakiem, i że się stryja nie boi, odosabniał jak mógł swoje tabory.

Ten pochód nie był podobny do zwykłego ich koczowania. Na ten raz szli z wojskiem, wszystko téż tchnęło wojskowym porządkiem, a spieszono się bardzo, bo Hulagu wołał o szybką pomoc. To téż drogę zazwyczaj półroczną, przebyto we dwa miesiące. Mnóstwo Chińskich inżynierów, i niższych pomocników których byśmy dziś nazwali «saperami», ułatwiało przejście; rozbijano głązy, rozmiatano śniegi w górach, rzucano lekkie mosty na rzekach.

W połowie Lipca 1265-go roku, nasi podróżni znaleźli się w okolicach Kaszgaru.

Miasto jeszcze było bardzo, bardzo daleko, już jednakże gdzie-nie-gdzie pojawiały się ludzkie mieszkania. Trafiono téż na wyborne pastwiska, i stanął zamiar aby trzy dni wypocząć, dla podratowania koni, które były mocno zbiédzone mordującą jazdą, i chudą paszą pod-Altajskich stepów.

Nazajutrz po roztasowaniu namiotów, około południa, Ludmiła dosiadła konia, i skierowała się ku stanowiskom Kałgi, rozłożonego na przednich strażach obozu.

Wszedłszy do jurty niewolnic, znalazła Elżbietę jakąś zatroskaną. Robota leżała przed nią, ale branka—zwykle tak pracowita—opuściła ręce na kolana, i wzrok miała utkwiony w dal nieokreśloną.

— Co tobie dziś Elżuniu? Czy cię te biedne oczy więcej bołą?

— Nie, — dziś nie więcej niż zwykle — tylko....

— No cóż, tylko? Tobie coś jest niezwyčajnego.

— Tak, miałam sen..... Wiiesz, jeden z tych snów co to są takie wyraźne, że wydają się prędzej przebudzeniem do prawdziwego życia. Ale nieprzyjemny,—to jest..... sama niewiem jak mam powiedzieć? Był on i bardzo błogi, ach zachwycający..... ale przytém taki straszny, taki straszny, że dotąd niemogę ochłonać. Łamię sobie głowę co on znaczy, i niemogę na żaden sposób zgadnąć.

— I cóż takiego widziałaś?

— Byłyśmy niby tutaj, ale bez wojska, bez nikogo. Siedziałyśmy we dwie na trawie i patrzyły

daleko, bo na samym końcu téj łąki, tam już gdzie niebo dotyka ziemi, stał jakby odmalowany, Kraków. Był on niezmiernie daleko, a jednak wy-
wyróżnisięki, ze swoją Wisłą, z Wawelem, tyl-
ko dużo piękniejszy niż ten któryśmy widziały,
więcej miał wież, i bardzo się świecił. Ty do mnie
mówiłaś: «To dziwna rzecz, ciągle nam obiecywa-
no że to będzie Kaszgar, a to jest Kraków?» — Mnie
zaś to się zdawało rzeczą bardzo prostą, i odpowia-
dałam ci: «Cóż dziwnego? Jak Pan Bóg chce, to
wszystko zrobi.» — I kiedy to mówiłam, stanął
przed nami Anioł, bardzo piękny; miał skrzydła
zielone, gwiazdę ogromną czerwonałą nad czo-
łem.....

— Cóż chcesz? — Przerwała Ludmiła. — To bar-
dzo dobry znak, widzieć Anioła.

— A! Czekaj, posłuchaj do końca. Otóż, miał
taką gwiazdę, ale przytém w ręku wielką, czarną
różgę. Podniósł ją na ciebie, i zaczął cię bić, od
stóp do głów, ale to tak straszliwie, że cała się
zmieniłaś w jedną ranę, — i tém biciem pędził cię
przed sobą, a ty jęczałaś okropnie, i szłaś ogląda-
jąc się ku mnie. Ja chciałam krzyczeć, niemogłam
z piersi głosu dobyć, wiész..... jak to we śnie bywa.
Chciałam biedz za tobą, niemogłam się ruszyć. Więc
tylko złożyłam ręce i szepnęłam przydławionym
głosem: «Aniele, święty Aniele, czemu ty ją tak
bijesz?» — On obejrzał się na mnie dość surowo,
i pokazując Kraków, odpowiedział: «Bo chcę że-
by tam doszła.» Wtedy głos odzyskałam, wycią-

gnęłam ręce i prosiłam: «Ach, to już i mnie uderz bo i ja chcę iść z moją Ludką.» — Kiwnął głową mówiąc: «A, jeśli chcesz, to dobrze.» — Wrócił się, i także mię uderzył. Powiadam ci, jakby mię kto piorunami obsypał..... Zerwałam się i biegłam ku tobie, uciekając przed różgą, która jednak ciągle mnie siekała. Ja także stałam się jedną raną, krew ze mnie zaczęła pryskać na kamienie przydrożne, a ja ciągle sobie myślałam tylko, jak to ciębie musi boleć, kiedy mnie tak boli? Nakoniec stanęłam przy tobie, i widząc że Anioł jeszcze się zamierza, powiedziałam, trochę zniecierpliwiona: «Po co? Po co nas tak pędzisz? Przecież i z dobrej woli tam pójdziemy?» — Anioł uśmiechnął się, ale ten uśmiech był jakiś osobliwszy..... jakby odrobinę złośliwy. Spuścił różgę i powiedział: «Spróbujcie.» — Próbujemy, a tu ani sposób. Wyraźnie wrastamy w ziemię, — nie możemy ruszyć ani ręką ani nogą, zupełnie jakbyśmy skamieniały. — Anioł się znów uśmiechnął i zawołał: «A widzicie! Tylko przez cierpienie człowiek idzie do szczęścia.» — Wtedy zaczęłyśmy go błagać: «Ach bij nas ile chcesz, byleśmy tam doszły.» — Nie dał się prosić, i znów nas pędził tą swoją piorunującą różgą. My jednak, — dziwna rzecz! — coraz mniej czułyśmy bólu a coraz więcej radości, bo ów precudny Kraków powolutku się zbliżał. Nagle, Anioł zniknął, znalazłyśmy się pod Wawelem, padłyśmy na twarz, całowałyśmy ziemię jakby jaką relikwię, i z tego wielkiego szczęścia obudziłam

się, uradowana, ale i przerażona. Oj..... teraz jeszcze się trzęsę, kiedy sobie wspomnę tę okropną drogę.

— Prawda, że to sen dziwny. — Odparła Ludmiła, także zamyślona. — Co on może znaczyć? Czyby nam wróżył śmierć, po której oczami duszy będziemy już mogły widzieć zbliżoną ojczyznę? To był chyba Anioł Śmierci.

— Niewiem Ludko, nieśmiem nawet zgadywać. To tylko wiem że to jest przepowiednia czy też przestroga. Zwyczajny sen nie zostawia takiego wzruszenia.

Siedziały długą chwilę, to zamieniając słowa lękliwych domysłów, to milcząc i rozważając przyszłość.

Nakoniec Ludmiła otrząsnęła głowę, jakby dla rozpedzenia przykrych wrażeń, i rzekła weselej:

— Z tém wszystkiém, zapominam po co tu do ciebie przyszedłam. Przychodzę po radę, w pewnej okoliczności która także jest bardzo dziwna, choć niema najmniejszego stosunku z twoim snem ani z Krakowem. Dziś rano, wchodzi do mego namiotu..... Czy uwierzysz kto wszedł do mego namiotu? Biga.

— Żartujesz Ludko. Biga! Zkądże się tu wzięła?

— A tak, zkąd się wzięła? Wystaw sobie, jechała ciągle za nami z całym swoim taborem,

a myśmy nic o tém niewiedzieli. Kiedy spostrzegłam ją wchodzącą, myślałam że przyleciała tutaj aby mi znów dokuczać, i męża na mnie buntować, bośmy się nie widziały od roku, od owego dnia — pamiętasz? kiedy to się tak okrutnie ze mną przemówiła, i kiedy ze złości aż suknię na mnie podarła, grożąc że i mnie kiedyś rozszarpie, jeśli będę Ajdara ciągle — jak ona mówi — *czarowała*. To téż, przyznam ci się — byłam i strwożona i oburzona, kiedy zobaczyłam że ta niewiasta jeszcze i tutaj mię nachodzi. Ale cóż powiesz? Niewiem, — czy łaska boska ją dotknęła — czy jakiś cud ją zmienił? Wchodzi drżąca, skruszona, i kiedy ja chcę już wołać niewolnic na pomoc, ta klęka przedemną, całuje mi kolana, i prosi szlochając abym jój przebaczyła. Powiada że już daléj żyć nie może ze wspomnieniem obelg jakie mi wyrządzała, że ją Czarne Duchy dzień i noc dręczą zgryzotami, że już dawno chciała się ze mną pogodzić, tylko jój brakowało śmiałości. Nakoniec ktoś jój powiedział, że Chrześcijanie przebaczą najcięższe winy. Tém zaręczeniem ośmielona, przychodzi aby mię przeprosić, i błagać o zgodę w imię mojego Boga. Tak, wyraźnie powiedziała: «Proszę cię o to przez twój Boga.» — Ach, ma się rozumieć, na takie słowo, zerwałam się uradowana, podniosłam ją, zaczęłam ścisnąć, i zapewniać że wszystko zagładzone, zapomniane. Ale ona jeszcze niemogła się uspokoić. «Nie» — mówiła — «to jeszcze nie zagładzone..... Nie uwierzę — dobra Chrze-

ścjancko — że zapomniałaś urazy, dopóki mi nie wyświadcysz jednéj łaski. Oto, aby zastąpić tę suknię, którą na tobie tak niegodziwie poszarpałam, przynoszę ci inną. Uszyłam ją własnymi rękami, płakałam nieraz nad nią. Przyjmij odemnie ten mały podarek, i na znak że się zupełnie godzisz, przyjdź do mnie dzisiaj w téj sukni, przyjdź i spożyj wieczerzę przy mojem ognisku.» — Istotnie, wyjęła duże zawiniątko, w którém znalazłam bardzo piękny, nowiuteńki chałat popielaty z futerką, i rodzaj długiéj, czerwonej koszuli z Kaszemirskiej wełny. Już co ta koszula, to nie bardzo świeża, Biga niemogła mię dość naprzeproszać że ją tak zbrukała w mozolnéj robocie, ale téż za to robota prześliczna, haft czarnym jedwabiem, prowadzony po brzegach i na szwach tak ładnie, że i tobie pewno się podoba. Jeśli mam szczerze powiedzieć, wątpię aby to była praca jéj rąk własnych, nigdy nie widziałam Bigi tak pięknie haftujacéj. Ale wszystko jedno, czy sama szyła, czy kazała uszyć, zawsze chęć jak najlepsza. Przeprasza, zaprasza, obdarza, czegóż można już więcéj żądać? To téż obiecałam że włożę ubranie i przyjdę wieczorem. Ośmieliłam się tylko zapytać, czy i Ajdar będzie na wieczerzy? Odpowiedziała mi z wielką pokorą, że to zupełnie zostawia do mojej woli, że ona już ani myśli o wydzieraniu mi serca mężowskiego, bo dobrze wie że człowiek co został Chrześcijaninem, niemoże mieć więcéj nad jedną małżonkę. «Jednak» — dodała — «jeżeli przyzwolisz, to po sta-

rój przyjaźni i jego zaproszę, aby tém uroczyściej, przy świadku, stwierdzić naszą zgodę.» — Rozstałyśmy się bardzo czule, i po jój odejściu, przez chwilę, byłam szczerze uradowana. Jednak po namyśle..... to wszystko wydaje mi się takie dziwne, takie trudne do wiary, że przyszłam ażeby z tobą się naradzić. Cóż ty myślisz? Wszak pójść tam trzeba?

— A któżby mógł radzić inaczej? Pogodzić się trzeba, najprzód poprostu z miłości bliźniego, a powtóre nawet i z rozumu ludzkiego; lepiej mieć ją za sobą niżeli przeciw sobie. I czyż to nie wyborna sposobność, aby Ajdar zobaczył jak to Chrześcjanie umieją przebaczać? Pójść więc do niej musisz. Jednak, i ja się boję..... Bądź ostrożna—przy tej wieczerzy jedz i pij mało, jak najmniej..... ach, nawet wymów się zupełnie - albo przytknij kubek do ust, ale napoju nie połykaj — ta niewiasta jest obfita w zdrady — nieraz już doświadczyłyśmy jój podstępności. Ale rób to wszystko miłosciwie, aby nie spostrzegła podejrzenia, bo jeśli jest niewinna? A któż to wie? Może i niewinna? Jak słusznie mówiłaś, mogła ją łaska boska dotknąć; widok twojej cierpliwości, twojej dobroci, mógł ją nakoniec wzruszyć. Kto wie czy to nie jest początek do zupełnego nawrócenia?

— Ach Elżuniu! — Zawołała Ludmiła. — Gdyby tak się stać miało, to nic pilniejszego, jak dziękować Bogu za wszystkie dokuczania Bigi. Ach,

jeszcze jedną duszę podbić niebu, a toż i własną krwią okupić warto?

I podniosła się rozpromieniona, zarumieniona ogniem pobożnych nadziei. Ale kiedy wsiadała na konia, Elżbieta jeszcze wybiegła za nią, i szepnęła:

— Jednak..... Zaklinam cię — bądź ostrożna. Nic tam nie jedz, nic nie pij. Cóż mi w sercu niedobrze puka....

Ludmiła miała silną wiarę w przeczucia przyjaciołki. To téż odrzekła:

— Bądź spokojna! Zastosuję się do twojej rady.

--- Bądź spokojna!— Dodała raz jeszcze, ale sama utraciła spokojność, i puściwszy cugłę koniowi na grzywę, a myśli puściwszy w mglistą przyszłość, niewiedzieć czemu — posmutniała.

Anielska różga.

Nazajutrz od rana, Elżbieta niecierpliwie czekała Ludmiły, ale jój się nie doczekała.

Przez dzień cały niemogła opuścić roboty, którą w namiotach Kałgi surowo niewolnicom wyznaczano. Cały ten dzień przebyła w niepokoju, łamiąc sobie głowę, co mogło zatrzymać Ludmiłę? Musiał być jakiś ważny powód, bo przecież tamta wiedziała dobrze ile troski tu sprawi swoim opóźnieniem. Co ją mogło zatrzymać? Wszak ona, swobodna, wielka pani, rozporządza swoim czasem, i robi wszystko co jój się podoba?

Dopiero kiedy zmierzch zaczął zapadać, robotnica zdołała wyrwać się i pobiedz ku taborom Ajdara. Wszedłszy do namiotu Ludmiły, spostrzegła ją leżącą na sofie, z twarzą rozognioną i zamglonemi oczami.

— Co ci Ludko, tyś chora?

— Nie, ja nie jestem chora, tylko jakaś niewswoja. Nic mię nie boli wyraźnie, sama niewiem co mi jest..... Ach, ja się ciągle wybiérałam do ciebie—dziesięć razy już chciałam wstać—i taki niepocziwy ze mnie leniuch, zawsze przytknęłam głowę do poduszki..... zawsze sobie mówiłam: — Jeszcze trochę, a potem pójdę.— Po coś ty przyszła, moja droga? Ja byłabym się przecież do ciebie wybrała..... zaraz..... niedługo..... no, a tak, jeszcze cię gotowi ukarać za to że sobie przerywasz robotę.

— Ja skończyłam już robotę, bo już ciemno.

— Co ty mówisz? Już ciemno?

Tu podniósłszy się nieco, łokieć wsparła na wałku, i rozglądała się do koła.

— Prawda..... to już wieczór! A ja myślałam że to tylko mnie w oczach tak ciemno, bo dziś kilka razy, kiedy chciałam wstać..... to wszystko się przedemną ćmiło, i w głowie mi się kręciło jakoś dziwnie..... Już wieczór? Ja musiałam chyba cały dzień przedrzémac?

— Ludko, Ludko—ty niedotrzymałaś obietnicy, ty wczoraj coś wypiałaś albo zjadłaś niezdrowego.

Mówiąc to, Elżbieta starała się nadać swemu głosowi odcień żartobliwy, ale serce jéj uderzyło śmiertelnym postrachem, usta trzęsły się mimowoli.

Ludmiła wzięła jój rękę, i rzekła ze szczerym uśmiechem:

— Nie, moja droga, nie bój się napróżno. Dotrzymałam święcie obietnicy, nic tam nie jadłam i nic nie piłam — jak cię kocham — nic. Spodziewam się że takie zaręczenie wystarcza, nieznam świętszego. I nawet, łatwiej mi to przyszło, niżeli sądziłam. Biga, czy w dobrej wierze, czy dla oddalenia podejrzeń, wcale nie nalegała. Jak tylko jój oświadczyłam że nie czuję głodu ani pragnienia, odsunęła odemnie wszystkie misy i kubki. Powiedziała nawet z pewnym naciskiem: «A! W takim razie nic nie trzeba brać w usta. Przymuszać się, to bardzo niezdrowo.» I na tém się skończyło. Wiesz Elżuniu, posądzałyśmy ją najniesłuszniej; to owszém dobra kobiéta, nierównie lepsza niż myślałam, trochę żywa, ale jak się przeprosi, to do rany przyłożyć.

— Cóż tedy mogło ci zaszkodzić? Bo coś zaszkodziło.

— Albo ja wiem? Pewno droga zbyt pospieszna. Wprawdzie dotąd, nigdy nic mię nie męczyło, no, ale całe życie tak być nie może. Każdy musi swoje odchorować. Zresztą, czy to choroba? Kilka dni wypoczne, i znów będzie dobrze.

Istotnie, przy rozmowie z Elżbietą, rozbudziła się i ożywiła nieco. Wczorajsza wieczerza mocno zajmowała jój myśli.

— Ach Elżuniu, módl się za nawrócenie ostateczne Bigi, ona już jest na dobrej drodze. Nieuwierzysz jak wczoraj mogła każdego zbudować. Ajdara przyjęła z wielkiem uszanowaniem, bardzo serdecznie, ale bez żadnej zbytecznej czułości, jakby starego przyjaciela. Ze mną była mniej pokorna niż rano, ale dobra, wesoła. I żadnych przyczynków, żadnych zwrotów do przeszłości. Mówiła tylko że się chce z nami pogodzić aby spokojnie umrzeć, bo może nas już nigdy nie zobaczy. Tutaj ma zabawić tylko przez te kilka dni które zostały wyznaczone wojsku na wytchnienie, a potem, jak my wyruszymy do Persji, ona powróci do Mongolji, do swego Ułusu, — jak nazywała ze smętnym uśmiechem—*wdowiego*. Aż Ajdar był wzruszony i trochę zakłopotany, a już co ja, to byłam zupełnie upokorzona taką szlachetnością, która niczego nie żąda, ze wszystkiem się godzi. Ja, choć Chrześcianka, może bym się nie zdobyła na tyle..... bo jednak, bądź co bądź, ona może sobie powiedzieć, że jej prawa są dawniejsze od moich. Teraz już tylko to mię troska, czemu tak ją krótko będziemy widzieli? Czy przez te kilka dni, potrafimy namówić ją na Chrzest? A ona musi się ochrzcić — ona godna tej łaski. Prawda, że przez dwadzieścia kilka lat zatruwała mi życie, ale też w końcu tak się upamiętać, tak się skruszyć, to rzecz wcale nie pogańska.

W téj chwili Ajdar wszedł do namiotu Ludmiły. Zdziwił się niezmiernie zastając ją cierpiącą. Przywykły do jój żelaznego zdrowia, ruszył ramionami żartobliwie.

— Pieści się, — mówił, — pieści, bo wie że jój wszystko wolno. Ale się tak nie rozpieszczaj ptaszku, bo cóż to będzie dopiero jak wjedziemy do kraju gdzie wojna wre i huczy? No, prześpij się dobrze, a jutro bądź mi zdrowa jak rybka.

Elżbieta całą noc przesiedziała przy Ludmile, troskając się i pocieszając naprzemian. Nie dostrzegła nic ważnego w jój cierpieniu, jednak ją znajdowała jakąś inną niż zwykle, niespokojną i niezrozumiałą, jakby nurtowaną jakimś wewnętrznym jadem.

O świcie, z bólem serca musiała wracać do Kałgowych namiotów, i niewyspanemi oczami ślęczyć nad robotą, wystawiając sobie przez dzień cały, co się tam dzieje z jój najdroższą?

Tam, działo się ni lepiej ni gorzej niż wczoraj. Ludmiła od rana chciała wstać jak zawsze, ale zataczała się i słabła; odprowadzono ją znowu na sofę.

Mąż, przyszedł pogodny, a wyszedł pochmurny. Jak wszyscy ludzie co nie znają poświęceń, Ajdar był tylko póty wesoły i dobry, póki wszyscy w koło niego uśmiechali się i kwitli zdrowiem. Niedomaganie Ludmiły niecierpliwiło go, jakby jakiś bunt przeciw jego pańskiej, Behadyrskiej woli. Właśnie tego dnia chciał z nią jechać w góry, na polowanie, wieczór chciał wyprawić małą biesiadkę pożegnalną dla Bigi, Ludmiła psuła mu wszystkie szyki.

Przywołał jednego z Szamanów co towarzyszyli wojsku, i zalecił mu bardzo usilnie, ażeby prędko, «jak najprędzej», wyleczył mu żonę. Czarodziej nawarzył ziół i różnych goryczy, potężnymi słowami je zamawiał, i po trzy razy, pełen kubek podawał Ludmile, która mimo niezmiernego wstrętu, wychylała go, jak mogła najodważniej.

Elżbieta przybiegłszy o zmroku, znalazła ją spokojniejszą. Zastała też u niej Bigę, bardzo przykładowie pilną swoją dawną nieprzyjaciółką; wprawdzie nie trudziła się tak czynnie jak Elżbieta, nie usługiwała chorą, ale siedząc opodal, bawiła ją nieskończonym szeregiem najdziwaczniejszych Tatarskich powiastek, i wpatrywała się w nią ciągle z niezmierną troskliwością.

Nie brakło też Ludmile i domowej posługi; było jej raczej za wiele. Mnogie niewolnice kręciły się bez żadnego pożytku; niektóre szlochały i łamały ręce przedwcześnie. Te-a drepcząc nieustan-

nie, zalecała cichość i wywar z liści «The», o których znów Szaman niechciał słyszeć.

Jedna tylko Elżbieta umiała naprawdę chodzić około chorych, z oczu zgadywać życzenia, poprawić poduszkę najwygodniej, ostudzić napój w samą miarę, milczeć albo rozmawiać w porę. Chciała też przesłać sofę, — o czém nikt jeszcze nie pomyślał — i zmienić odzież na Ludmile, która dotąd leżała w téj samej czerwonej koszuli czy tunice, w jakiej rzuciła się do snu po wieczerzy. Ale na te ostatnie zmiany, niemożna było chorój namówić.

— Dobrze..... — Odpowiadała. -- Trochę później..... ach, tylko nie teraz.....

I niechciała się ruszyć.

Ta jéj nieruchawość najmocniej wszystkich dziwiła. Nie było w jéj cierpieniu gorączki, nie było majaczenia, ani żadnych określonych bólów, tylko jakieś ospałe posmutnienie. Ona, zawsze taka dzielna i czynna, zobojętniała na wszystko i dla wszystkich, oprócz dla «Elżuni.»

Według Bigi, ta spokojność była owszem dobrym znakiem.

-- Dajcież jéj pokój. — Zalecała z rodzajem uniesienia. — Choremu nietrzeba nigdy prześcielać łoża, ani zmieniać odzieży, bo w takiej chwili «Duch zimna» może najłatwiej w niego wskoczyć, a «Duch zimna» — jak wiecie — jest największym wrogiem

wyzdrowienia, najbliższym poprzednikiem «Ducha śmierci.»

Uśluchano Bigi, bo rady jój były czerpane z odwiecznej Tatarskiej higieny, która i w Europie do niedawna miała zwolenników, i dziś jeszcze między chłopstwem uchodzi za najlepszą.

Ta noc jednak przeszła dużo lepiej niż pierwsza. Elżbieta, nad ranem, wymknęła się z myślą nieco rozjaśnioną, a Szaman głośno tryumfował.

Ale w ciągu dnia, wszystko złe powróciło. Ajdar zatroskał się naprawdę. Zapominając samolubnych niechęci, siedział przy żonie i patrzył w nią z serdeczną trwogą. Myśl, że Ludmiła może ciężko zapaść, że może umrzeć, pierwszy raz przeszła mu przez głowę, i napełniając go zawrotnym przestraczem, nagle podwoiła jego miłość.

Tymczasem biedna Elżbieta padała do nóg swemu panu, i błagała aby jój pozwolił nie odstępować chorój.

— Choć na kilka dni, — mówiła -- zwolnijcie mię z tego szycia. Już ja potem w dwójnasób, w trójnasób wszystko wam odrobie.

Kałga roześmiał się, odtrącił ją nogą, i odmówił.

Poszła błagać Ajdara, aby się za nią wstawił. Ajdar, chcąc żonie zrobić przyjemność, wstawił się rzeczywiście, ale Kałga — coraz hardziejczy -- i stryjowi odmówił.

— Niemogę, stryju. To byłby zły przykład dla innych niewolnic. Niedługo, już każda z nich wynajdzie sobie jakichś chorych, dla których będzie opuszczała moją służbę. To i tak wielka łaska, że pozwałam jęj w nocy latać po obozie. Jak nie będzie sypiała i straci oczy, to kto mi uszyje suknie od których moje życie zależy? Stryjenka ma przecie dosyć własnych niewolnic, po co tu cudze bałamucić? Bardzo żałuję, ale niemogę—to sprzeciwia się wszelkiej karności.

Tak tłumaczył się i niby żałował, ale w duszy rad był niezmiernie że może dokuczyć i Elżbiecie, i Ajdarowi, i jego wszechwładnej a dziś bezwładnej małżonce, która dość mu w dzieciństwie doskwierzyła, kładąc pęta na jego dręczycielskie zachcianki.

Elżbieta więc znowu, po całych dniach ślezczała zapłakanemi oczami nad robotą, gryząc się, wyczekując zmroku jak zbawienia, i wspominając z żalem dobre czasy, kiedy to Arguna pozwalała brankom wszystkie dni razem spędzać. Mój Boże! Na co im to przyszło, kiedy muszą żałować Arguny?

Tymczasem, choroba Ludmiły trwała, ciągle niepochwytna i niezgadniona. Zatknięto przed jęj namiotem włócznię z czarną chorągiewką, na znak aby każdy co zna jakie lekarstwo, przychodził i radził.

Zajrzało kilku starych żołnierzy, doświadczonych bywalców, co się napatrzyli różnej biedy, i towarzyszom nieraz pomogli, kiedy Szaman nie raczył się nimi zająć. Ale tu, nie widząc żadnej rany, żadnego uszkodzenia, wyszli i zaręczyli że «to nic nie będzie.»

Spędzano z okolicy stare baby. Te kręciły głową, znosiły różne leki. Chora wszystko brała, i coraz głośniej skarżyła się na ciężkość głowy, coraz częściej wzdrygała się od iskrzystych dreszczów. Staruszki uznały jednogłośnie, że «Chatuna jest zaczarowana», — że «jakiś nieprzyjaciel ją urzekł.»

Ajdar słysząc te słowa zewsząd powtarzane, zaczął patrzeć znacząco na Bigę, i zapytał:

— Słyszysz? Wszyscy mówią że to zaczarowanie.

Biga nie zmrużyła oczów pod tém badawczém spojrzeniem, tylko spokojnie rzekła:

— Być może, chociaż doprawdy trudno przypuścić aby ta kochana niewiasta mogła mieć nieprzyjaciela. Chyba twój synowiec Kałga ją urzekł? Wszyscy wiedzą jak on jój nie lubi.

I tém słowem zamknęła Ajdarowi usta.

Po kilku dniach, Szaman oświadczył że musi wziąć się na «wielkie sposoby», wypędzić szkodnego Ducha co zamieszkał w chorój.

Wieczór przyprowadził z sobą dwóch pomocników, Pół-szamanów, i przez calutką noc bez przerwy krzyczeli w niebogłosey, bębnilo we trzy tamburyna, i nahajkami trzaskali w powietrzu, przekonani że Szkodnik przestraszy się i ucieknie. Ale zły Duch zamiast uciec, przywołał sobie widocznie wielu innych na pomoc, bo nazajutrz Ludmiła uczuła się nierównie gorzej.

— Ach!—Jęczała. — Co oni też ze mną wyrabiają! Niech jeszcze jedną taką noc przebędę, a głowa mi pewno pęknie.

Nic dziwnego że przy tym bólu głowy i bezsenności, miała twarz zmienioną, nieco zapaloną. Ale co wszystkich zdziwiło, to że na tej ślicznej twarzy, na policzku podobnym do brzoskwini, pod okiem, ku skroni, wystąpiła plama nakształt różowego półksiężyca. Przywołany Szaman, przypatrzywszy się, pobladł—przygryzł wargi—oświadczył że nic nie może powiedzieć — że nie jest pewien..... ale od tej chwili, niechciał już wchodzić do namiotu Ludmiły.

Usunięcie się Szamana, zdumiało i zasmuciło wszystkich. Ajdar chodził jak bez głowy. Elżbieta wyglądała jak struta. Chora, przyjrząwszy jej się rzewnie, mówiła:

— Czego wy się tak o mnie troskacie? Ty ciągle chorujesz, a nikt się tym już bardzo nie trwo-

ży ani dziwi. Że i ja trochę pocierpie, no to i cóż wielkiego?

Potém uśmiechnąwszy się pół figlarnie a pół boleśnie, rzekła:

— Widać że będę liczyła jakieś ogromne pieniądze, bo mię dłonie w dziwny sposób swędzą..... Co to jest?—Zawołała, na-wpół się zrywając. — To tak, jakby po mnie pełno mrówek biegało..... Co to znaczy?

Nikt nie mógł odgadnąć, co to znaczy?

Jednak czas wyznaczony wojsku na spoczynek, dawno już przeminął; żołnierze byli rażni, konie się podpały. Ajdar jeszcze przedłużał i przedłużał leże.

— Jeszcze — mówił — dwa dni tu zostaniemy.

A po dwóch dniach:

— Jeszcze tylko przez jutro.

I takie «jutro», kilka razy wracało.

Czynił to z niejakiem narażeniem swojej dobrej sławy, bo u Tatarów naznaczano dowódcom z góry, na dnie i nieledwie na godziny, wszystkie etapy ich pochodu.

Wojsko szemrało na wodza, który narusza porządek dla jednej niewiasty.

Nie było rady. Przyszła nakoniec chwila tak ogólnego zniecierpliwienia, że Ajdar musiał dać hasło wyjazdu.

Najpierwszy, o świcie, wyruszył Kałga z przedniami hufcami. Za nim szły wozy pełne jego niewolnic, wpośród których Elżbieta jechała spłakana, oglądając się i pocieszając myślą, że godzina wieczorna znów połączy wszystkie tabory.

Jednak inaczej się stało.

Ajdar jeszcze jak mógł odwlekał chwilę swego wyjazdu. Wysłał przed sobą całe wojsko, sam chciał wyruszyć dopiero z tylnymi strażami.

W końcu, i na ten ostatni oddział przyszła kolej.

Słońce już zaczynało się pochylać, kiedy małeńki wózek zajechał po Ludmiłę.

Tu już nie było wygodnych domów kołowych, zostawiono wszystkie w Mongolji. Na podróż, — i to wojenną — brano tylko przenośne jurty, i lekkie dwukolne arby.

Ajdar kazał usłać jak najmiększe siedzenie, poczem — wszedł do namiotu.

Za nim szła i Biga, niechcąca odstąpić chorąg.

— Moja biedaczko, nic nie pomoże — musisz wstać i siadać na wózek. Już dłużej nie możemy tu zostać.

Ludmiła posłusznie się podniosła, i chcąc zejść z sofy, oparła rękę o wałek. W tym ruchu coś ją ubodło, bo syknęła.

— O! Jak mię tu coś uwięra..... —Rzekła.

— Gdzie? Gdzie? — Pytała Biga.

— Tu, gdzie się ręka zgina.

— Pokaż-no, co to takiego?

Ludmiła odwinęła rękaw, i pokazała swój łokieć, zwykle biały, toczony jakby gałka ze słoniowej kości; teraz w koło niego występował pierścień różowy, na środku nieco szarawy.

Biga mu się przyjrzała — krzyknęła okropnie, chwyciła w pól Ajdara, i odciągając go na drugi koniec namiotu, zawołała:

— Uciekaj! Ta kobięta ma trąd!

Ajdar zachwiał się, jak człowiek przed którym piorun upadł — zatoczył kilka razy błędnym wzrokiem — potęm utopiwszy ręce we włosach, wyleciał z namiotu — biegł potykając się, w gzygzak — aż padł twarzą o ziemię, z krzykiem głuchym, zdławionym.

Biga biegła za nim.

Po chwili, zerwał się na równe nogi, krzyząc:

— Ale czy to prawda? Może ty się pomyliłaś? Szaman! Wołać mi Szamana!

Czarownik przyszedł niechętnie.

— Już ja—mówił—od wczoraj zląkłem się téj plamy na twarzy, ale niechciałem gubić niewiasty, póki nie było pewności.

— Ach, jeszcze raz ją zobacz! — Błagał Ajdar.—Tylko raz....

Dużo czasu minęło, nim Szaman dał się uprosić. Nakoniec, gorączkowym rozpędem wbiegł do namiotu, spojrzął na rękę Ludmiły, rzekł pogardliwie:

— Ma się rozumieć, że trąd!

I podwinąwszy długą suknię, zaczął uciekać gdzie oczy poniosą.

Powstał popłoch nie do opisania.

Wszyscy odbiegli Ludmiły,—wszyscy.

Obawa trądu, który z trzynastym wiekiem dosięgł najwyższego w historii rozwoju, była po całym świecie śmiertelną, ale na Wschodzie potęgowała się jeszcze rodzajem religijnego zabobonu.

Ludy północnej Azji wierzyły, że istota nawiedzona tą plagą, nietylko musiała obrazić Bóstwo, ale stała się już bezpowrotnie, na zawsze, mieszkaniem «nieczystych Duchów», — i uciekały od niej, lękając się, może już nietylko szkody dla swego zdrowia, ile szkody dla duszy, utraty wszelkiego szczęścia i błogosławieństw nieba. Według nich, kto przestawał z wyklętymi, ten sam stawał się wyklętym. To téż wszystkie uczucia i obo-

wiązki, same z siebie ustawały w obec tego wyroku, wydanego przez niebo widocznie, dotykalnie.

Ludmiła także została spiorunowana wieścią o swoim nieszczęściu, chociaż jeszcze nawet nie mogła pojąć jego rozciągłości. Przez jakiś czas, siedziała nieruchoma, bezwładna. Potem, wstrząsnęła się pod wrażeniem jakiejś nowój myśli, i zaczęła wołać wszystkich kolejno, po imieniu, z najczulszemi prośbami.

Nikt nie odpowiadał — nikt się nie pokazywał.

Nakoniec Te-a, przechodząca niedaleko, skierowała się ku namiotowi; nie weszła wewnątrz, ale stanęła przed progiem, patrząc na panią wzrokiem suchym od przerażenia.

— Ach jesteś, moja pocziwa Te-o..... to dobrze..... nie wchodź..... ja wcale nie chcę abyś wchodziła, tylko chcę cię poprosić, tak..... i ciebie i wszystkich proszę, błagam, abyście tu nie wpuszczali Elźbiety, bo ona to gotowa-by wejść, i jeszcze dostać odemnie téj choroby..... zaklinam cię, na imię Boskie, nie wpuszczaj Elźbiety!

— Niech się pani nie boi, ona jeszcze rano wyruszyła z pierwszemi taborami, już musi być daleko.....

— Ach, to dobrze.....—Odrzekła chora, z wyrazem ulgi w której dziwnie się mieszało uspokojenie i—zmartwienie.

— To dobrze, — dodała cichszym głosem — ale i Ajdara nie wpuszczajcie.

Ta ostatnia przestroga była zupełnie zbyteczną. Ajdar nawet nie przypuszczał, aby człowiek przy zdrowych zmysłach, mógł wejść do wyklętego namiotu. Wszak tracimy najdroższe osoby, a nikt nie wymaga, abyśmy żywcem zamykali się z niemi w grobie?

Siedział na ziemi pod tym nieszczęsnym namiotem, i płakał głośno, długo, szlochająco, jak skrzywdzone dziecko.

Biga siedziała przy nim, kojąc go najczulszemi, najpochlebniejszymi słowami:

— Mój ty biedny, mój ty piękny Ajdarze, pociesz-że się. Szkoda twoich cudownych oczów na płkanie. Jakież to szczęście przynajmniej, że ja przy tobie jestem,—inaczéj, zostałbyś sam—zupełnie sam.

— Tak..... to szczęście..... — Powtarzał, ale powtarzał głosem bez wyrazu, jakby martwe echo.

Nagle, podniósł na nią oczy.

— Powiedz mi, — zapytał — zkąd jéj mogło przyjść to nieszczęście? Czém je na siebie ściągnęła?

Biga, dziwnie jakoś zmieszana, odparła:

— A zkadże ja mogę wiedzieć? Zresztą, nie-trudno się domyślić: weszliśmy do krajów gdzie trąd jest bardzo powszechny; w tych gorących kra-jach nierównie powszechniejszy niż u nas. A ścia-gnęła go sobie sama, pewno przez tych wszystkich żebraków, których tak lubiła w koło siebie groma-dzić. Tylko sobie przypomnij: wszędzie za nią leżli, rozdawała im wszystkiego bez miary, bez pa-mięci, pozwalała się całować po rękach, po su-kniach, pozwalała na wszystko, byle słyszeć po-chlebstwa i dziękczynienia. Ja nieraz przestrze-gałam: «Ej niewiasto, nie trwoń tak mienia mężow-skiego, nie wdawaj się z nędzaczami, bo to się źle skończy.»—Nie słuchała, aż się doigrała. Pewno który z tych żebraków nie dostał od niej tyle ile wymagał, i napędził jój złego Ducha. Ci Chrześcja-nie to szaleńcy.

— Może być.....—Powtórzył boleśnie Ajdar, a potém, podnosząc zaciśnięte pięści ku niebu, wołał:

— Po co ja się chrzcilem? Ten ich jakiś Bóg z krzyżem, nie musi być dobry, kiedy oddał taką piękną istotę na pastwę nieczystym Duchom, — nie musi być mocny, kiedy nieumiał jój obronić.

Biga uśmiechnęła się jadownicie.

— Ha! — Rzekła. — Może to kara za odstą-pienie naszych Duchów?

— Ależ ja ich nie odstępowałem! Ja czciłem je, karmiłem po dawnemu, tylko mi się zdawało

że jeden Duch więcej, to i więcej błogosławieństwa? Ach! Ja byłem pewien, że Bóg Ludmiły będzie zsyłał samo, samo szczęście? A to nieprawda!

Co stanowiło prawdziwe szczęście, to że Ludmiła niemogła dobrze dosłyszeć tych bluźnierstw, które-by ją może były więcej bolały, niż obrączki trądu. Słyszała tylko szlochanie Ajdara, i serce jój topniało na ten dowód współczucia.

Tymczasem, zmrok już zapadał.

Jeden z Setników, stanął przed Behadyrem zakłopotany.

— Cóż każesz, Terchanie? Żołnierze ciągle na koniach siedzą i czekają..... Czy już dziś nie wyruszymy?

Ajdar otrząsnął głowę, zawstydzony łzami w których go zastano.

— Jedźcie.—Rzekł.—I ja za wami jadę..... zaraz..... tylko tu jeszcze wydam rozporządzenie.

Poczem, zwróciwszy się ku niewolnikom, powiedział:

— Wszystko co należało do Ludmiły, zostawcie tu nietknięte. Wszystko.

I sam pilnował, ażeby ze skrzyń jój nic nie zaginęło,—sam wybierał konie, barany i wielbłą-

dy, które były jój wyłączną własnością. Kazał jednym nogi spętać, ażeby się zbyt nie oddalały, drugie do jurty kazał poprzywiązywać.

— Ale,—mówił—ona może nawet nie potrafi wstać z łoża i poszukać sobie żywności? Tam w namiocie nic niéma! Ona gotowa umrzeć z głodu i pragnienia, zanim choroba ją zabije!

Wszyscy przyznawali że prawda, jednak nikt nieśmiał wejść do chorój.

Nakoniec Ajdar wpadł na pomysł niezwykły. Był w tylnych strażach żołnierz obciążony *Kangą*, i skazany przez trzy dni na chłostę, za jakieś wojskowe przewinienie. Terchan obiecał że kara zostanie darowaną, jeżeli żołnierz odważy się wziąć zasoby jadła i napojów, i postawić je tuż przy Ludmile.

Skazany długo się wahał; ale Kanga mocno go uwiérała w szyję, przystał. Ze drzeniem brał naczynia pełne wody, kumysu i kaszy, wbiegał pędem do namiotu, stawiał, a raczej upuszczał wszystko przed sofą, i jak oparzony uciekał.

Ludmiła zdumiona zapytywała:

--- Co to jest? Po co mi to wszystko znosisz?

Ale się nie doczekała odpowiedzi.

Nagle, jakiś cień mignął za progiem jéj namiotu, i głos Ajdara dźwięczał załzawiony:

— Żegnaj mi, moja gołąbko! Żegnaj mi moje szczęście!..... O! Wolałbym sypać ziemię na twoją trumnę, niż tak zapuszczać wojłok na twoją smutną jurte!....., O! Już dla mnie słońce nigdy jasno nie zaświeci!

Tu łkanie przerwało mu słowa. Drżącą ręką zapuścił zapyony zamykające namiot, i stał jeszcze chwilę. Niemógł się oderwać od tych progów.

Aż Biga nadbiegła—otoczyła go silném objęciem—głowę jego wsparła na swoim ramieniu — i odprowadzając go, mówiła z lekkim odcieniem niecierpliwości w głosie:

— No, przestań-że już kwilić jak dziecko. Przypomnij sobie żeś mężczyzną, wodzem, Behadyrem! Jeszcze słońce dla ciebie nieraz jasno zaświeci! Czyż to tylko na świecie ta jedna kobiéta cię kocha?

Po chwili, ozwał się tętent ostatniego konia.

Odjechali wszyscy, wszyscy, — a Ludmiła została sama jedna w pustyni.

Wprawdzie nie była to pustka piaszczysta ani stepowa. Za jurta wznosiły się piękne góry, szumiące odwiecznym lasem. Przed jurta kwieciły się bujne łąki.

Ale w koło trędowatych, wszędzie jest pustynia.

Poświęcenie któremu Tatarzy wierzyć niechcieli.

Kiedy Elżbieta ujrzała Ajdara wracającego bez Ludmiły, kiedy jój doniesiono wieść okropną, stanęła bieluteńka jakby słup zamarzły.

Po chwili, zeskoczyła z wózka — porwała się pędem niewstrzymanym — wszystkich roztrącając, wybiegła na przód hufców — aż do Kałgi — konia jego ujęła za cugle — i mówiła głosem jakiego nigdy w życiu nikt u niej nie słyszał, rozrzewniającym i przekonującym jakby śpiew anielski.

— Panie! Puść mię do téj choréj..... Ona tam sama jedna — ona mię w niewoli pocieszała i pielęgnowała, a jój teraz nikt nie pociesza, nikt nie pielęgnuje. O! Przecież ty masz dobre serce, tyś jest zacny pan! Jak tylko jój się zdrowie polepszy, ja wrócę do ciebie dobrowolnie, odsłużę ci do śmierci tę łaskę! Panie, pozwól mi pójść do niej!

Biędna Elżbieta! Odurzona własnymi uczuciami, nie spostrzegła jak te uczucia wydają się nieprawdopodobnymi, jak jój żądanie jest szalone, i jak opacznie może być pojętém.

Prośba tak rozśmięszyla Kałgę, że w pierwszej chwili nawet się nie rozgniewał. Kręcąc palcem w powietrzu, zawołał:

— Oho! Ho! Doprawdy? Chcesz iść do trędotawój? I po co, proszę? Aby sobie i nam przynieść tę plagę, i suknie moje zatruć? Innych oszukuj, ale nie mnie. Czy ja nie rozumiem co to znaczy? Chce się swawolnicy w świat lecić, i szuka sobie zamówki. Ale głupia zamówka.—Idź precz..... wracaj na wóz.

Elżbieta z niewytłumaczoną mocą zatrzymując konia którego chciał popchnąć, zaczęła wołać głosem piorunującym — ona, zawsze taka łagodna i cierpliwa, w tej chwili stała się straszną.

— Człowieku! Wszak ty wierzysz w Boga? Otóż ja w imię Boga przepowiadam tobie: to jest godzina co stanowi o twojej przyszłości. W tej godzinie ściągniesz na siebie błogosławieństwo albo karę boską. Jeżeli mię nie puścisz, kara cię nie minie. Nie minie!

Kałga pobladł. Lękał się stosunków Elżbiety z Duchami, lękał się jój wzroku.

Ręką zasłaniając sobie twarz, wykrzyknął:

— Co ty mię tu będziesz klątwami szamanila? Weźcie mi zaraz tę czarownicę, i pilnujcie jęj dobrze, aby mię temi czerwonymi oczami nie urzekła! Straże skoczyły.

Ale Elżbieta, już i bez ich wdania się, puściła konia Kałgowego, i odeszła z głową spuszczoną.

Przechodząc przed Ajdarem, przystanała — błagała aby się za nią wstawił.

Gdyby Ajdar mógł był uwierzyć w jęj żądanie, byłby się może i wstawił, chociaż zapewne bez skutku. Ale nawet nie próbował, bo nie wierzył Elżbiecie. Napróżno mu rozpowiadała że pod «zachodnięm niebem», są kapłanie a nawet piękne królowe, co służą trędotatym, łoża im prześcielają i rany opatrują. Ruszał ramionami. On także sądził, że Elżbieta szuka tylko kłamliwego pozoru, ażeby się wydobyć z niewoli.

— Moja kobięcino, — mówił — jakże chcesz abym ja w takie brednie wierzył? Już przecie nikt więcj niemógł kochać Ludmiły, jak ja, jęj małżonek? A jednak musiałem ją zostawić. Trudno, — ona już dla nas umarła. — Nie susz mi próżno głowy, i tak mam dosyć zgryzoty.

Po tęg odpowiedzi, Elżbieta nagle się uspokoiła, i odeszła ku wozom niewolnic, bez najmniejszego szemrania.

Żołnierstwo i sługi, śmiały się z niej na wyścigi, przedrwiwając:

— Aha! Nie udało się sławnéj szwaczce, nie udało! Myślała że oszuka wszystkich? Ba! Jeszcze się ten nie urodził, coby oszukał Tatarą.

Branka także się dziwnie śmiała, przywtarzając:

— A tak, — nie udało się — trzeba wrócić znowu na łańcuch.

Kiedy pod noc się zatrzymano, siedząc przy ogniu z innemi niewolnicami, rozmawiała spokojnie a nawet wesoło, jakby nic nie zaszło, — rozpowiadała jaką by to jéj trzeba uszyć cudną suknię, dla przebłagania zagniéwanego pana. Potém się wsunęła pod wózek, i usnęła głęboko.

Ale kiedy nad ranem zaczęto gotować strawę, i zwiąć wszystko dla dalszego pochodu, nikt nie mógł odnaléźć Elżbiety.

Służba przestraszona, nie śmiała jeszcze uwiadomić Kałgi. Szukano jéj po całym obozie. Na próżno.

Elżbieta uciekła.

Jakim sposobem, ta istota o wątłych siłach i gołębiéj prostocie, znalazła dość odwagi, dość węzówéj mądrości, ażeby dokonać podobnego przedsięwzięcia, to już jest jedną z tych tajemnic, które pozostają na zawsze między niebem a kochającemi duszami.

Niesiona jakby cudownie, na dwóch skrzydłach wielkiego przywiązania i wielkiej boleści, potrafiła przemknąć się przez obóz i omylić warty, — przy świetle gwiazd rozpoznawała miejsca przez które wczoraj przejeżdżano, — w kilka godzin przeleciała drogę którą wojsko zwolna ciągnęło, — i wkrótce po wschodzie słońca, spostrzegła wykłety namiot.

Ludmiła siedziała przed namiotem, nieruchoma, zapatrzona w niebo. Zobaczywszy osobę pędem nadbiegającą, przysłoniła dłonią powieki — poznała — krzyknęła — i wpadła do namiotu.

Widząc Elżbietę już u wejścia, zapuściła gwałtownie zapy — wołała z jękiem:

— Idź sobie!..... Ja cię niechcę!..... Ja cię nie puszcze!.....

I mocowała się z nią przez wojłoki.

Elżbieta nagle odstąpiła od progu, i od innej strony rozdarłszy pilśniową ściankę, wśliznęła się do jurty. Padła na piersi Ludmile, objęła ją w nieskończonym uścisku, całowała po rękach i po twarzy, wołając:

— Jestem! Jestem!.....

Tamta broniła się jeszcze, — coraz to słabiej, ale jeszcze odpychała Elżbietę, — a głos jój wciąż jęczał:

— Po coś ty tu przyszła? Zobaczysz..... i ty dostaniesz téj choroby! Już tylko tego brakowało!....

— A i owszem,— ja chcę cierpieć to co i ty cierpisz, — ja chcę dostać trądu, — boś ty go dostała przezemnie.

— Jakto, przez ciebie? Co téż ty gadasz?

— Ma się rozumieć. Mogłaś w kraju zostać razem z Jasiem. A to wracając się po mnie, wpadłaś i w niewolę, i teraz w tę chorobę. Wszystko przezemnie.—Ale teraz—dodała z oczami pałającymi od radosnego tryumfu—teraz już mię nie odpędzisz, i oni tu nie będą śmieli przyjąć po mnie.

Jakby odpowiedź na te wyrazy, ozwało się z daleka ponure nawoływanie. Spojrzały przez szpary namiotu, i spostrzegły jeźdźców krążących w koło widnokręgu.

— Schowaj się Elżuniu dobrze..... oni cię szukają.

— Owszem, otwórzmy namiot. Niech zobaczą że ja tu jestem, bo niechcieli mi wierzyć, kiedy mówiłam że do ciebie idę. Wziąć mię ztąd nie wezmą—-a jak zobaczą że tu jestem, to sobie i pójdą.

— O, nie rób tego..... nie! Ja mam lepsze od ciebie oczy, ja widzę że oni strzały kładą na cięci-

wę, i tak czekają z napiętymi łukami. Odeszłyby..... ale pierwój.....

Nie rozsunęły więc wołoków.

Przez dwa dni namiot był otoczony, zdaleka, lecz do kolusienka. Jeźdźcy zbliżali się na rzut strzały, stali po całych godzinach nieruchomie, to kryjąc się za drzewami, to wydając nastraszające krzyki.

Przez dwa dni namiot szczelnie zamknięty, nie zdradził się żadnym ruchem, żadnym znakiem życia.

Pod wieczór drugiego dnia, wszyscy czatownicy zjechali się na jedną kupkę. Branki, zawsze patrzące z po-za osłon, widziały dokładnie jak rozprawiali, jak radzili, wskazując rękoma to ku namiotowi, to ku innym stronom okolicy. Nakoniec odjechali zwolna, jeszcze się oglądając, biorąc się za głowę, i dając wyraźne znaki wielkiego zatroskania.

— I oni biedaczyska są warci litości..... —Rzekła z westchnieniem Elżbieta.— Oj! Będąż oni mieli do ucierpienia od Kałgi, za to że mi dali ujść, i że mię nie znaleźli.

Przez dwa dni następne, niewiasty jeszcze nie

śmiały wyrzucić z namiotu. Jednak do koła wszystko było spokojne. Raz tylko, jakaś karawana podróźnych przesunęła się w oddaleniu, wesoła, gwarna, migocąca, przepłynęła i znikła. Nigdzie ani śladu czat lub szpiegowania.

— Już chyba przestali mnie szukać? Wojsko przecież niemogło-by zatrzymywać się tak długo, dla pogoni za jedną niewolnicą?

Piątego dnia, wzięły się na odwagę — wyszły z namiotu. Elżbieta chciała koniecznie nałamać gałązek i rozpalić ogień, bo chora już dawno nie miała w ustach ciepłej strawy. Ludmiła wlokła się także za Elżbietą, nie śmiała na krok od niej odstąpić, z obawy aby jej nie wykradziono przyjaciółki.

Z początku, straszyl je każdy szelest. Wkrótce przekonały się że wszystkie szmery są niewinne; to ptaszek przelatował w krzakach, to spętane konie nadbiegały radośnie na widok swojej pani. Człowieka, nigdzie ani cienia.

Gdy przyszło im rozpalić ognisko, brały się do tej roboty z wielkim drżeniem; słup dymu najłatwiej mógł zdradzić ich obecność. To też obyczajem Tatarskim, nałożyły więcej «argolu» niż drewna, i to w jurcie, a wołoki znów pozapuszczały starannie. Ale i dym nikogo nie zważył. Już widocznie, wszelkie niebezpieczeństwo przeminęło.

Szóstego dnia, nastąpiła inna troska: mieszkańkom namiotu zbrakło wody. Wśród zapasów jakie Ajdar kazał postawić w jurcie, było tylko jedno wiaderko wody, a w pierwszych dniach, Ludmiła — z nieprzezornością rozpaczy — używała jój obficie do skrapiania i okładania swoich plam bolących; zdawało się chorój, że ten chłód powinien jój przynieść ulgę. Zawartość wiaderka, choć w końcu już oszczędzana, piątego dnia wyczerpała się zupełnie. Kumysu było więcej, ale w te dni skwarne, zepsuł się prędko, i wydawał taką woń zgnilizny, że go Elżbieta musiała wynieść precz z namiotu. Nadoiła mléka owczego i kobyłego, ale cóż? Ludmiła, z ową zmiennością upodobań co zwykle towarzyszy chorobie, niemogła w téj chwili znieść żadnego mléczywa, i tęskniła do świeżej wody jakby do zbawienia. Długo jój się zdawało że potrafi przemódz i ukryć ową tęsknotę, ale Elżbieta nadto dobrze umiała czytać z jój oczu niespokojnych, ze drgania jój ust wyschniętych, ażeby nie odgadnąć o co chodzi?

Już to w ogóle, przez te dni kilka, bardzo mało słów zamieniły; nie śmiały sobie zwierzać swoich obaw i przewidywań. Elżbieta siedziała ciągle koło Ludki, służąc jój z niezmiernemi staraniami, ale i wpatrując się w nią ze śmiertelnym przestachem, drżąc nieustannie czy choroba nie przybierze groźniejszej postaci? Tymczasem nie, Lu-

dmiała nie czuła się gorzej niż z początku; owszem, jawne wystąpienie złego, usunęło pierwotną, niewytłumaczoną drażliwość, teraz nawet mogła się łatwiej poruszać, i jak najprzytomniej mówiła. Ale za to inny dręczył ją niepokój: co rano, co godzina, wpatrywała się w Elżbietę, ze drżeniem zapytując:

— No cóż? Jeszcze ci nic nie jest?

Elżbieta nie mniej pilnie badała samą siebie, ukradkiem spoglądała na swoje ręce, ale zupełnie z odmiennym uczuciem. Ona pragnęła choroby, i niemogła jej się doczekać!

Więc na ciągłe pytania, raz odrzekła z westchnieniem:

— Niestety! Jeszcze nie.

— Elżuniu, ty niedobra..... jak ty możesz grzeszyć podobnym gadaniem?

— Już ja wiem co mówię. Gdyby Pan Bóg dał abym z tobą mogła podzielić i tę jeszcze koronę cierniową, byłybyśmy obie już od złych ludzi bezpieczne.

— Ładne mi bezpieczeństwo! A zresztą, zdaje się że przecie już i tak pojechali?

Istotnie, trudno było przypuszczać, aby jeszcze jaki nieprzyjaciel groził. Od czterech dni już się nikt nie pokazał.

W Elżbietę zaczęła wstępować otucha.

Przez cały szósty dzień, Ludmiła nie miała w ustach ani kropli wody. W nocy, ogarnął ją chorobliwy smutek.

Trzeba iść koniecznie po wodę. Ale gdzie? Blisko jój nigdzie niema. Wprawdzie, o sto kroków od namiotu, snuło się korytko strumienia, ale na te upały było zupełnie wyschnięte.

Siódmego dnia, Elżbieta się odezwała:

— Jednak ten strumień musi gdzieś mieć źródło? Niezawodnie w tych oto górach, i to nawet niedaleko, bo dobrze pamiętam, że kiedy — kilkanaście dni temu — rozkładaliśmy się tutaj z wojskiem, to niewolnicy poszli tam z wiadrami, i w jaką godzinę już wrócili.

Tu, sama chwyciła wiaderko, dodając:

— Pójdę. Jak będę szła ciągle za tém wyschniętém łożyskiem, to w końcu dojdę do źródła, z którego przecie choć troszkę wody jeszcze się musi sączyć?

— Ach, nie chodź! Nie chodź! — Błagała Ludmiła.—A nuż cię kto spotka? Nuż oni jeszcze się tu kręcą?

Przez cały dzień, certowały się i namyślały.

— Już jeżeli masz iść, to przynajmniej o zmroku; nie tak łatwo cię kto pozna. I ja koniecznie pójdę..... zasłonę cię moją wyklętą osobą, a wtedy nikt nie będzie śmiał przystąpić do ciebie.

Długo przyszło czekać na wieczór, dzień letni jest przedwieczny. Kiedy nakoniec niebo zaczęło ciemnieć, wyszły dosyć odważnie obie.

Ale zamiar Ludmiły, okazał się wkrótce niewykonalnym; póki jeszcze po równinie, póty, — wsparta na Elżbiecie — szła niezgorzėj; lecz kiedy przyszło iść pod górę, po kamienistych pochyłościach, zaczęła się ślizgać, co krok przystawać, nakoniec rzekła:

— Niemogę..... wróćmy się.

— Nie Ludko, kiedy już się tyle namęczyłaś, niechże przynajmniej ta męczarnia na coś nam się przyda. Siądź tutaj oto, na tej mięciuchnej trawie, a ja co tchu pobiegnę. Nie bój się o mnie—przecież widzisz, jak okiem sięgnąć, żywego ducha niema.

I posadziwszy Ludmiłę nad wyschłym strumieniem, zaczęła iść bardzo rażno.

Przez jakiś czas, jeszcze słyszała wołanie:

— Ach, tylko prędko wracaj, bo ja tutaj uschnę z obawy..... Elżuniu moja, wróć się lepiej zaraz!.....

Nie wróciła się Elżunia. Szła, nie odstępując od kamiennego łożyska. Z początku, ogarnęły ją grube ciemności. Gąszcz podnosił się w coraz wyższe drzewa, ale i grunt się podnosił, i wchodził

w coraz większe światło. Chwilami, kiedy las rzedniał, odnajdywała korytko, ciągle ginące jój z oczu. Raz nawet, w jedném z takich przeredzeń, dostrzegła że między kamieniami coś migoce; był to wąziutki prątek wody, co się kręcił wśród głązów i przepadał w ciemnej szczeliwie. Nachyliła wiadro, ale się przekonała że tu wody jeszcze za mało; wypadłoby godzinę czekać, aby kroplę po kropli, zebrać jeden kubek.

— Trzeba jeszcze pójść wyżej.—Rzekła.

Wyżej, las już był bardzo ciemny i gęsty.

Ale przez dwadzieścia kilka lat spędzonych w życiu koczowniczym, branki nauczyły się wszelkiego rodzaju podróżowania i obcowania z przyrodą. Elżbieta, często używana do noszenia wody—i to w krajach gdzie źródła są rzadkie—znała się z przeróżnemi jój szmerami, poznawała na gruncie najlżejsze jój wskazówki.

Minęła już dobra godzina od chwili rozłączenia się z Ludmiłą, kiedy ją doszedł szum równy, pluszczący.

Ach, jakże jój się wydał dźwięcznym i wesołym, — to źródło!

Podbiegła kilka kroków—już widzi.....

Drzewa się w tém miejscu rozstępowały. Przed nią, czerniał bok stromiej góry, a z tej ściany wytryskał, kręcąc się, sznur wody srebrzystej, tém srebrzystszej, że xiężyc—który tymczasem wszedł na niebo—prześwietlał go błękitnym drganiem.

Elżbieta wbiegła na kamień — podstawiła wiadro pod krynice.

W téj chwili zadrżała..... pomiędzy drzewami, załomotał niezwykle szelest.....

Zadrżała, czy dziki zwierz jój nie napadnie? A w téj trwodze, głównie ją dotknęła myśl okropna:

— Ludmiła zostanie bez wody..... ach, nietylko bez wody, ale i bez nikogo na świecie!

Jednak, szelest ustał — cisza zaległa w koło. Tylko las szumiał, i sznur wody pluskał.

Tymczasem wiadro już się przepełniło. Wzięła je, i zeszła z kamienia.

Zaledwie ubiegła kilka kroków, coś cienkiego, świszczącego, śmignęło nad ziemią, i chwyciło ją za kolana.

Chciała się wyrwać, raz jeszcze stąpić, — nie mogła. Twarzą padła o ziemię, wypuszczając z ręki wiadro.

W usiłowaniach jakie czyniła ażeby się podnieść, uczuła na swoich nogach pęta, i z pojętnością nieszczęścia, zrozumiała że na nią zarzucono arkan.

— Zginęłam! Boże, czuwaj nad Ludką!.....

W téj chwili ktoś do niej przyskoczył — spowinał ją wojłokiem — chwycił w żelazne ręce — i niósł biegnąc pędem.

Po kilkuset krokach, stanął — skoczył na siodło — spowiniętą przewiesił przed sobą na koniu — i puścił się, trzaskając w powietrzu nahajką.

Z początku niemogła wiedzieć, ani kto, ani gdzie ją wiezie, bo i głowę miała szczelnie okryconą, czuła tylko jak ostre gałęzie biły o jęj powijak.

Po jakimś czasie, jeździec — może z obawy aby się nie udusiła, — cokolwiek jęj twarz odsłonił. Spojrzała — poznała — był to jeden z Kałganowych żołnierzy, dobry jęj znajomy.

Nie należał on do rodowitych Tatarów, ale do podbitej ludności Najmanów, nazywał się Berkaj. Był to człowieczek szczupłutki, niziutki, ale zwinny i krzepki jakby ryś. Biada zdobyczy, co dostała się w jego łapki!

Patrząc na nią, śmiał się od ucha do ucha.

— A to mi się udało! — Mówił. — A! jesteś na koniec, czarownico — jesteś! Naczekałem się porządnie, ale też dostanę sutą nagrodę, bo cię dostawiam — i to żywcem — jak mi przykazano.

Elżbieta podnosząc na niego błagające oczy, zaczęła mu przedstawiać nieszczęście Ludmiły, jęj straszliwe opuszczenie, teraz, kiedy on jęj odbiera ostatnią podpore. Z początku mówiła bez żadnej nadziei, potem coraz rzewniej, bo dostrzegła — o cudzie! — dostrzegła chwilkę wzruszenia na twarzy słuchacza.

Krótko trwała ta chwila. Ruszył ramionami, zaciął konia, i odpowiedział:

— Gdybym ci mógł wierzyć, to — przez wielkiego Tangri! — puściłbym cię w téj chwili. Mimo nagrody jaka mi się uśmiecha, mimo strachu przed panem co mię czeka, puściłbym ciebie.... trochę z litości, a trochę z obawy żeś gotowa i mnie tu trądem obdarzyć. Ale ja nie dziecko. Ty kłamiesz. Kłamiesz najhaniebniej! — Powtórzył, wracając do dzikiego, zwykłego sobie głosu. — Ty nie byłaś u żony Terchana. Myśmy dwa dni stali w koło jój namiotu, a tam się nic nie ruszyło. Ona tam kona — pewno już umarła, a ty ani jój na oczy nie widziałaś, ty sobie uciekłaś w góry. Nietrudno to było zgadnąć, ja mówiłem od początku że tam cię trzeba szukać; każdy niewolnik zrobiłby w ucieczce to samo. W górach dużo gąszczów i jaskiń. A ja wpadłem na doskonały pomysł; powiedziałem sobie: Niech inni szukają po jamach, ja będę siedział kamieniem przy źródle; na ten upał wszystkie wody wyschły, w całej okolicy tylko to jedno źródlisko jeszcze dyszy; ona prędzej czy później przyjdzie tu po wodę. — I przyszłaś! Oj, będzie ci gorzka ta woda! Żywcem cię dostawię — ale czy żywcem wyjdiesz z rąk pana, to wątpię. On tam gniewa się jak nigdy w życiu. Nie zważał na karność wojskową, na nic w świecie — odłączył się od stryja — wrócił o kawał drogi — no, i oto siedem dni już tu pod górami stoi, a w góry ciągle nowych ludzi wysyła. Zagroził nam wszystkim że zginiemy, je-

żeli się nie znajdziesz, — a temu co cię znajdzie, obiecał sto bałyszów złotych i konia.

I pośpiéwywał:

— Będę miał konika — będę miał bałysze. —
Haj! Za jedną babę —koń i sto bałyszów!

Elżbieta już nic nie mówiła. Czasem tylko poprawiała się w swojej męczeńskiej, przewieszzonej postawie, bo pęd konia rzucał ją gwałtownie.

Berkaj przywiązał ją do siodła, mówiąc:

-- A! Trzeba cię spętać, abyś mi się znowu nie wyśliznęła, — za drogo mię kosztujesz.

Jak długo lecieli, niemogła pomiarkować; chwile były wiekami.

Xieźyc spuścił się za góry, niebo i ziemia poczerniały.

W połowie nocy, stanęli wśród kilku jurt rozbitych między niższemi pagórkami.

Z największego namiotu biło światło. Kałga, niemogący spać od niepokoju, siedział jeszcze, wśród niewolnic i niewolników trzymających pochodnie, i pił z ogromnej czary o dwóch szyjkach. A że mu było smutno ucztować samotnie, przyzywał sobie towarzysza; naprzeciw niego, przy drugiej czarze, siedział Szaman, — ten sam co pierwszy poznał cierpienie Ludmiły.

Kałga wziął go prawie gwałtem z sobą, w nadziei że czarownik wskaże mu kryjówkę zbiegłej niewolnicy. Szaman niepotrzebował czarów, ażeby twierdzić że najprędzej uciekła w góry; chcąc jednak nie tracić uroku cudowności, czynił różne wróżby, siał wodę przez sito, radził się pukającą deszczki, i wszystko mu powiedziało że «zguba się znajdzie.»

Żołnierz, zeskoczywszy z konia, rozpętał Elźbiecie nogi, a za to ręce jój związał w tyle, i do namiotu ją prowadził, a raczej wpychał trzymając za ramiona, bo prawie iść niemogła. W głowie jój się jeszcze kręciło, i nogi srodze ją bolały, zapewne od ciasnego wężła.

Na widok wracającej Elźbiety, wśród niewolnic i niewolników przebiegł szmer przerażenia i przytłumionój litości, bo wszyscy kochali świętobliwą branke, i w duszy już cieszyli się z jój ucieczki.

Za to Kałga, wydał krzyk, a raczej ryk najgwałtowniejszój radości. Kiedy żołnierz zdał mu sprawę ze swoich poszukiwań, i ze szczęśliwego pomysłu co go doprowadził do celu, raczył go własną ręką poklepać po ramieniu, powiedział:

— Tęgi z ciebie sługa, powracasz mi życie.

I kazał mu w tój chwili wyliczyć pieniądze, oraz podarować jednego z własnych wiérzchowców.

Prawdę mówiąc, przy całej hojności, oszukał

wiernego służy, bo żołnierz spodziewał się bałyszów złotych, a dostał srebrne, które były dziesięć razy mniej warte, ów zaś wierzchowiec, chociaż niegdyś pański, był dychawiczny i już na jedno oko ślepy.

Obdarowany, wyszedł dziękując z wielkiem błogosławieniem i czołobitnością, ale po drugiej stronie progu nadał się płaczliwie, a gdy wrócił między towarzyszków, nieśmiejąc utyskiwać na pana, kłął przynajmniej «czarownicę», której odnalezienie tak mu się źle opłaciło.

Tymczasem Elżbieta, postawiona pod ścianą, drżała, — nietyle z obawy, ile z dziwnego jakiegoś wzruszenia, co ją pierwszy raz w życiu ogarniało. Było to mrowie chodzące po jej członkach, był to ból w nogach, niezbyt mocny, ale osobliwszy. Niemogąc ustać, opadła na kolana, i tak wpół-kłęcząc, wpół-siedząc, chciała złożyć ręce; niemogła, były związane. Więc oczy tylko podniosła do nieba, i modliła się cichuteńko, polecając duszę swoją Bogu, bo już była przekonana, że ostatnia jej godzina przyszła.

Kałga ciągle jej się przyglądał z okrutnym uśmiechem. Kałga lubił długo straszyć swoje ofiary, zanim się wziął do ich męczenia; lubił pić ich strach oczyma, żłudną cierpliwością wyciągać z nich błagania. Widząc jednak że Elżbieta ani go

przeprasza, ani błaga, ani u nóg jego się nie tarza, zawrzał podwojoném oburzeniem, chwycił kańczug wiecznie przy nim leżący, i wstał wydając krzyk drapieżny.

Źle byłby się pewnie ten poryw zakończył, témbardziej że tu już nawet nie było Ajdara do hamowania wściekłego młodzika, — lecz inna, niewidzialna ręka go wstrzymała — młodzik przerażony chował się z siłami.

Kałga był już mocno podpiły. Wstawszy, zatoczył się gwałtownie; na szczęście, potrafił ręką pochwycić brzeg sofy, utrzymał więc jeszcze równowagę, ale czuł że nie dojdzie do Elźbiety, że kańczugiem już nie zdoła władać. Niechcąc wyglądać śmiesznie w obec służby, co prędzej siadł napowrót, pokazał białe zęby i zawołał:

— Ba! Ona przecież niewarta abym nad nią mordował moją pańską rękę. Ale potrafimy ją ukarać. Coby tu z nią zrobić takiego, aby stała się dla wszystkich strasznym, pamiętnym przykładem? Poradź-no dziadulu.— Zapytał Szamana.

Szaman już także był tylko w pół-przytomny. Ale na niego trunek działał inaczej; Kałgę czynił gniewliwym i okrutniejszym niż zazwyczaj, Szamana usposabiał słodko i miłościwie.

Spojrzawszy na tę istotę wątlą, zwiedłą, już tylko na w pół żywą, ruszył ramionami.

— E! Któżby — rzekł — pastwił się nad tym cieniem.

Kałgę ubodła uwaga.

— Chciałbyś może abym jeszcze jój dziękował, za to wszystko co mi narobiła?

— A cóż ona ci takiego zrobiła? Że uciekła, no, to jest narów niewolników. Pies szczeka, niewolnik ucieka,—rzecz wiadoma.

— A! Czy to tylko to jedno? Niewiem czy wiesz, to była moja niańka. Oj, nadokuczałaż mi się porządnie.

— Cóż? Biła cię bardzo?

— Ale gdzież tam! Gdzież-by téż ona potrafiła kogo wybić? Zresztą, i jabym się téż nie dał dotknąć. Nie,—ale miała jakieś osobliwsze wymysły. Niepozwalala naprzykład abym ja bił moje niewolnice. Ba! Nawet podłego zwierzęcia niewolno mi było męczyć. Wystaw sobie: kazała mi oszczędzać sukienki! Niewiem czy było dziecko nieszczęśliwsze odemnie. — Co chwila: «a to nie splam—a to nie drzój—a to nie rusz.....» jakbym ja nie był bogatym paniczem, jakbym niemógł codzień mieć nowój odzieży? Ale ja wiem o co chodziło: téj próżniaczce niechciało się szyć coraz nowych ubiorków. — I moja matka, jeśli kiedy na mnie fukała, to zawsze tylko za tę niańkę, bo się stara bała dla mnie Duchów. Powiedz mi, — dodał ciszej — czy to prawda że to jest Biała Szamanka, i że Duchy są jój posłuszne?

— Ja tego niemogę dobrze wiedzieć, ja jestem biędny, mały Szaman. Ale Chan Szamanów tak powiedział, to musi być prawda. Gdybyś ja zabił.....

— Ja téż nie myślę jój zabijać, — niestety, wiem że niemogę, — i ona wie o tém dobrze, i ta pewność czyni ją taką hardą. Ale ukarać.... No, zdaje mi się, — dodał z ironją, — że przecież wolno mi ukarać własną niewolnicę?

Prawdzie tak jasnej Szaman niemógł zaprzeczyć.

— Ma się rozumieć. — Odrzekł. — Każ jój dać plagi, — i mówmy o czém inném.

-- Jakto, plagi? Zwyczajne plagi? Co téż ty gadasz? Mogę jój nie zabić, ale wymęczyć muszę co się zowie, — muszę się już raz pomścić za moje całe dzieciństwo, i za dzisiejszy jój zamach na moje życie, bo ta ucieczka, to nie taki prosty bunt jak u innych niewolników, to jakby chęć zamordowania swego pana; ona przecie wie że jak mię opuści, jak mi przestanie robić zaszamanione suknie, to mi skróci życie. O! Taki złośliwy zamach niemoże ujść na sucho! Przez całe te siedem dni, łamałem sobie głowę jak ją karać, i wymyśliłem rzeczy nowe.

Tu zaczął rozpowiadać Szamanowi najdziksze tortury przez jakie chciał przeprowadzić niewolnicę.

— A kiedy już — dodał — namęczę jój ciało, wtedy zacznę męczyć serce. Pojadę do Polski. Cóż to? Czy ja mam się wiecznie wieszać przy stryju? Poproszę Wielkiego Chaana, aby mi pozwolił jechać nad Wołgę, do synów Batego. Słyszałem że niedawno robili drugą wyprawę na

Polskę,—namówię ich do trzeciej. O! Ja tam koniecznie być muszę, bo niewiem czy ci wiadomo, że mam do pomszczenia śmierć mojego dziada? On zginął w Krakowie. Jeżeli się ten Kraków odbudował, to go wezmę -- ludzi w pień wyrznię — i raz jeszcze go spalę, — a niewolnicę zabiorę z sobą, aby na to wszystko patrzyła, bo ona za tym swoim Krakowem wiecznie popłakiwała, i podobno tam zostawiła dziecko.

Kałga umyślnie tak odkładał tortury; chciał temi przygotowaniami przedłużyć mękę skazanój.

Ale nie dopiął celu.

Elżbieta nie słyszała ani słowa z téj całej rozmowy. Jak podniosła w niebo oczy, tak i została, nieruchoma. Rysy jój zwolna wypiękniały, jakby przeświecone wewnętrzném rozjaśnieniem—żrenice otworzyły się promieniście.

Niewolnicy Chrześcijanie jacy znajdowali się w namiocie, zaczęli szeptać między sobą:

— Ona jest «w zachwyceniu»!

Szaman także spostrzegł tę cudowną przemianę. Chciał ją pokazać Kałdze, ale Kałga domawiając—już niewyraźnie - ostatnich słów o Krakowie, kiwnął się kilka razy, i usnął zmorzony trunkiem.

Szaman szepnął do sług:

— Nie budźcie pana. Może jak się prześpi, to i myśl odmieni?

I wpatrywał się pilnie w Elżbietę, chcąc odgadnąć z jéj rysów, z jéj postawy, jak to się wchodzi w stan podobny?

Przez godzinę nikt się nieśmiało ruszyć.

Już jednak pochodnie dogasały, i wczesny letni poranek wpuścił przez otwór jurty krąg złotego światła.

Kałga, rozbudzony chłodniejszym powiewem wietrzyka, zerwał się i krzyknął:

— No cóż? Gdzież są moje czerwone chłopaczki? Wszak ja już tak dawno kazałem ich wołać?

Nikt nieśmiało mu powiedzieć że to nieprawda, że dotąd ani słówka o nich nie wspomniał.

Jeden ze sług wybiegł, mówiąc:

— Już idą..... już idą.....

I poszedł aby na gwałt budzić tych, których pan zwał pieśczośliwie swemi «chłopaczkami», czyli oprawców, co istotnie często byli od krwi cali «czerwoni.»

Za chwilę, weszli chwiejnym krokiem, znużeni i rozespani. Ale na widok pana, przytomność im wróciła. Wyprostowali się, czekając rozkazu.

Trzech ich było. Jeden starszy, z twarzą posępną, bo dawno już przy wojsku pełnił swój opła-

kany urząd, — i dwóch młodziuchnych, z oczami jeszcze pełnemi dziękiéj wesołości.

Kiedy Kałga im wytłumaczył o kogo i o co chodzi, kiedy kilkokrotnie powtórzył:

— Zabić jéj wam niewolno, pod karą gardła niewolno,—ale nadręczcie jak umiécie, zwłaszcza nogi..... choćbyście połamali, to jeszcze lepiej,—niebędzie mogła już drugi raz uciekać.

Wtedy młodym kacikom oczy zapłonęły, bo młodość jest z przyrodzenia okrutna,—ale starszy posmutniał; Elżbieta była tak powszechnie lubiona, że nawet jemu cóś w sercu zapukało.

Widząc ją klęczącą, z oczami wzniesionemi, tak niepojęcie wypiękniała, przystąpił do niéj nieledwie z nieśmiałością, i kładąc rękę na jéj ramieniu, wyrzekł:

— No cóż, czy nie słyszysz? Wstawaj.

Elżbieta się wzdrygnęła. Twarz jéj nagle zasza pomroką, rysy zwiędły, i znów jak przedtém, nabiegły lekkimi zmarszczkami.

Wstawszy z wielką trudnością, rzuciła na obecnych spojrzenie anielskie, pod którém katownik spuścił oczy. Może i Kałga byłby się tém spojrzeniem wzruszył, ale go niewidział; stał odwrócony, i naléwał sobie nową czarę. Szaman zabiérał się do wyjścia, bo nie lubił podobnych widoków, zwłaszcza kiedy mu się spać chciało.

— Pójdź za mną. — Rzekł oprawca do Elżbiety.

Ale Kałga obrócił się co żywo, krzycząc:

— Kto ci kazał ją wyprowadzać? Tu zostańcie,—ja chcę na to patrzeć.

Starszy zawołał na uczniów:

— Idźcie, przynieście tu węgle, żelaztwa i bicze.

Sam zaś przystąpił do skazanój.

Chcąc z niej zwłóczyć suknie, musiał pierwój rozwiązać jój ręce; czynił to powoli, rozplątując łagodnie sypeł.

Kiedy go nakoniec z rąk jój ściągnął, krzyknął przeraźliwie, i odskoczył jakby oparzony.

— Panie!—Wołał.—Ona istotnie musiała być u żony Behadyra, bo i ona..... i ona.....

Tu nieśmiało dokończyć, ale wskazywał na jój ręce.

Kałga poczerwieniał.

— Co ty gadasz?—Krzyknął.—Co ci się troi w oczach?

I sam, z wahaniem przystąpił do Elżbiety.

Ale ona wyciągnawszy ręce, choć bezbronna, lepiej się niemi obroniła niż tarczą i mieczem. Kałga spostrzegłszy na tych rękach plamy, rzucił się w bok, z sykiem zranionego zwierza.

Niewolnica sama z podziwieniem spojrzała na swoje biedne ręce, i rzekła:

— A widzisz? Niechciałeś wierzyć,—Bóg mię sam uniewinnia.

Potém uśmiechnęła się ze słodyczą cichego zwycięstwa — potoczyła wzrokiem dokoła, jakby pytając czy nic jój nie zatrzymuje — postąpiła naprzód kilka kroków, a wszyscy się przed nią rozsunęli—im daléj szła, tém daléj otwierano przed nią, pustą, szeroką drogę, — i wyszła z namiotu tryumfalnie —i przez pole świećące od rosy, poszła, jakby cień.

Kałga chwycił się za głowę.

— Odchodzi! — Wołał. — No patrzcie: odchodzi!..... Co ja zrobię? Umrę!..... O! Może to nieprawda? Może to tylko czary, mamidla które nam rzuciła na oczy?

Popchnięty odwagą samolubstwa, wybiegł — dogonił—i szedł o kilka kroków za nią, prosząc, głosem już pokornym, wślizgującym się jakby jedwab':

— Nianiu moja kochana, zapomnij o wszystkim..... Już ja ci nigdy nie dokuczę. Ja dobrze wiem żeś ty nie chora, tylko tak nas czarujesz, bo się rozgniewałaś. Nie gniewaj się, już ja będę jakby jakiej Chatunie dogadzał — codzień będziesz miała świeży kumys —i szaszłyk ze źrebięcia—i paciorki na szyję —nigdy cię nikt nie uderzy—tylko wróć się do mnie, i szyj mi daléj suknie—bo wiesz przecie że póty mego życia, póki chodzę w ubraaniu szytém twoją kochaną ręką. Przysięgam ci.....

Elżbieta długo szła nic nie odpowiadając.

Nakoniec odwróciła się, i powiedziała głosem, pół-gromiącym a pół-żartobliwym, jakim zwykle mawiała gdy był małym dzieckiem:

— Ubrań zostawiam dosyć. Niech Kałga będzid grzeczny, niech je oszczędnie nosi, a starczą na długo. Ja, potrzebniejsza jestem u Ludmiły, niż tu.

I poszła szybszym krokiem.

Kałga nagle się zawrócił.

Wpadł do namiotu, porwał za łuk, strzałę nałożył, i już naciągał cięciwę, kiedy Szaman chwycił go za rękę.

— Nie rób tego, człowiecze!

— Dla czego nié mam robić? Przecież to moja własność? Moja rzecz? Kiedy mi się już nie zda na nic, to mogę ją zniszczyć.

— Słuchaj: wszak mi sam powiadałeś że twoje życie od jój życia zależy? A przytém, ja ci powiem jeszcze coś innego: w tę niewiastę wstąpił Duch nieczysty,—jeśli go z niéj wypędzisz, wstąpi w ciebie, na pomstę żeś go pozbawił pomieszkania.

Kałga opuścił rękę — rzucił się na sofę roz-

paczliwie—cały jego hart opadł, jak owa cięciwa puszczonego łuku.

Płakał — zanosząc się istotnie nakształt dziecka.—Sto razy powtarzał:

— Umiierać? Tak młodo umiierać? Ach czyż to się godzi?.....

— Panie! — Pocieszali niewolnicy. — Wszak tych sukien jest moc niezliczona? Starczy ich na długie, długie życie.

Kazał sobie przynosić skrzynie, przeliczał ubiory. Niepróżno pędził tak niemiłosiernie robotę niewolnicy, było istotnie tych ubiorów kilkadziesiąt, nowiuteńkich, pysznych,—nie licząc już kilku wpół zużytych.

Kałga przekładając je, powtarzał ciągle:

— Mało..... mało..... postawiła na swoim: będę musiał oszczędzać suknie!

Szaman uśmiechnął się, i zauważył:

— W każdym razie, rad jestem że nie kazałeś jój męczyć. Czy to trąd, czy to czary, zawsze niebezpiecznie ją zaczepiać. To wielka Szaman-ka! Żadnego z naszych niewidziałem, tak rozmawiającego z Duchami, jak ona rozmawiała téj nocy. Musi ona posiadać jakiś tajemny sposób..... Szkoda, żeśmy go niekupili od niej.

Na Zachód!

Przez jakiś czas, Elżbieta szła szybko, podtrzymywana wrażeniami postrachu i tryumfu. Ale kiedy obóz Kałgi zniknął wśród pagórków, kiedy się przeświadczyła że nikt jój nie goni, siadła—bijącemi piersiami chwytając powietrze, i złożywszy ręce wyszepnęła:

— Boże! Bądź pochwalony! Wysłuchałeś mię!

Dziwiło ją bolesne mrowie chodzące po jój nogach. Dotąd, przypisywała je długiemu spętaniu; teraz, przyjrząwszy się, dostrzegła że trąd z lekka zaczyna ogarniać jój kolana. Zalekniona, rzekła sobie:

— Oj! Trzeba się spieszyć, póki zupełnie mi nóg nie odejmie.

Ułamała gałąź od przydrożnego krzaku, i podpiérając się, chromając, poszła nie bez bólu, jednak zdziwiona że to tak mało boli?

Trąd u Elżbiety objawił się nierównie łatwiej niżeli u Ludmiły, może właśnie z powodu jój wiecznej słabowitości? Wiadome to zjawisko, że osoby silne, gdy raz już zapadną, to nierównie gwałtowniej, niżeli te których wątkość nawet nie wojuje z chorobą.

A może téż owa pozorna różnica, wypływała jedynie z twardszych warunków życia? Gdyby nianka mogła była, jak żona Terchana, przebywać te pierwsze dni na miękkiej sofie, wśród obaw i starań miłujących ją istot, byłaby pewnie dostrzegła w sobie tyleż dolegliwości co i tamta. Ale ona nie miała czasu na czynienie spostrzeżeń. Zajęta pielęgnowaniem przyjaciółki, ukrywaniem się przed wrogami, przygłuszyła w sobie poczucie wszelkich innych cierpień. A gdy nakoniec, niebezpieczeństwa téj nocy sprowadziły ostateczny wybuch, nie uczuła nawet i wybuchu, bo ją zszedł w nabożnej extazie.

Teraz więc niespodzianie, znalazła się już uderzona ciosem którego zamachów nie widziała, i który jój się wydał rodzajem cudu strasznego, zesłanego na jój wybawienie.

Dążąc do siedliska Ludmiły, kierowała się wedle kształtu gór, biegnących ciągle brzegiem

widnokregu, a których zarys mocno utkwiał w jój pamięci.

Przed południem, spostrzegła nakoniec namiot. Trzodki wybiegły z radością na jój spotkanie, ale — według swoich przewidywań — Ludmiły w namiocie nie znalazła.

Zaczęła — po wczorajszemu — iść w górę za korytkiem strumienia, który dziś — na wielki swój podziw — ujrzała pełnym i aż bulgoczącym od wody. Podczas nocy, deszcz upadł w górach, źródło wezbrało, i prąd ożył.

Już doszła do miejsca gdzie wczoraj wieczór się rozstały, — i tu niéma Ludki.

Dopiero dalej, o jakie dwie staje wyżej, znalazła ją na ziemi, omdlałą i nieprzytomną.

Co prędzej, pełnemi rękami czerpnąwszy bieżącej wody, zaczęła obléwać jój skronie i zwilżać spieczone usta.

Pod wrażeniem błogiego chłodu, Ludmiła rozwarła oczy, w pół siadła, i rzekła:

— Ach jesteś! Przyniosłaś nakoniec tę wodę? Jak to dobrze..... Powiedz mi.....

— Później, później..... — Przerwała Elżbieta. — Najprzód napijmy się do woli.

I ciągnęła ją nad srebrny prątek. Obie, położywszy się na brzegu, piły chciwie prosto ze strumienia.

— A! Nakoniec! — Rzekła oddychając Ludmiła. — Ja myślałam że już się téj wody nigdy nie do-

czekam. Ale zkądże ona tu płynie? Co to jest? Już dzień? Już południe?

Ach!.....—Wykrzyknęła, przesuwając ręce po czole.—Przecież ja na ciebie całą noc czekałam? Nawoływałam cię, chodziłam tu i owdzie, no, marłam z niespokojności!..... Potém..... tak, przypominam sobie..... zaćmiło mi się w oczach..... i już nic nie wiem dalej. Powiedz mi, co się z tobą działo?

Elżbieta opowiedziała jój swoje porwanie, noc przebytą u Kałgi, zagrożenie mękami.

— Ale,— zakończyła—Bóg mię wyprowadził, nietkniętą, i już nikt mię nie będzie ścigał, nigdy!

— Dla czego? Jakże ty ztamtąd wyszłaś?

— Patrz: i mnie Anioł boży dotknął nakoniec ową różgą.

Tu, pokazując jój swoje ręce, uśmiechała się nadziejską radością.

Ale ten uśmiech nie przytępił straszego wrażenia.

Ludmiła wpadła w rozpacz bezgraniczną.

Chwyciła się za głowę, i rwąc włosy, bijąc piersi, tarzając się po ziemi, jęczała:

— I ona! I ta święta, na takie piekło skazana? Boże, jak Ty mogłeś na to pozwolić?

Potém, przypadwszy do kolan Elżbiety, mówiła ze łkaniem:

— I to dla mnie? Przemęcie! O, czemuż mię nędznej tu nie zostawiłaś? Po [co mi sprowadzać

ten wieczny wyrzut sumienia, że to przezemnie, dla mnie?

— Ludko, nie bluźnij,—Ludko, co ty gadasz? Cóżes ty temu winna? Co masz sobie do wyrzucenia? Wszak ty mię odpędzałaś, a ja sama chciałam? Stało się jak w moim śnie: sama napałam się Aniołowi ażeby téż i mnie uderzył, bo ja nie chcę rozłączać się z Ludką, nigdy ani w niczém. A szczerze mówiąc, jest-że tu jaka z mojej strony ofiara? Sama powiedz: czyż mi nie lepiej chorować przy tobie, niżeli zdrową być u Kałgi? I czy to ja koniecznie od ciebie dostałam? A ty od kogo? Boska wola, i koniec.

Uwaga Elżbiety była dosyć słuszną. Udzielanie się osobiste trądu, stanowi do dziś dnia przedmiot sporu pomiędzy uczonemi. Być może, iż Elbieta wkroczywszy do krajów górętszych, uległa—tak jak i Ludmiła—wpływowi czysto miejscowym. Nawet kilku żołnierzy Ajdara, podpadło w dalszym pochodzie, téżże samej chorobie. Ale o téj ostatniej okoliczności, branki nigdy się już nie dowiedziały, i Ludmiła do śmierci zachowała przekonanie, że nieszczęście Elżuni od niej poszło.

Napróżno Elżunia wyczerpywała wszelkie słowa pociechy i gromienia; — żal tamtéj stawał się coraz chmurniejszy.

Kiedy wróciły do namiotu, wskazała Elżbiecie sofę, i rzekła z rodzajem serdecznego nakazu:

— Teraz ty się tu połóż, — teraz niechże ja ci służyć.

I służyła jój, potykając się, drżącemi rękami podając napój; całowała jój plamiste ręce.

Potém, na wołoku położyła się przy stopach Elżbiety, i milcząca, ponura, patrzyła w nią żalśnie. Czasem twarz i głowę całą wsunęła pod wołok, aby tam się wyłkać i wypłakać.

Elżbieta dobrze rozumiała, że w téj zranionój duszy wre bunt przeciw Opatrzności, ale już zamilkła; chciała jój pozostawić nieco czasu do wymocowania się z boleścią.

Nad ranem, Ludmiła widząc u niój oczy otwarte, rzekła z niejakiém wahaniem:

— Powiedz mi: za co nas Pan Bóg tak okropnie karze? Myśmy przecież znów nic takiego nie zrobiły, ażeby zasłużyć.....

— Moja Ludko, człowiek niemoże nigdy być sędzią w swojej własnej sprawie. Co do mnie, wiem że jestem wielką grzesznicą. A przytém, czyż to koniecznie ma być kara? Przypomnij-że sobie Joba, którego straszną historję Kapelan czytał nam w Żegnańcu? Przecież Job jest między

Świętych wliczony, a jak go Bóg nawiedzał! Jemu także ludzie chcieli wmówić że to kara, a on ciągle przeczył, i bronił sprawiedliwości Boskiej, aż mu i Niebo dało słusność. — Albo, kiedy sobie przypomnę słowa z Pisma Świętego.... Pamiętasz? Te słowa które sam Pan Bóg mówi: «Moje drogi nie są waszemi.» Tak, — drogi którymi Bóg przeprowadza nas do swoich celów, nieraz wydają nam się bardzo dziwne, i jakby.... troszkę.... srogie.... A w końcu pokaże się, że to właśnie droga najzbawienniejsza. I tu.... pomyśl tylko: prawda że Bóg nam wziął zdrowie, ależ za to jesteśmy wolne, zupełnie wolne!.... Już teraz, choćby sam Chaan zaszedł nam drogę, wojska jego rozstąpią się przed nami. Nieszczęście otoczyło nas istną warownią. Możemy robić co tylko zechcemy, iść gdzie nam się żywnie podoba, choćby do Krakowa. Niepróżno to ów Anioł pokazał mi Kraków!

— Tak. — Odparła szyderczo Ludmiła. — Jeżeli tylko będziem się mogły ruszyć, jeżeli tu pierwój nie skonamy na pustkowiu, w męczarniach bez nazwy.

— Ha, moja Ludko, to i wtedy lepiej umierać na wolności niżeli w kajdanach. A może też te męczarnie ujmą nam ogni czyścowych?

Ta ostatnia uwaga najlepiej Ludmile trafiła do serca.

Zaczęła się zastanawiać, i powtarzać:

— «Moje drogi nie są waszemi....» Istotnie, czy była dla nas inna droga do wyjścia z niewoli?

Bo jeszcze z początku, myślałyśmy przynajmniej o ucieczce..... Ale od czasu jak Ajdar się ochrzcił, musiałam i tę myśl porzucić, już byłam prawdziwą małżonką, co niepowinna męża opuścić aż do śmierci. Ty znów już także niechciałaś nawet myśleć o wyswobodzeniu się bezemnie, i tak byłyśmy zamknięte, jakby w żelaznym kole. Aż tu najniespodzianie, Bóg wszystko rozwiązał! Nie ja opuściłam Ajdara, ale on mnie opuścił.....

Tak,—opuścił!.....—Powtórzyła z goryczą.

Potem nagle zerwała się, i tuląc Elżbietę do piersi, mówiła:

— O! Jeżeli jeszcze te cierpienia mają nam oszczędzić bólów Czyścica, jeżeli mają nam przysporzyć chwały niebieskiej, to niech będą błogosławione!—Elżuniu! Jak ty umiesz koić! Jak ty umiesz pocieszać!

— Nie lepiej od ciebie, Ludko. Czy pamiętasz tam nad Limanem, kiedy ja tak się gryzłam okropnie twoim powrotem do niewoli, kiedy sobie czyniłam takie ciężkie wyrzuty, wówczas ty niepozwoiliłaś mi za wiele płakać, ty kazałaś mi się uspokoić, i ja usłuchałam.—Dziś, na ciebie kolój.

Od téj chwili, przyjaźń Elżbiety i Ludmiły doszła swojego szczytu, i pozostała już na nim aż do końca ich ziemskiej pielgrzymki.

Bo dotąd, mimo równéj gorącości uczuć, był

między niemi poniewolny brak równowagi w czynach; za wiele poświęceń padło po stronie Ludmiły, aby Elżbieta mogła je znosić bez ciężkiej trwogi serca; truchlała na myśl, czém i kiedy odpłaci tyle ofiarności?

Teraz, kiedy szale się wyrównały, zapanował między niemi wielki, pogodny spokój, jak między dwoma bohaterami, co zmierzyli swoje siły, i znaleźli się godnemi siebie.

A przytém, od téj chwili, jedna dla drugiej była już wzajemnie całym światem.

Reszta świata, który je wyklął i odepchnął, przestała już dla nich istnieć.

Po wschodzie słońca, zaczęły mówić:

— No, jednak trzeba spróbować, czy będziemy też mogły ztąd wyruszyć? Czy potrafimy korzystać z téj świętej wolności?

Wstały, i znalazły w sobie więcej sił niż mogły się spodziéwać. Może w dawnych warunkach, na rozkaz jakiego Kałgi, nie byłyby się mogły ruszyć? Ale z dobrej woli, ach! kiedy po ćwierci wieku, pierwszy raz mogły coś robić z dobrej woli, wydało im się że dostają skrzydeł.

Było też czém jechać, i o czém. Były wozy, kilka koni i wielbłądów, były różne bogactwa, za

których cenę mogły żyć całe lata. A nawet strach rozbójników nie groził niewiastom, bo na widok trądu i zbójca uciekał.

Tak,— ale jakże to wszystko zabrać i w ładzie utrzymać? Kiedy Ludmiła chciała na jedną kupkę napędzić zwierzęta, trzody się napowrót rozbiegały, i chora niemogła dać sobie z niemi rady. Elżbieta wzięła się do pakowania drobnostek, ale wszystko wypadło z jej rąk pół-bezwładnych. A kiedy przyszło jurte rozbiierać i zwijać, skrzyń i paki ładować na wozy, przedsięwzięcie okazało się zupełnie nad siły.

Po kilku godzinach ciężkiej a bezskutecznej pracy, wróciły do namiotu zniechęcone, przybite. Już rozmyślały, czy nie zostawić większej części majątku? Ale jakżeż się tu pozbawiać tych zasobów nieocenionych, jedynych jakie już na całą przyszłość pozostają?

— O!..... — Westchnęły. — Gdyby mieć choć jednego człowieka do pomocy!

Kiedy się tak troskały, Bóg im zesłał niespodzianą, choć bardzo smutną pomoc.

Od strony południa, doszedł je tępy odgłos drewnianych klekrotek.

Poznały że to musi być gromadka trędowa-

tych, którzy zazwyczaj mieli kłopotki lub grzechotki, bo srodze ich karano, jeżeli zdaleka nie ostrzeżgli o swojej wyklętej obecności.

W Azji, pełnej koczowników, i trędowaci koczowali. Gdzież mieli zamieszkać? Z miast i z wiosek ich wypędzano. Czasem osiedli w jakiej opuszczonej ruinie, ale na pustkowiach brakło im jałmużny, i tęskno im było do jakiej żywej twarzy. Jeśli więc jeszcze mogli chodzić, włóczyli się bez wytkniętego celu, szukając się wzajemnie po świecie, i na coraz nowych miejscach wyzyskując postrach mieszkańców.

Nasze niewiasty już kilka razy w tej podróży słyszały nadciąganie takich gromad. Słyszały, ale nigdy ich nie widziały. Ajdar wtedy zawsze wydawał wojsku rozkaz, aby rzucało po-za siebie strawę, znoszoną odzież i pieniądze, i aby co prędzej uchodziło, kierując się pod wiatr, na ukos.

Dziś, zamiast uciekać, wyszły owszem naprzeciw nieznanym współbraci. Mówiły sobie:

— Może nam pomogą? A i my też mamy czém ich wspomódz.

Mimo ochrostania się z tylu cierpieniami jakie widywały w niewoli, niemogły powstrzymać wzdrygnięcia i syku, na widok nowo-przybywających.

Gromadka składała się z pięciu osób, między którymi było, dwóch starców, dwie niewiasty, i niewielki dwunastoletni chłopiec.

Najstarszy z mężczyzn nie szedł ale jechał na wózku, niskim, rozklekotanym, podobnym raczej do taczek, ciągnionym przez osła, wychudłego i schorzałego jak reszta karawany. Ten chory był Arabem, kiedyś pewnie najpiękniejszym z ludzi, teraz niepodobnym do człowieka; czoło pomarszczone w grube fałdy, nozdrza dziwnie rozdęte, oczy wytrzeszczone okrągło, nadawały mu rażące podobieństwo do głowy lwa rozniewanego. To też między towarzyszami nosił nazwę «Starego Lwa», i tylko na to imię odpowiadał, innego niechciał nigdy wyjawić; może to było imię, wielkie na pustyni?

Drugi starzec, Izaak, rodem z Syrii, był podobno Chrześcijaninem, przynajmniej żegnał się co chwila. Ten, obok towarzysza wyglądał prawie zdrowo; twarz i ręce miał gładkie, brodę białą i sutą; trąd jego musiał kryć się pod sukniemi. Szedł pieszo, bijąc o ziemię grubym kijem, i bawiac wszystkich niemniej grubemi żarcikami.

Na drugim, chudym osle, jechała Turkiestanka Sarah. Tę twarz i ręce były porośnięte jakby korą białawą, suchą i popękana; rzekłbyś, że tu się odbywa bajeczna metamorfoza, że ta niewiasta przemienia się w drzewo.

Druga, z Persji rodem, nosiła śliczne imię Leili, i sama do niedawna musiała być śliczną;

jeszcze nawet w jój oczach świecił czasem przebłysk zalotności, który wyglądał okropnie, jak brylant w kostnicy.

Chłopak był niezmiernie ciemnej cery, bo pochodził aż z Tybetu. Chociaż schorowany, miał jeszcze niestrudzoną ruchliwość młodości, oczy złośliwe i łakome, a ręce szybkie do wychwytywania, tak najsmaczniejszych kąsków, jak wszystkiego co błyszczący.

Niewiasty ochłonawszy z pierwszego przestachu, przystąpiły do przybyszów, i powitały ich ze wschodnią prostotą:

— Niech niebo wam błogosławi, bracia i siostry nasze w nieszczęściu! Mamy tu niedaleko namiot; wejdźcie, posilcie się, i spocznijcie; a w zamian może nam pomożecie do zwinięcia jurty i do spędzenia bydełka, bo nam niewiastom, sił nie staje.

Goście przyjęli zaproszenie dosyć lekceważąco. Ale kiedy spostrzegli pański namiot, konie i wielbłądy, i okute arki, zaczęli patrzeć na niewiasty z niewymowną cześcią.

Niestety! Cześć ta niedługo przybrała inną barwę. Oczy ich zabłysły krwawą pożądliwością. Kobięty zwłaszcza niemogły się uspokoić; bez pytania roztwierały skrzynie, i wyciągając koszto-

wne ubrania, a przede wszystkim klejnoty, kręciły głową zazdrościwie.

Ludmiła przerażona, szepnęła do Elżbiety:

— Co myśmy też uczyniły! Sprowadziłyśmy sobie wrogów. Od zdrowych nam nie groził rozbój, ale od tych kochanych braci grozi.... Gotowi nas obedrzyć, i odejść. Już widziałam jak chłopak ściągnął mi jeden pierścień.

Elżbieta — niemniej wylękciona — zamyśliła się mocno.

— Wiész co ja myślę?—Rzekła.—Lepiej dobrowolnie ustąpić, niż pozwolić aby nam wydzierano.

Po cichój naradzie, odezwały się głośno:

— Słuchajcie: jesteśmy Chrześcjankami. Wiarą naszą każe dzielić się wszelkim dostatkim z uboższymi. Wszystko zatem co tu widzicie, niechaj będzie nam wspólne. Jedźmy odtąd razem, i razem używajmy darów bożych.

Szalonym wybuchem radości przyjęto wspa-
niałe oświadczenie. Tak niewiasty zakłęły nie-
bezpieczeństwo, przynajmniej na początek. Czy
długo potrwa wdzięczność tych podejrzanych przy-
jacioł? Rzecz to więcej niż wątpliwa..... No, ale
cóż robić? Dobry i początek, a później może też
wjadą między poczciwych ludzi?

Sarah i Leila, nie czekając wyraźniejszego

pozwolenia, przybrały się zaraz w najświetniejsze chałaty Ludmiły. Chłopiec nadziewał pierścieni ile się zmieściło.

Izaak okazał najmniej chciwości; jako Chrześcijanin, poczuwał się do niejakich obowiązków życzliwości i opieki względem nowych współtowarzyszek.

Ten, nic nie zabiérając, poszedł tylko między trzody i zarznął barana, z czego także wielka była radość, bo gromadka już dawno niewidziała tak sutéj wieczerzy.

Kiedy Izaak ogłosił że pieczeń gotowa, kiedy chłopiec wyciągnął bukłaczek słodkiego wina, wszyscy zasiedli przy ognisku, wieczerza znikła w mgnieniu oka. Stary Lew tylko niebył już zdolny do znoszenia tak mocnéj strawy. Dostał za to świeżego mléka, i popijając je, mrucał z zadowolenia, bo mówić niemógł, czy nie raczył.

Nasze niewiasty nic nie jadły. Niemogły jeszcze odważyć się na jedzenie w tak odpychającym towarzystwie. Patrzyły tylko a wzdychały, czyniąc wielkie wysiłki aby przyzwyczać słuch i oczy do straszego widoku, do sprośnych żartów i rozmowy tych istot, z jakimi odtąd miały wyłącznie przestawać.

Im także przyglądano się pilnie.

Leila zwłaszcza patrzyła na Ludmiłę z uporem, który mógł doprowadzić do zniecierpliwienia.

— Cóż mi się tak przypatrujecie, niewiasto? Czy bardzo przykro wyglądam?

— Nie, wcale. Znać owszem najwyraźniej że Allah dał wam urodę. Ja tylko się przyglądam téj waszój czerwonej koszuli..... bo jest zupełnie podobna..... ale to zupełnie, i z haftu i z kroju..... no, przysięgłabym na Koran, że to ta sama którą.....

— Którą co?

— Którą dano mi do przenoszenia.

— Jakto, do przenoszenia?

— A no, to tak się stało. Będzie temu dni kilkanaście, (bo my już dawno tu krążymy w okolicach Kaszgaru,) przyszła do mnie pewna niewolnica, od jakiejś — jak mówiła — wielkiej pani, obiecując mi hojną zapomogę, jeśli tę koszulę przenoszę przez parę dni i nocy, a potem oddam niezbrukaną. Mówiła że to potrzebne do jakichś tam czarów, od których zależy całe szczęście téj pani. Z początku trochę się wzdragałam, ale cóż? Człowiek biedny, potrzebuje wsparcia..... włożyłam koszulę..... no, a teraz widzę ją tu na was? To mię zastanawia.

Niewiasty spojrzały po sobie, i w téjże samej chwili wyrzekły jedno imię:

— Biga!

Czy domysł ich był prawdziwy? Czy owa koszula stała się istotnie dla Ludmiły tuniką Nessusa? Czy tylko wpływ miejscowej zarazy, dziwnym

trafem spełnił życzenia Bigi? Tę wątpliwość niech znowu rozstrzygnie głos uczeńszy.

Dla Elżbiety i Ludmiły nie było tu żadnej wątpliwości.

Wzdrygnęły się z przerażeniem, na odkrycie zbrodni tak piekielnie osnutęj.

Ale najmniejszém słówkiem nie zdradziły wewnętrznej burzy. Jakieś wstydlive poczucie godności, zamknęło jednocześnie ich usta. Niechciały nieznanomych wtajemniczać w swoją bolesną przeszłość.

Więc zamilkły.

Ludmiła nawet przemogła się, i rzekła obojętnie:

— Ha! Widać że ta pani, kupowała swoją koszulę w tymże Bazarze co i ja.

Niedługo téż inne, jeszcze bliższe myśli, wprowadziły je w głębokie zadumanie.

Patrząc na twarz Starego Lwa, i na oblicze Sary, niewiasty mówiły między sobą:

— I nam niedługo przyjdzie na to samo! I my staniemy się pękiem wiórów, bezimienném straszidłem!

Izaak dosłyszał tę rozmowę. Zaczął się pośmięwać, i pocieszać:

— Nie bójcie się, z wami nigdy tak źle nie będzie. Wy macie ten sam gatunek trądu co i mój, najłaskawszy ze wszystkich jakie djabeł wynalazł. Ja już kilkanaście lat—jeśli nie więcej—tłukę się z moją biędą, żyję z najchorszemi, a jednak plaga się nie pogorsza. Owszem, teraz nawet mniej cierpię niż z początku, bo téż umiem robić tę sławną zieloną maść, której przyrządzania nauczył mię pewien Indjanin; ta, troszkę pomaga. Wyleczyć się nie wyleczę, to wiem dobrze, ale żyć żyję, i jak widzicie, nawet śmiać się umiem.

Izaak miał słuszość. Trąd naszych niewiast, był—w stosunku do innych—bardzo lekkim. Anioł dotknął je tylko tyle aby skruszyć ich pęta,—nie tyle aby im zamknąć drogę do powrotu.

Wracać! Ach wracać!.... To już teraz było ich myślą jedyną.

Goście chcieli nocować tu jeszcze, na miejscu, i dopiero nazajutrz ruszyć.

Ale niewiasty błagały:

— Ach, dziś jeszcze, dziś! Choćby tylko tyśiąc kroków ujechać, byle już rozpocząć tę drogę!

Życzeniu dobrodziejek nikt się nieśmiał oprzeć. Izaak i chłopiec zaczęli spędzać zwierzęta, zwijać jurte, ładować rzeczy na wielbłądy i wózki, niewia-

sty pomagały, i w kilka godzin wszystko było gotowe.

Nowi towarzysze, uważający Ludmiłę i Elżbietę za przywódczynię wyprawy, pytali je:

— Gdzie chcą jechać?

Gdzie? Wiedziały dobrze! Do Polski.

Ale, którędy? Ani sposób wskazać.

Nikt z pomiędzy przybylców nie słyszał o Polsce.

— No, ależ wiecie przynajmniej gdzie są ziemie Ruskie?

— Nie, i ziem Ruskich nieznali. Izaak trochę słyszał o nich, ale mówił że to na końcu świata, że nigdy w życiu nie trafi.

— To dojedźmy chociaż do Czarnego morza, do Tany.

— Co? Do Czarnego morza?—Tu się przeżegnał z przerażenia.—A toż sama, okrutna północ! Sto razy na drodze zamarzniemy.

— Jednakże nas tamtędy pędzono. Słuchajcie: kiedy mogłyśmy, idąc ciągle a ciągle ku wschodowi, dojść aż do Mongolji, to idąc wciąż w przeciwną stronę, dojdziemy na koniec końców do Polski. Zresztą, zobaczy się później. Teraz, jedźmy gdzie oczy poniosą, byle na zachód, nieustannie na zachód!

W téj chwili słońce skłaniające się ku zachodowi, rozdarło wał obłoków, i umalowało ich brzegi cudownie, pietrząc je niby złote i rubinowe gmachy.

Właśnie karawana wyruszała.

Elżbieta ujęła rękę Ludmiły, i pokazując nadpowietrzne miasto, rzekła:

— Czy widzisz co się tam dzieje? To zupełnie jak w moim śnie!

Róże i nadzieja.

Pod żółtém niebem pustyni, palmy kołyszą się z dziwnym, jakby skórzanym szelestem.

Po żółtym piasku pustyni, idą dwie niewiasty trędowate.

Okropny ich widok. Jedna ma na twarzy czarną zasłonę, z otworem tylko dla oczu wyciętym. Druga wspiera się na dwóch kijach, bo nogi jój poruszają się ciężko jak dwa słupy. Ręce ich świecą białemi plamami, ubiory — pozszywane ze szmat wypłowiałych — zwieszają się w podarte strzępy.

— Już niemogę iść dalej.....— Odzywa się niewiasta o dwóch kosturach, a odzywa się Polską mową. — Już niemogę.....

— Ach, to odpocznijmy, biedna moja Elżuniu.— Odpowie druga, a głos jój — choć wydoby-

wa się z po-za osłony, jakby z po-za grobu — przecie drga zawsze najśłodszą czułością.

— Siądźmy, i rozpatrzmy się, gdzie my to jesteśmy? O..... widzisz? Tu coraz ładniej, coraz więcej wody i zieloności. Jak tu pod temi palmami przyjemnie! A!..... Oddycha się w cieniu.

— Patrz! — Zawoła Elżbieta. — Strumień! Czyściutki strumień!..... Jak to dobrze, tu nikt nas nie widzi, tu może i nikt nie czerpie — będziem się mogły napić bez przeszkody.

Siadły.

Ludmiła wyjęła z zanadrza małą czarękę drewnianą; ale gdy zaczerpnęła wody, nastąpiło długie certowanie się: «która pierwój wypije?» Certowanie się, (ktoby uwierzył?) pełne żarcików i dziecinnych igraszek, bo nasze dwie męczennice, pod palmą zachowały i uśmiech męczeński.

Ludmile — jako zawsze mocniejszej w objawach woli — udało się przymusić Elżbietę do pierwszeństwa, poczem sama z rozkoszą ugasiwszy pragnienie, wydobyła okrawki chleba.

— Podjédzmy sobie. — Rzekła. — Dobra rzecz chléb, święta rzecz. Tak długo nam jój brakowało u Tatarów! Teraz przynajmniej weszłyśmy już między ludzi co bożego chleba używają. Dobra rzecz..... chociaż prawdę mówiąc, najlepiej smakuje na własnej ziemi. Czy my téż jeszcze kiedy będziemy go tam jadły?

— Wiész? — Odparła Elżbieta. — Gdyby nie przepowiedzenie Ojca Pawła, nie byłabym pewno

zniosła takięj drogi. Ale to proroctwo mię trzyma
Ach! Wrócić tam—odnaléźć nasz skarb—a potém
umrzéć.—Nieprawdaż?

— Prawda, moja Elżuniu —i tak będzie. Złe
się sprawdziło, to i dobre się sprawdzi. Tylko nie
trzeba drogi zgubić. Żeby téż raz się już dostać
między narody Chrześcijańskie! Powiedz mi moja
kochana, —bo ja z tą płachtą niebardzo dobrze wi-
dzą — co to tam czerni się daleko? Czy to jakie
mury?

Elżbieta wpatrzyła się uważnie.

— A prawda! Zupełnie jakby miasto. Ach,
i jakie jeszcze! Teraz, kiedy słońce się tam opuści-
ło, w tém czerwonym świetle widzę coraz wyra-
źnięj, mury, wieże, a dokoła jakby ogrody. Powia-
dam ci, prawdziwe ogrody, z gajami. Na dro-
gach pełno ludzi..... Co to może być za miasto?
Nam, to trudno się nawet o jaką nazwę dowiedziéć,
kogo spytamy, ten ucieka.

— Niech sobie ucieka. — Odparła sucho Lu-
dmiła. Po chwili, dodała cieplejszym już głosem:

— Pan Bóg nam nie ucieknie, — i my od
siebie nie uciekniemy. Czegóż więcéj trzeba?

Elżbieta zwróciła ku nięj swoje oczy niebie-
skie, zawsze rozrzewniające, choć różowemi koła-
mi otoczone.

— Jakaś ty kochana, moja Ludko!

Ludka znów zadała pytanie:

— A może to już Jerozolima? Ale nie. Jerozo-
lima stoi przecie na Syonie, a to miasto nie jest na

górze, tylko pod górami. Ha! Jakoś zawsze się dowiemy.

Co rzekłszy, zaczęła okruchy od chleba starannie zbierać i zawijać w płatek. Jeszcze nie skończyła téj roboty, ważnéj dla nędzarzy, kiedy Elżbieta wydała okrzyk radości. Ręką sięgnąwszy ku ziemi, wyjęła z piasku maleńką, wyschlą roślinkę, okrągłuteńko zwiniętą w kłębuszek.

— Patrz, co ja znalazłam! To zupełnie taka sama gałazeczka, jak ta którą nam przyniósł ów pielgrzym, pamiętasz? To Róża Jerychońska!

— Prawda! Zupełnie taka sama. — Odrzekła Ludmiła, biorąc ją i oglądając z rozczuleniem.

— Ach! Jak to dobrze! — Wołała Elżbieta. — Jak to dobrze żeśmy ją znalazły! Tyle już lat minęło, a nigdy niemogłam się pocieszyć po stracie tamtéj Róży. Bo tylko przypomnij sobie: od owego dnia kiedy to ją zgubiłam, zaczęły się wszystkie nasze nieszczęścia. Teraz, kiedy znalazłam nową, może przyjdzie i nowe szczęście, a przynajmniej nadzieja?

W chwili gdy te słowa domawiała, odezwał się chrzęst kolczug i tętent koni. Były to pyszne dwa rumaki, niosące dwóch pysznych rycerzy. Mieli czarne płaszcze, z krzyżem wyszytym na piersiach; krzyż był zielony, rozłamany w osiem promieni.

Jeden z jeźdźców przyłożył rękę do oczu, i zatrzymał konia.

— Wielki Boże! — Odezwał się. — Co to tam siedzi?

— A..... Zdaje mi się — odpowiedział drugi — że to właśnie dla nas gotowe zatrudnienie. Powiadam ci, to jakieś trędowate.

I puścili się prosto ku palmie.

Niewiasty, widząc ich niebaczną, podniosły ręce z przerażeniem, kiwały niemi wielokrotnie, na znak aby się nie zbliżali, a gdy znak nie pomagał, chwyciły za grzechotki wiszące im u pasa, i co żywo zaczęły je obracać.

Ale im szybciej kręciły się grzechotki, tém szybciej rycerze dążyli ku niewiastom.

Stanąwszy przed niemi, zaczęli próbować rozmowy w rozmaitych językach.

Mogły sobie wtedy powinszować podróżniczki, że z «Pâquetta» wprawiły się w mowę Francuzką. Dobra to rzecz nauka. Wszystko, czegokolwiek człowiek w życiu się nauczy, choćby dziś nieprzydatne, zawsze się kiedyś przyda.

Mężowie pytali po Włosku, po Angielsku, po Niemiecku, nakoniec i po Francuzku. Wtedy ucieszone niewiasty, potrafiły odpowiedzieć językiem, co prawda bardzo niepoprawnym, jednak zrozumiałym.

A pierwszą ich odpowiedzią, był wykrzyk błagalny:

— Ach, uciekajcie! Nie zbliżajcie się do nas! Czyż nie widzicie co my za jedne?

Starszy rycerz uśmiechnął się dobrotliwie.

— Napróżno to wszystko.—Mówił.— Nie odpędzicie nas. My właśnie mamy zaszczyt wojowania pod chorągwią Świętego Łazarza. Należymy do zakonu Braci Szpitalnych. Naszém ślubowaném zajęciem, jest obrona i pielęgnowanie pielgrzymów chorych, a zwłaszcza trędowatych, jacy tu przybywają dla zwiedzenia miejsc Świętych. Radujemy się więc, i dziękujemy Opatrzności, że sprowadziła nas na waszą drogę, szanowne Pielgrzymki, wielce miłe zapewne Chrystusowi, kiedy was obsypał chwałą Świętego Joba. Pozwólcie, abyśmy odtąd służyli wam za przewodników, i spełniali co rozkażecie,—bo każdy chory i ubogi, to nasz pan— a my jego pokorne sługi.

Niewiasty spojrzały po sobie. Wzruszenie głoś im zatamowało, tylko łzy grube puściły się z ich oczu. Pierwszy to raz od lat wielu, zdrowi ludzie przystępowali do nich bez przestachu, ach nawet z uśmiechem! Przemawiali do nich pierwsi, i to nietylko z łaskawością, ale z pokorą, ze czcią dla ich cierpień!

Milczały, pomieszane tą dobrocią.

Tymczasem, drugi rycerz pytał:

— A z kąd to Bóg was prowadzi, zacne matki?

— Z Karakorumu.

— Z kąd?

— Z Karakorumu, ze stolicy Wielkiego Chaa-na Tatarskiego, gdzie byliśmy w niewoli.

Rycerz spojrział na towarzysza, jakby pytał czy niewiasty są przy zdrowych zmysłach?

— Co to znaczy, — szepnął — «Karakorum»? Czy takie miejsce jest na świecie?

Starszy towarzysz się zamyślił.

— Aha! Przypominam sobie..... — Rzekł po chwili. — Słyszałem o czémś podobném..... powiadał mi to jeden Kleryk co czytał opis pewnego Franciszkana. Tak właśnie, Kara..... Karako..... to gdzieś koło Królestwa Xiędza Jana..... Ależ to wszystko jest na końcu świata, musiałyście iść chyba z rok?

— Gdzież tam rok! — Odparła Ludmiła jakby urażona. — Co to rok? Myśmy szły chyba z dziesięć lat.

— No, już co dziesięć, to za wiele. — Przerwała z uśmiechem Elżbieta. — Ale ze sześć lat, albo i siedem, to może.....

— I nawet nie liczyłyście ile?

— Po co? Pan Bóg je policzy. W niewoli, to rachowałyśmy wiosny, i dorachowałyśmy się dwudziestu pięciu okrągło. Ale w drodze to już trudniej z czasem się pomiarkować. Bywało, jedna ciężej zapadła, to i pół roku leżała w jakiej opuszczonej chałupie, a druga jej strzegła, pocieszając

i lecząc jak się dało. Potém znów szłyśmy dalej— aż znowu druga zaniemogła, z kilka miesięcy przeleżała—i znowu szłyśmy dalej—między najosobliwszemi narodami, gdzie trudno było i drogi wyszukać. Pytałyśmy się tylko zawsze o Jerozolimę, no—i oto jesteśmy w Palestynie.

— Ale żeście wytrzymały taką podróż, to nie do uwierzenia! Żeście nie pomarły z głodu? Że was dzikie zwierze nie opadło?

— Ach mój panie, człowiek nigdy nie może powiedzieć: «Ja tego nie wytrzymam — ja tego nie przeżyję.»—Wytrzyma-- wytrzyma! Sto razy będzie konał i nie skona, jeśli Bóg mu długie życie przeznaczył. Oto i my; już najprzód ochoty niemo-gło nam zabraknąć, bo jedna dla drugiej się krzepiła. Od dzikiego zwierza téż nie było strachu; szłyśmy najczęściej w całej gromadzie trędowatych, którzy lubią chodzić z podobnemi sobie, kiedy z innemi niewolno im przestawać. Bywa czasem ciężko w takim towarzystwie..... niejednen z nich oszuka, i obedrze, i do złego namawia..... ale przy Boskiej pomocy i to się przebyło. A już z głodem najmniejsza bięda;tego trędowaci niełatwo zaznają, bo każdy im co prędzej daje strawę i jałmużnę, byle ich się pozbyć, byle ich do swojego progu nie dopuścić. Jaka to jałmużna, niech Bóg im niepamięta! Rzucają jak psu, i uciekają. Nie tak jak wy, mój zacny panie. Ach, jacy z was nieporównani ludzie!

Rycerze spojrzeli po sobie. Choć mężczyźni, choć nawykli do strasznych widoków, uczuli że serce im się krwawi. Jeden szepnął drugiemu:

— Cóż to za nieszczęśliwe istoty!

— Jeszcze ja, to nic. — Ozwała się z żywością Ludmiła. — Ale ta druga, nieszczęśliwsza. Ona odeszła dostała trądu, z poświęcenia.....

— E..... już nie gadaj. — Odparła Elżbieta. — Niby to ty się nie poświęciłaś jeszcze więcej? Wystawcie sobie, ona dla mnie wróciła do niewoli!

Rycerzom łzy stanęły w oczach.

— No, już teraz—przerwała Ludmiła — wszystko dobrze, kiedyśmy się dostały między poczciwych ludzi. Byle jeszcze dojść do Jeruzalem, a może tam sobie wymodlimy i powrót do naszej ziemi, do Polski.

— Aha! To wy..... z Polski? Gdzież to ta Polska?

— Dość daleko. Za krajami Niemieckimi, na północ, tam gdzie Wisła płynie.

— Oho, ho! To gdzieś koło Hyperborejów? Tam podobno ludzie śpią pół roku? Nic nie szkodzi, może i tak potrafimy ułatwić wam powrót, boć o to tylko chodzi, aby raz dostać się do Europy;

tam już wszędzie znajdziecie pomoc i przytułek. My od czasu do czasu wyprawiamy okręt, przeznaczony wyłącznie dla pielgrzymów trędowatych; ten ich odwozi albo do Marsylji, albo do Amalfi. Niekiedy wprawdzie trzeba i parę lat poczekać, nim się zbierze taka załoga z chorych, ale dla was to może i lepiej poczekać? Tutaj między nami przyjdziecie do sił, wydobrzejecie, może potrafcie i zwiedzić Miejsca Święte? No, a najprzód pozwólcie abyśmy zawieźli was do Jerycho. Bliziotko, — o..... ztąd widać miasto.

— Ach! Więc to Jerycho? Sławne w Biblii trąbami Jozuego? Sławne w Ewangelji uzdrowieniem ślepego? — Zawołała Elżbieta, składając ręce z pobożnym zachwytem.

— A tak, właśnie. My w Jerycho mamy Łazarz, gdzie znajdziecie odzież, posiłek, lekarstwa, i zacne niewiasty do posługi. Może też da Bóg, i Święty Łazarz to wyprosi, że chociaż troszkę tam przyjdziecie do zdrowia?

Tak rozmawiając, rycerze zdjęli płaszcze, ażeby z nich ułożyć miękkie siedzenie na siodłach, a sami pozostali w swojej żelaznej koszulce i krótkiej czerwonej sukni.

Ludmiła, ruchem przypominającym jej dawną hardość, wsiadła na wierzchowca; ale biedna Elżbieta niemogła się dźwignąć.

Starszy rycerz przystąpił do niój.

— Pozwólcie mateczko, ja was podniosę i wygodnie posadzę.

Niewiasta cofnęła się przestraszona.

— Jakto panie, wy się nie boicie?

On, z uśmiechem odwinął połę rękawa, i pokazał na swoim ręku plamy zeschłe, świecące jak pargamin.

— Ja — rzekł, — trochę byłem wam bratem w cierpieniu. A już co nasz Mistrz, to jeszcze lepszy. Według Ustawy, Mistrz naszego Zakonu musi koniecznie być «trędowaty», ażeby lepiej czuł i rozumiał męczarnie tych którym służy.

Co mówiąc, uniósł i posadził na koniu Elźbietę. Siedząca obejrzała się ku Ludmile.

— Cóż to za cudowny Zakon! — Rzekła. — Czy pamiętasz jak nam królowa o nim opowiadała? Nie spodziéwałyśmy się wówczas, że kiedyś przyjdzie nam go błogosławić!

— Królowa? — Powtórzył niedowierzająco młodszy rycerz, mierząc spojrzeniem wiszące na nich łaichmany.

— Wy? Znałyście jaką królowę?

— A jakże? — Odrzekła z odrobiną dumy Ludmiła. — Musieliście chyba i wy słyszeć o sławnej Xiężnie Polskiej, Kunegundzie, córce króla Węgierskiego Andrzeja? Ona to nas łaskawie przyjmowała u swojego Dworu, gdzie było tak pięknie i świątobliwie jakby w raju.

— Mój Boże!—Westchnął rycerz. — Dawniej
znały się z królami — a teraz?....

— A teraz, — odparł starszy towarzysz — są
za to bliższe Królestwa Niebieskiego.

Tu rycerze ujęli cugle, poprowadzili konie,
które szły ostrożnie, nawykłe do dźwigania cho-
rych, — i pojechały niewiasty, unosząc róże i na-
dzieje.

KONIEC CZĘŚCI PIĄTEJ.



PRZYPISY.

PRZYPISY

do Piątego tomu Branek w Jassyrze.

Część Piąta.

Rozdział: Tajemnicza góra.

Str. 8. Abdurraman już wiązał w paki swoje bogactwa krwią nasiąkłe..... kiedy go zaskoczył wyrok śmierci.

«Abd-our-Rahman, le nouvel administrateur des provinces chinoises, fut mis à mort..... Tchingaï (Czyngaj) obtint de nouveau la charge de Grand Chancelier.» *Hist. des Mongols* par D'OHSSON—Amsterdam—1852—T. II. p. 206.

Str. 9. Fatma chciała dalej trząść państwem..... brana z kolei na różne tortury..... i t. d.

«L'impératrice Tourakina mourut deux mois après l'avènement au trône de son fils. Alors les nombreux ennemis de Fathma conjurèrent la perte de cette favorite. Elle fut accusée par un

mahométan de Samarcande, nommé Schiré, d'avoir par ses malefices, attiré au prince Coutan, frère de l'empereur, la maladie dont il était atteint. Celui-ci envoya même un officier à Couyouc, pour lui dénoncer la prétendue magicienne, et demander son supplice, s'il succombait à son mal. Le prince étant mort, Tching-caï rappela au khân la demande de son frère, et l'ordre fut donné d'examiner Fathma. Après l'avoir forcée, par la bastonnade et la torture, de s'avouer coupable, on cousut les ouvertures de son visage et de son corps, et on la jeta, enveloppée d'un feutre, dans la rivière. Les amis de cette femme subirent aussi le dernier supplice. Peu de temps après, Schiré, accusé lui-même d'avoir ensorcelé Kodja Ogoul, fils de Couyouc, fut mis à mort avec ses femmes et ses enfants.» *Tamze*. T. II. p. 233.

Str. 31. Taki to bywał pogrzeb Chaana Mongolskiego.

«Les princes étaient placés, après leur mort, sur un siège au milieu d'une hutte, et devant une table où l'on posait un plat de viandes et une tasse de lait de cavale; on enterrait cette hutte et avec elle une jument et son poulain, un cheval sellé et bridé, ainsi que des effets précieux. On cachait soigneusement cette sépulture, ou bien l'on plaçait des gardes pour en détendre l'approche. La maison du défunt était abattue, et il n'était pas permis de prononcer son nom jusqu'à la troisième génération.» *Tamze*. T. I. p. 15 et suiv.

«Après la mort de Tchinguiz-khan.... (en 1127) le corps de ce prince fut transporté secrètement en Mongolie. Pour empêcher que la nouvelle de sa mort ne se répandit, les troupes qui accompagnaient son cercueil, tuèrent tous les individus qu'elles rencontrèrent sur cette longue route. Ce fut seulement à l'arrivée du convoi au grand Ordou de Tchinguiz-khan, dans son ancien territoire, près des sources du Kèroulan, que l'on publia son décès. La dépouille mortelle du conquérant fut successivement dépo-

sée dans les Ordous de ses principales épouses, où, sur l'invitation de Toulouï, les princes, les princesses du sang et les chefs militaires accoururent, de toutes les parties de ce vaste empire, pour lui rendre leurs derniers hommages par de longues lamentations; ceux qui venaient des contrées les plus éloignées, ne purent arriver qu'au bout de trois mois. Après ces funèbres cérémonies, le cercueil fut inhumé sur l'une des montagnes qui forment la chaîne du Bourcau-Caldoun, d'où sortent les fleuves Onan, Kéroulan et Toula. Chassant un jour dans cette contrée, Tchinguiz-khan s'était reposé sous le feuillage d'un grand arbre isolé; il y passa quelques moments dans une douce (?) rêverie, et dit, en se levant, que c'était là qu'il voulait être enterré. Les princes, ses fils, instruits alors de cette circonstance, ordonnèrent qu'il fut inhumé dans ce lieu. Le terrain environnant se couvrit, au bout de quelque temps, d'une épaisse forêt qui ne permit plus de reconnaître l'arbre auprès duquel les restes du conquérant mongol avaient été déposés. Plusieurs de ses descendants furent enterrés dans cette même forêt, dont la garde fut longtemps confiée à mille hommes de la tribu Ourianguite, exemptée, pour cette raison, du service militaire. Des parfums brûlaient sans cesse devant les images de ces princes, placées en ce lieu, qui n'était pas accessible à tout le monde.» *Tamže*. T. I. p. 381.

«Ogotaï..... ordonna que, suivant la coutume, des mets fussent offerts, pendant trois jours, aux mânes de son père. (Tchinguiz-khan.) Il fit choisir, dans les familles des Noyans et des généraux, les plus belles filles, au nombre de quarante; elles furent parées de riches vêtements, de bijoux d'un grand prix, et, selon l'expression de Raschid, *on les envoya servir Tchinguiz-khan dans l'autre monde*. A cet hommage barbare fut joint celui de superbes chevaux.» *Tamže*. T. II. p. 13.

«Selon Marco-Polo (édit. de Bergeron, livre I, chap. LIII et LIV) Chinchis (Tchinguiz-khan) fut enterré sur une montagne nommée Alchaï, «où, dit-il, tous ceux de sa race et tous ses successeurs ont depuis choisi leur sépulture, et on y transporte

«les corps, quand ils seraient à cent journées de là. — Or, quand on transporte le corps du grand Cham pour l'enterrer sur la montagne d'Alchai, ceux qui accompagnent le convoi tuent tous ceux qu'ils rencontrent sur le chemin, leur disant: *Allez servir notre seigneur et maître en l'autre monde.* Car ils sont tellement possédés du Démon, qu'ils croient que ces gens ainsi tués, vont servir le roi défunt en leur vie; mais leur rage ne s'étend pas seulement sur les hommes, mais aussi sur les chevaux, qu'ils égorgent, quand ils se trouvent sur leur passage, croyant qu'ils doivent aussi servir au roi mort. Quand le corps du grand Cham Mongu (le Chaan Mangou mort en 1259) fut mené sur la montagne *Alchai*, pour y être inhumé, les soldats qui le conduisaient ont rapporté avoir tué de ceste manière plus de vingt mille hommes.»—Marco-Polo dit plus loin (chap. LXI) «qu'en partant de Caracouroum, au nord, on vient, après avoir passé la montagne d'*Alchai*, aux campagnes de Bargu, qui ont quarante journées de long.» Or le pays des Bargoutes, le Bargoutchin, était à l'est du lac Baikal; ainsi le mont *Alchai* était situé au nord-est de Caracouroum, ville sise près de la rivière Orkhon. Gaubil rapporte (page 54), que des seigneurs mongols de la race de Tchinguiz-khan, disaient de son temps, que la montagne sur laquelle ce prince fut enseveli s'appelait *Han*, et il ajoute qu'elle est située à 47° 54' de latitude, et 9° 3' de longitude, à l'ouest du méridien de Pékin. En suivant cette indication, on trouve sur la carte de d'Anville le mont *Kentey-han*, où est la source de l'Onon. On peut donc admettre comme certain, d'après le témoignage de Raschid, de Marco Polo et de Gaubil, que Tchinguiz-khan et plusieurs princes de sa dynastie, furent enterrés près des sources de l'Onon et du Kéroulan.» *Tamże w PRZYPISKU na str. 383 i nast.*

Gwałtowne zaś owo uciekanie od zwłok świeżo pochowanych, odnajduje się u wszystkich tamtejszych ludów.

«Tunguzi, na mogiłę rzucają kawał mięsa, resztę zjadłszy, pakują swoje majątki na renów i przenoszą się w inne okolice, troskliwie zaciągając ślady, w obawie ażeby trup wstawszy z gro-

bu, ich śladem za niemi się nie powlókł.... Buryaci szamani ciała zmarłych palili; gdy już stos podpałą i błysnie pierwszy płomyzek, wszyscy obecni nie oglądając się, co prędkiej uciekają do swoich jurt.» *Bajkał-Szamanizm* przez A. GILLERA, w *Bibliotece Warszawskiej* z r. 1859—Wrzesień—str. 581 i 582.

Nietylko sami Wielcy Chaanowie miéwali takie pogrzeby; inni téż Dżyngischanidzi dostępowali czasem podobnie strasznych zaszczytów. I tak Hulagu, dostąpił ich jako założyciel nowéj, osobnéj dynastji monarchów Mongolskich w Persji.

«Houlagou mourut..... le 8 fevrier 1265..... Il fut enseveli sur le sommet de l'île montagneuse de Tala, située au milieu du lac d'Ormia, où il avait fait bâtir une forteresse, qui recélaît ses trésors. Selon l'usage mongol, on jeta dans sa tombe beaucoup d'or et de pierreries, et l'on y enterra toutes vives des filles richement parées et brillantes de jeunesse et de beauté; puis on y porta, plusieurs jours de suite, des mets pour ses mânes.» *Hist. des Mong.* par D'OHSSON.—T. III. p. 406.

I nie trzeba sądzić ażeby tylko w dawnych wiekach bywały odprawiane podobne pogrzeby; odprawiają się one jeszcze i za naszych czasów. Xiądz Ewaryst Huc, Missjonarz, zmarły niedawno (w 1860) w skutek nadludzkich trudów jakie poniósł przy nawracaniu pogan Azjatyckich, tak pisze w swoich nieoszacowanych WSPOMNIENIACH Z PODRÓŻY PO TARTARJI (odbytej w latach 1844—46):

«Pour dire toute la vérité sur le compte des Tartares, nous devons ajouter que leurs rois usent parfois d'un système de sépulture qui est le comble de l'extravagance et de la barbarie: on transporte le royal cadavre dans un vaste édifice construit en briques, et orné de nombreuses statues en pierre, représentant des hommes, des lions, des éléphants, des tigres, et divers sujets de la mythologie bouddique. Avec l'illustre défunt, on enterre dans un large caveau, placé au centre du bâtiment, de grosses sommes d'or et d'argent, des habits royaux, des pierres précieuses, enfin tout ce

dont il pourra avoir besoin dans une autre vie. Ces enterrements monstrueux coûtent quelquefois la vie à un grand nombre d'esclaves: on prend des enfants de l'un et de l'autre sexe, remarquables par leur beauté, et on leur fait avaler du mercure jusqu'à ce qu'ils soient suffoqués; de cette manière, ils conservent, dit-on, la fraîcheur et le coloris de leur visage, au point de paraître encore vivants. Ces malheureuses victimes sont placées debout, autour du cadavre de leur maître, continuant en quelque sorte, de le servir comme pendant sa vie. Elles tiennent dans leurs mains la pipe, l'éventail, la petite fiole de tabac à priser, et tous les autres colifichets des majestés tartares. — Pour garder ces trésors enfouis, on place dans le caveau une espèce d'arc pouvant décocher une multitude de flèches à la file les unes des autres. Cet arc, ou plutôt ces arcs nombreux unis ensemble, sont tous bandés, et les flèches prêtes à partir. On place cette espèce de machine infernale de manière à ce qu'en ouvrant la porte du caveau, le mouvement fasse décocher la première flèche sur l'homme qui entre. Le décochement de la première flèche fait aussitôt partir la seconde, et ainsi de suite jusqu'à la dernière; de sorte que le malheureux, que la cupidité ou la curiosité porterait à ouvrir cette porte, tomberait percé de mille traits dans le tombeau même qu'il voudrait profaner. On vend de ces machines meurtrières toutes préparées chez les fabricants d'arcs. Les Chinois en achètent quelquefois pour garder leur maison pendant leur absence.» *Souvenirs d'un voyage dans la Tartarie et le Thibet* par M. Huc. Paris—1868 — chez Gaume Fr.—T. I. p. 116.

Rozdział: Znów roczniki niewoli.

Str. 35. Xiążę Batu odmówił tronu.

«A la mort de Couyouc, on prit les précautions d'usage pour empêcher que la nouvelle de la vacance du trône ne se répandit avant que les principaux chefs de la nation en fussent in-

formés; tandis qu'on interceptait les communications et qu'on retenait les voyageurs, des messagers étaient expédiés à la princesse Siourcoucteni et au prince Batou, pour leur annoncer cet événement. Batou, qui était enfin parti des bords du Volga..... déféra la régence, suivant les coutumes de la nation, à Ogoul-Gaïmisch, qui tenait le premier rang parmi les épouses du souverain défunt; elle était fille du bey Coutouca, chef des Ouïrates. En même temps Batou convoqua une assemblée générale à Alactac. Les princes de la branche d'Ogotaï refusèrent de s'y rendre..... cependant ils envoyèrent Temour noyan, gouverneur de Caracouroum, muni de leurs pouvoirs..... Dans ce Couriltaï..... Batou était d'accord avec Siourcoucteni pour faire élire Mangou, l'aîné des fils de cette princesse, qui avait d'ailleurs un puissant parti dans l'armée..... Mais les princes offrirent d'abord le trône à Batou, comme à l'aîné de la famille de Tchinguiz-khan. Sur son refus, ils le prièrent de désigner celui qu'ils devaient élire, s'engageant tous par écrit à suivre son avis. Déférant à leurs vœux, Batou..... nomma le prince Mangou..... L'assemblée décréta qu'il serait convoqué, au printemps suivant, un second Couriltaï dans l'ancien yourt ou territoire de Tchinguiz-khan..... pour faire reconnaître Mangou par la totalité des princes et des chefs de l'armée.» *Histoire des Mongols* par C. D'OHSSON — Amsterdam—1852—T. II. p. 245 et suiv.

Str. 42. Raz tylko, nie potrzebował być namawianym do srogości..... kiedy nakoniec ujęto Xieźnę Anandę i była Rejentkę, Ogul-Gajmiszę.

«Irrité surtout contre l'impératrice Ogoul-Gaïmisch..... il se fit amener cette princesse, les deux mains cousues dans un sac de cuir. A son arrivée au camp impérial, elle fut conduite, avec la mère de Schiramoun, au quartier de Siourcoucteni, où le grand-juge Mangoussar l'ayant fait dépouiller de tous ses vêtements, procéda à son interrogatoire..... Jugées toutes deux coupables....., elles furent enveloppées dans des feutres, et noyées.» *Tamže*—T. II. p. 268.

Str. 43. Wyszedł więc rozkaz głoszący że:
«W dzień koronacji, niewolno, i t. d.»

«Mangou ordonna qu'en ce jour, les hommes quittant leurs travaux, oubliant leurs querelles, se livrassent entièrement à la joie et au plaisir, et voulant faire participer à cette fête le reste de la nature, il défendit de monter les chevaux, de charger les bêtes de somme, de tuer les animaux dont on mange la chair, de chasser, de pêcher, de blesser la terre, de troubler le calme et la pureté des eaux.» *Tamze*—T. II. p. 254.

Str. 46. Ów szatan Temuczyn, co z twojéj głowy śmiał zedrzeć siwe włosy, i z twojéj świętéj czaszki uczynił sobie czare!

«Temoudjin..... s'étant confédéré avec Ong-khan, chef des Keraïtes et chrétien, (le prêtre Jean), remporta plusieurs victoires..... soumit ensuite les Keraïtes eux-mêmes, et le crâne de leur chef, converti en coupe, épouvanta ses ennemis.» *Histoire Universelle* par CESAR CANTU—trad. par Aroux—Paris—chez Didot—1867—T. XI. p. 288.

Str. 58. Nakoniec Hulagu wyruszył, i rozpoczął swój sławny pochód, który był jednym, prawie nieustannym festynem.

«Houlagou fut fêté, en arrivant dans le pays d'Almalig, par la princesse Organa, et les autres dames de la maison de Tchagataï.....

«Houlagou s'arrêta tout l'été de 1254 dans le Turkustan, et n'arri va à Samarcand qu'en septembre 1255. Le gouverneur Mass'oud lui avait fait dresser un pavillon d'étoffe de soie et or, dans une prairie délicieuse près de cette ville. Houlagou y passa quarante jours à boire et se divertir.....

«Houlagou posa son camp dans la prairie de Schoubourgan. Il ne voulait y rester qu'un jour; mais..... il tomba de la neige pendant toute une semaine..... ce qui détermina le prince mongol à passer l'hiver en ce lieu; il ne s'y occupa que de plaisirs. Au printemps le gouverneur Argoun..... donna une superbe fête à Houlagou, et lui fit hommage d'une tente doublée d'une étoffe de coton richement brodée, ainsi que d'un service de banquet, composé de vases et de coupes d'or et d'argent garnies de pierres, ect». *Histoire des Mong.* par C. D'OHSSON—T. III. pp. 139 et 140.

Str. 59. Znamy go (ten pochód) nietylko ze współczesnych Kronik, ale i przez mały, bardzo szacowny dokumencik, co się znalazł w Chińskich szpargałach: jest-to *Dzienniczek* prowadzony po drodze przez jednego z pomniejszych oficerków téj armji.

Dzienniczek ten został wydrukowany w *Nouveaux Mélanges Asiatiques* ABLA REMUSATA, w Tomie piérwszym, str 171. p. t. *Relation de l'expédition d'Houlagou, fondateur de la Dynastie des Mongols de Perse*, extraite du SOU-HOUNG-KIAN-LOU, et traduite du chinois.

Str. 61. Pewien żołnierz został powieszony za skradzenie jednéj cébuli..... Wojny i zabory były już coraz mniéj «mongolskie».

«Dans la campagne du Su-tchouan, il (Mangou) défendit à ses troupes de piller et de ravager. Ayant appris que son fils Assoutaï avait, dans une partie de chasse, foulé un champ de bleds, il lui en fit des réprimandes, et condamna à des peines corporelles plusieurs des personnes de sa suite. Un soldat mongol fut puni de mort pour avoir pris un oignon chez un paysan. De

pareils exemples réprimèrent la licence. En revanche, Mangou accordait souvent des gratifications à ses troupes.» *Hist. des Mongols* par C. D'OHSSON—T. II. p. 333.

Str. 64. I tak..... pewien Kleryk Syryjski, Teodul.....

Całą tę historję Kleryka Teodula *vel* Rajmunda, patrz, wybornie opowiedzianą w RUBRUKU, *Récit de son Voyage*, str. 159 i nast.

Str. 67. Przed laty kilku, dwóch filutów, Marek i Sabeddin Dawid, zgłosiło się znów odwrotnie do króla Molera, czyli do Ludwika IX-go.

Dzieje tego fałszywego poselstwa szeroko są opisane w *Historji Mongołów* D'OHSSONA, w Tomie II-m, na str. 236 i nast.

Rozdział: **Jeszcze raz gołąb'.**

Str. 91. Kilka dni temu, odbiérám list po Francuzku, podpisany: «Guillaume Rubrouck, Cordelier.»..... słyssał od pani Paschy, że mój Filip jest wybornym tłumaczem, zapytuje więc czybym niechciał mu go przysłać..... Ach, jakaż to dla mnie boleść! Ten święty człowiek prosi, a ja muszę odmawiać, przynajmniej na teraz!

«Elle (Pascha) ajoute que cet orfèvre avait avec lui un jeune homme qu'il traitait comme son fils et qui était un excellent interprète. Mangou-Khân avait donné à ce maître artisan trois cents iascots, c'est-à-dire trois mille marcs, et cinquante ouvriers pour

fabriquer une oeuvre d'art; c'est pourquoi elle craignait qu'il ne pût me confier son fils. A la cour, on lui avait dit: «Ceux qui viennent de votre pays sont de braves gens, et Mangou-khân cause volontiers avec eux; mais leur interprète ne vaut rien.» Ce qui explique pourquoi elle se préoccupait du nôtre. Alors j'écrivis à cet orfèvre pour lui annoncer notre arrivée et le prier de nous envoyer son fils, si c'était possible. Il me répondit que durant la présente lunaison il ne le pouvait pas, mais qu'à la suivante il aurait achevé son ouvrage et m'enverrait alors son fils.» GUILLAUME DE RUBROUCK *Ambassadeur de Saint Louis en Orient*—*Récit de son Voyage* traduit de l'original latin et annoté par LOUIS DE BACKER—*Bibliothèque Orientale Elzévirienne*—Paris—chez Leroux—1877—p. 156.

Str. 94. Tėj, nikt już z lekka nie nazywał «Pâquette'a..... teraz u jėj chałatu wieszalo się dwoje ślicznych dziątek, bo sprytna wdówka, pojechawszy do Ałtajskich Ułusów, znalazła tam nie tylko nowych państwa, lecz i nowego męża.

«Pascha..... appartenait à la cour de cette dame qui était chrétienne et dont j'ai parlé plus haut; elle nous raconta les privations inouïes qu'elle eut à supporter avant d'être attachée à la cour. Mais elle était alors assez bien, car elle avait un jeune mari russe, qui l'avait rendue mère de trois beaux petits enfants et qui était charpentier, ce qui est un bon état chez les Tartares.» *Tamże*—p. 155.

Str. 97. I odsunąwszy nieco zasłonę wejściową, znalazła się w prześlicznój, tajemniczój kaplicy.

«En m'en retournant, j'aperçus devant l'extrémité orientale de la cour, à une distance de deux traits de baliste, une maison sur laquelle était une petite croix. Je m'en réjouis fort, suppo-

sant qu'il y avait là quelque vestige de christianisme. J'entrai avec confiance et trouvai un autel parfaitement orné; sur une étoffe d'or, je vis brodées les images du Sauveur, de la Sainte Vierge, de Saint Jean Baptiste et de deux anges, dont les lignes du corps et des vêtements étaient dessinées par des perles. Il y avait aussi une grande croix d'argent, dont le milieu et les coins étaient garnis de pierres précieuses, et beaucoup d'autres ornements; une lampe à huit branches et à huile brûlait devant l'autel; et là était assis un moine Arménien, noirâtre, maigre, vetu d'une tunique en forme de cilice, très-rude jusqu'à mi-jambes, ayant par dessus un manteau noir fourré de laine, et sous le cilice une ceinture de fer.» *Tamže* — p. 141.

Str. 98. Jednych mojemi modlitwami uzdrwiam, a drugich zabijam.

«Le malade mourut et le moine me dit: «Soyez sans inquiétude; je l'ai tué par mes prières. Lui seul nous était hostile.... Désormais tous et Mangou-Khân lui-même seront à nos pieds.» *Tamže*—p. 219.

Str. 103. Ojczy, jeszcze trocę tego sera.....— Jakże on się nazywa?—Gryjut.

«L'office des femmes est de conduire les chariots.... de traire les vaches, de faire le beurre et le *griut* ou le fromage, ect.» *Tamže*—p. 31.

Str. 104. Kto wié czy jeszcze nie smakowitsze te kielbaski takie soczyste?

«Si alors il arrive qu'un cheval ou qu'un boeuf meure, ils en coupent les chairs par tranches et les font dessécher en les exposant au soleil et au vent, et celles-ci sans être salées sèchent très-bien et ne répandent aucune odeur. Avec les boyaux ils

font des andouilles meilleures que celles que l'on fait avec du porc, et ils les mangent toutes fraîches.» *Tamże*—p. 18.

Str. 104. Ja znajduję że wasz «cosmos» jest bardzo podobny do naszego wina Szampańskiego.

«Leur *cosmos*..... pique sur la langue et a un goût de vin râpé, (il fait l'effet du vin de Champagne); et lorsqu'on l'a bu, il laisse sur la langue une saveur semblable à celle du lait d'amande, et réjouit le coeur humain, et même éivre les têtes faibles.» *Tamże*—pp. 21 et 22.

Str. 106. Wystawcie sobie Ojczy, że tu *nie wolno* prać odzienia, ani zmywać naczyń.

«Elles cousent..... les vêtements, mais elles ne les lavent jamais. Elles disent que Dieu s'irrite et envoie son tonnerre, quand elles les font sécher. De plus, elles battent celles qui lavent et leur enlèvent ce qu'elles ont en main. Elles redoutent le tonnerre par dessus tout..... Elles ne lavent pas non plus leurs écuelles, mais lorsque la chair est cuite, le vase destiné à la recevoir est lavé avec du brou bouillant de la chaudière, et après, elles l'y reversent.» *Tamże*—p. 31.

Str. 107. Są rzeczy jeszcze okropniejsze, na przykład patrzenie na tę przerażającą nędzę jaka panuje wpośród jeńców..... Sama widziałam, jak niektórzy łowili myszy, i piekli je, ach..... i ogryzali.....

«Les esclaves se remplissent le ventre d'eau sale et ils s'en contentent. Mais ils prennent des souris, dont il y a de nombreuses variétés. Ils ne mangent pas les souris à longue queue..... ils mangent des liroux et toutes sortes de souris à courte queue, etc.» *Tamże*—p. 25.

Str. 108. Ja tak im odpowiadam: Bierzcie u waszych panów tyle, ile trzeba koniecznie ażeby nie umrzeć..... A jest znów inny wypadek, w którym niemogę ich rozgrzeszyć.

«Il y avait là une foule de chrétiens hongrois, alains, russes, géorgiens, arméniens, qui tous avaient été privés du sacrement depuis leur captivité, parce que les Nestoriens ne voulaient pas les admettre dans leur église, s'ils n'étaient pas baptisés par eux..... Ces chrétiens insistèrent et me prièrent, au nom de Dieu, de vouloir bien célébrer les saints mystères. Alors j'entendis leur confession, comme je le pus, par un interprète, leur expliquant les dix commandements de Dieu et les sept péchés capitaux, et tout ce qui est nécessaire pour être contrit et absous. Ils ne s'accusaient point du péché de larcin, disant qu'ils ne pouvaient vivre sans voler parce que leurs seigneurs les privaient de nourriture et de vêtements. Alors moi, en considération de si injustes privations, je leur dis qu'ils pouvaient s'appropriier sur les biens de leurs maîtres tout ce qui leur serait nécessaire, et j'étais prêt à soutenir cette thèse devant Mangou-Khân lui-même. Il y avait aussi des guerriers qui trouvaient une excuse dans l'obligation où ils étaient de devoir aller à la guerre sous peine d'être tués. A ceux-là, je défendis énergiquement de marcher contre les chrétiens et de leur faire le moindre tort, et leur dis de souffrir plutôt la mort, car ils seraient martyrs. J'ajoutai que si quelqu'un avait l'intention de me reprocher une telle doctrine devant Mangou-Khân, j'étais tout prêt à la prêcher devant lui; car les Nestoriens de la cour étaient présents à mes enseignements, et je soupçonnais bien qu'ils les rapporteraient.» *Tamże* — pp. 211 et 213.

Str. 109. To tylko biéda, że już na samym wstępie Szafarze zaczęli częstować, i nas, i naszego Tłumacza.

«Alors le Khân nous fit..... verser de cette boisson faite de riz, limpide et douce comme du vin blanc, dont je bus quelques gouttes par simple politesse. Mais, à notre grand regret, les sommeliers avaient tant donné à boire à notre interprète qu'il en était ivre..... Jusqu'à présent j'ai toujours bien compris mon interprète; depuis qu'il était en état d'ivresse, je ne le comprenais plus. Il me semblait même que Mangou-Khân, lui aussi, était un peu chancelant.» *Tamże*—pp. 149 et 151.

Str. 110. Wasz Chaan Mangu..... ktoby go chciał nawrócić, musiałby chyba mieć potęgę Mojżesza.

Rubruk opisując swoje pożegnalne posłuchanie u Chaana Mangu, zakończył ze smutkiem: «Puis il se retira et je ne le revis plus. Si j'avais eu le pouvoir de faire des miracles, comme Moïse, peut-être se serait-il humilié.» *Tamże*—p. 245.

Str. 111. Trzeba ile możności żyć w zgodzie. Ja też się z nim obchodzę jakby z jakim Biskupem, choćby za to samo że zna język Moalów, i że mi tu wszędzie służy za przewodnika.

«J'honorais ce moine comme un évêque, parce qu'il savait l'idiome du pays. Cependant, il faisait beaucoup de choses qui ne me plaisaient pas. Ainsi, il se fit faire un siège pliant, comme en ont ordinairement les évêques, et des gants et un chapeau de plumes de paon avec une croix d'or dessus: je n'approuvai que la croix..... Son langage était celui d'un présomptueux..... il y avait en lui beaucoup d'autres choses ridicules et qui me déplaisaient. Cependant, nous ne l'abandonnâmes point à cause de la vénération que nous avons pour la croix.» *Tamże*—pp. 186—187.

Str. 111. Czy to prawda Ojczy, że on nic nie jada?

«Le moine disait qu'il ne mangeait que le dimanche..... Mais le moine avait près de lui sous l'autel une corbeille avec des amandes, des raisins, des prunes sèches et beaucoup d'autres fruits, dont il mangeait tous les jours quand il était seul.» *Tamże*—p. 201.

Str. 112. Powiédz mi niewiasto, dla czego ten człowiek tak mało dba o swoje nogi?

«Ceux qui nous entouraient, nous regardaient avec des yeux ébahis, surtout parce que nous étions nu-pieds, et ils nous demandaient pourquoi nous faisons si peu de cas de nos pieds. Cet Hongrois leur en expliqua la raison, en disant que c'était une règle de notre Ordre.» *Tamże*—p. 138.

Str. 119. Już ja nieraz, i po drodze, i tutaj, spotykałem Tatarów zniechęconych do naszój Wiary, tym okrutnym zakazem.

«Şçacatai (Czagataj) était assis sur son lit, tenant une guitare à la main..... Ils nous demanda si nous voulions boire du cosmos (kumysu), c'est-à-dire du lait de jument, car les chrétiens russes, grecs et alains, qui se trouvent parmi les Tartares et veulent observer fidèlement leur loi, ne boivent pas cela, persuadés qu'ils feraient acte d'abjuration en buvant le cosmos. Alors les prêtres les réconcilient avec le Christ, comme s'ils l'avaient renié.» *Tamże*—pp. 46—7.

«La veille de la Pentecôte vinrent à nous quelques Alains..... Ils nous demandèrent, eux et beaucoup d'autres Chrétiens, Russes et Hongrois, s'ils pourront être sauvés parce qu'il leur faut boire du cosmos et manger de la chair de bêtes mortes, ou tuées par des Sarrazins et autres infidèles, choses que les prêtres grecs et russes considèrent eux-mêmes comme polluées ou consacrées aux idoles, et de plus parce qu'ils ignoraient les jours de jeûne

et que, s'ils les connaissaient, ils ne pourraient pas les observer. Alors je les éclairai comme je pus, les enseignant et les réconfortant dans la foi. *Tamże*—pp. 49—50.

«Le jour de la Pentecôte, un Sarrazin vint nous parler et nous lui exposâmes notre croyance. Entendant de quel bienfait et pour l'humanité la foi en l'Incarnation, la résurrection des morts, le jugement dernier, l'ablution des péchés par le baptême, ils nous dit qu'il voulait être baptisé, et comme nous nous disposions à lui administrer le sacrement du baptême, il sauta aussitôt à cheval disant qu'il allait à sa maison demander l'avis de sa femme. (Nic bez pozwolenia żony!) De retour le lendemain, il nous dit que pour rien au monde il n'oserait recevoir le baptême, parce qu'il ne pourrait plus boire du cosmos. Or, les chrétiens de cette région disaient qu'aucun vrai chrétien ne devrait boire du cosmos, et que cependant sans cette boisson, il n'est pas possible de vivre dans cette solitude. Il me fut impossible de leur enlever cette opinion. Ce fait vous fera comprendre combien les Tartares sont encore éloignés de notre religion, à cause de cette opinion qui leur a été transmise par des Russes, en grand nombre parmi eux.» *Tamże*—pp. 51—52.

Rozdział: Piękny dzień.

Str. 124. Niedługo potem zaczęto mówić że ta pani Chatota..... miéwa się coraz gorzej.»

Cały ten ustęp jest wyjęty z RUBRUKA.—Patrz *Récit de son Voyage*—Str. 183 i nast.

Str. 129. Xieża Nestorjańscy cichaczem trzęśli się ze złości; zazdrościli zwłaszcza Sergjuszowi owego krzyża z klejnotami.

«Le moine portait cette croix partout avec lui, et les prêtres voyant le bénéfice qu'elle lui rapportait, commencèrent à en être jaloux. *Tamże*—p. 180.

Str. 130. «Owóz przyszedł piérwszy dzień Postu.....»

Tamże—p. 195.

Str. 130. «Okolo Półpościa, syn Mistrza Wilhelma doniósł.... Chaanowi, że robota..... już jest ukończona.

Tamże—p. 203.

Str. 131. «W sam dzień Kwietniój Niedzieli, przybyliśmy do Karakorumu.»

«Le Dimanche des Rameaux, nous touchâmes à Caracorum. Aux premières lueurs du matin, nous bénîmes des rameaux où la sève n'apparaissait pas encore, et vers nones, ou la neuvième heure, nous entrâmes dans la ville, la croix haute et bannière deployée, en passant par le quartier des Sarrazins et leurs places publiques, jusqu'à l'église. Les nestoriens vinrent en procession au devant de nous, ect.» *Tamże*—p. 207.

Str. 131. Pod wieczór..... Mistrz Wilhelm, z wielką uciechą zaprowadził nas do swego domu, na wieczerzę, i t. d.

«La messe dite, le soir approchait et maître Guillaume nous conduisit avec une grande joie à sa maison pour souper avec lui. Sa femme était fille d'un Lorrain et née en Hongrie, elle parlait bien le français et la langue de Comanie. Nous rencontrâmes encore là un autre Européen, nommé Basyle, fils d'un Anglais et né

en Hongrie, et qui parlait les mêmes langues. Le souper se passa dans une joie sincère, ect.» *Tamże*—pp. 207—208.

Str. 131. Jednak zbliżał się Wielki Czwartek, i t. d.

Tamże — pp. 211 et suiv.

Str. 132. Owóz, Mistrz Wilhelm kazał zrobić dla nas żelazną foremkę, i t. d.

«Or, maître Guillaume avait fait faire pour nous un fer pour y mouler des Hosties, et avait fait pour lui quelques ornements, car il était un peu lettré et remplissait les fonctions de clerc à l'église. Il avait fait faire aussi dans le style français une image de la Sainte Vierge et sur les panneaux de la cloison il sculpta avec talent des figures de l'Évangile. On lui doit une boîte d'argent pour y enfermer le corps du Christ et des reliques dans de petites cellules pratiquées à l'intérieur. Enfin, il avait construit un oratoire sur un chariot, parfaitement peint et où étaient représentées des scènes de l'Histoire-Sainte. J'acceptai donc ces ornements et les bénis et nous fîmes selon notre manière de très-belles Hosties, et les Nestoriens m'assignèrent leur baptistère où il y avait un autel..... Je célébrai donc la messe..... le jour de Pâques. Et nous donnâmes la communion au peuple, avec la bénédiction de Dieu, comme je l'espère. Plus de soixante personnes furent baptisées, la veille de Pâques, en très-bon ordre, et la joie parmi les chrétiens fut généralement très-grande.» *Tamże*—pp. 213—214.

Rozdział: Alleluja!

Str. 139. «Zimno w tych stronach» pisze Rubruk—«jest nadzwyczaj ostre.....»

«Il tombe peu de neige en hiver, mais vers Pâques, c'est-à-dire à la fin d'Avril, il en tomba tellement que toutes les rues de Caracorum en furent pleines et qu'il fallut l'enlever au moyen de chariots.» GUILLAUME RUBROUCK — *Récit de son Voyage* — p. 146.

Str. 149. Kaptargak, jest-to worek czworograniasty.

«Il emporte le reste avec lui..... ou bien le dépose dans son *captargac*, c'est-à-dire une bourse carrée que les Tartares ont communément avec eux pour toutes ces choses. Dans ce sac, ils jettent aussi les os qu'ils n'ont pas eu le temps de ronger, mais qu'ils rongeront plus tard, et cela afin qu'il ne se perde pas la moindre parcelle de nourriture.» *Tamże*—p. 18.

Str. 151. Mnich Sergjusz krzyknał.....» Po co te psy przy tobie siedzą?»

«Arabuccha (Aric-Bouga) mit pied à terre devant la cour de son frère et attendit qu'il fut de retour de la chasse. Le moine y descendit aussi et lui présenta ses fruits qui furent acceptés. Deux grands de la cour du khân, deux Sarrazins, étaient assis près de lui. Mais Arabuccha, sachant les différends qui séparaient les chrétiens des Sarrazins, demanda au moine s'il connaissait les deux Sarrazins. Le moine répondit: «Je les connais, parce que ce sont des chiens: pourquoi sont-ils près de vous?» Et ceux-ci riprirent: «Pourquoi nous dites-vous des injures, lorsque nous ne vous parlons pas?» Le moine insista: «C'est vrai», leur dit-il, «je dis que vous et votre Mahomet vous êtes d'affreux chiens.» Alors ils se mirent à exhaler des blasphèmes contre le Christ, et Arabuccha les arrêta, en disant: «Ne parlez pas ainsi, parce que nous savons que Messie est Dieu.» *Tamże*—p. 224.

Str. 152. Natykamy się na Chaana, który

wita nas..... jak czynią Biskupi gdy lud błogosławia.

«Le moine et nous tous voyant que le Khân passerait à peu de distance de nous, nous allâmes au-devant de lui avec la croix. Et lui nous reconnaissant, parce qu'il avait visité autrefois notre oratoire, tendit la main et nous donna la bénédiction (*fecit crucem*) comme un évêque la donne.» *Tamże*—p. 224.

Str. 152. Był to dygnitarz piérwszój wody, Mongoł, ale Nestorjańskiéj wiary, nazywał się Bułgaj..... Paryżanin dawał mu nieznacznie różne rady, nawet w rzeczach nabożeństwa.

«Avant le dimanche de la Septuagesime, les Nestoriens jeûnent pendant trois jours; ils les nomment le jeûne de Jonas..... ils commencent leur jeûne le mardi, et le font cesser le jeudi, de sorte que le vendredi ils mangent de la viande. J'ai vu alors le chancelier, qui est le secrétaire d'Etat, nommmé Bulgaï, leur faire apporter en ce temps de la viande..... Mais lui, il n'en mangea point, et cela d'après le conseil de maître Guillaume de Paris, qui le fréquente beaucoup.» *Tamże*—p. 173.

Str. 154. Choć Moal..... przypominał mi «sire'a de Beaumont.»

«Batou nous regarda avec curiosité..... et il me parut qu'il était de la taille de Jean de Beaumont, dont l'âme repose en paix. Son visage était alors tout rouge..... ect.» *Tamże*—p. 173.

«Chambrier de France, fils de Mathieu, deuxième du nom, comte de Beaumont-sur-Oise, et d'Alix de Beaumont, dame de la Queue. Il épousa Gertrude de Soissons, ect.» *Tamże* — Note 40-me.

Str. 155. Kiedy zobaczyłem po raz piérwszy Moalów, ich wozy, ubiory i zwyczaję, to mi się zdawało że wchodzę w inny wiek.

«Après avoir quitté Soldaïa, nous rencontrâmes au bout de trois jours les Tartares, et il me semblait que j'entrais dans un autre siècle.» *Tamże*—p. 10.

Str. 155. Czytałem już opisanie tych krajów przez naszych Braci Jana i Benedykta.

Rubruk w swoim *Opisie Podróży* wspomina o Janie de Plano-Carpini, chociaż swoim zwyczajem i jego nazwę cudacznie przekręca, nazywając go «Frère Jean de Policarpe.» — Patrz w *Récit de son Voyage*—p. 86.

Rozdział: I ten odleciał!

Str. 166. *Drzewo srebrne* już było umieszczone w sali..... wszystko się powiodło, prócz jednego szczegółu..... anielska owa trąba milczała jak zaklęta.

«A l'entrée de ce grand palais, — car il ne conviendrait pas d'y introduire des outres avec du lait ou autre breuvage,— maître Guillaume de Paris plaça un grand arbre d'argent, au pied duquel sont quatre lions d'argent ayant un tuyau et vomissant tous du lait blanc de jument. Quatre tuyaux sont introduits dans l'arbre jusqu'à son sommet, et de là, ils répandent leur liqueur par les gueules de serpents dorés, dont les queues enlacent le tronc de l'arbre. L'un de ces canaux verse du vin, l'autre du caracosmos ou lait de jument purifié, un autre du boal ou de l'hydromel, un autre de la cerwoise de riz; et chaque liqueur est reçue au pied de

l'arbre dans un vase spécial. Tout en haut, l'artiste avait posé un ange avec une trompette, et au dessous de l'arbre, il avait pratiqué une crypte dans laquelle un homme pouvait se cacher. Un conduit montait par le milieu de l'arbre jusqu'à l'ange. Il avait d'abord fait des soufflets, mais ils ne produisaient pas assez de vent. En dehors du palais est une caverne où l'on enferme les boissons, et où se tiennent des employés prêts à verser, aux premiers sons de la trompette de l'ange. Et les branches de l'arbre sont d'argent, et les feuilles et les fruits aussi. Quand le chef des échantons manque de boisson, il crie à l'ange de sonner de la trompette. Alors l'homme caché dans la crypte souffle dans le conduit qui aboutit à l'ange; l'ange met la trompette à la bouche, et la trompette sonne très-fort au loin. A cette voix retentissante, les officiers qui sont dans la caverne versent chacun sa liqueur dans le tuyau dont il est chargé, et les tuyaux la déversent dans les vases déposés au pied de l'arbre, et alors les échantons y puisent de cette liqueur, et en portent aux hommes et aux femmes du palais.» GUILLAUME RUBROUCK — *Récit de son Voyage*—p. 204.

Str. 167. Chaan przyszedł do sali dla obejrzenia *Drzewa*, i został tak zachwycony..... że twórcę nietylko po cesarsku obdarzył, ale..... zamianował swoim Najwyższym Podczaszym..... chciał jeszcze coś uczynić dla nowego swego ulubieńca..... jemu powierzył urządzenie Uroczystości Wiosennój.

«Maître Guillaume retourna à Caracorum et organisa une grande fête dans l'octave de la Pentecôte (25 juin 1254), et voulut que tous les ambassadeurs fussent présents le dernier jour. Il nous envoya chercher aussi, mais j'étais allé à église baptiser trois enfants d'un pauvre Allemand, que nous avions rencontré dans cette ville.

«A cette fête, maître Guillaume fut le principal échanton, parce qu'il avait fait l'arbre qui versait à boire, et pauvres et riches chantaient et dansaient et battaient des mains en présence, du khân. Alors le khân se mit à leur parler: «J'ai éloigné, dit-il «mes frères de moi et les ai envoyés au milieu des dangers dans des terres lointaines. On verra maintenant ce que vous ferez, quand je voudrai vous charger de la mission de travailler à l'augmentation de notre puissance.»

«Pendant les quatre jours de fête, il changeait chaque jour de vêtements, et tous ces vêtements, depuis les chaussures jusqu'à la tiare, étaient de la même couleur, ect.» *Tamže*—pp. 255—256.

Str. 170. Wszystko nikło w obec czarodziej-
skiego Drzewa. Musiało być ono niepojęcie ogromne, kiedy wedle słów Rubruka «zapełniało większą część sali», która mogła—jak wiemy—pomieścić do tysiąca osób.

«Ce palais est comme une église, ayant une nef au milieu et deux bas-côtés séparés de la nef par deux rangs de colonnes. Trois portes sont au midi, et devant la porte du milieu, à l'intérieur, est cet arbre. Le khân a son siège au nord sur une estrade, de manière à être vu par tous, et on y monte par deux escaliers..... L'espace compris entre l'arbre et ces escaliers est vide, car là se tiennent l'officier chargé de présenter au khân les mets qu'il désire manger, et les ambassadeurs qui lui apportent des présents.» *Tamže*—p. 205.

«Nous entrâmes donc dans cette cour qui est assez bien disposée et qui, l'été, est arrosée par des canaux. Nous entrâmes ensuite dans le palais tout plein d'hommes et de femmes, et nous nous tînmes devant le khân, ayant derrière nous cet arbre qui occupait avec des vases la plus grande partie du palais.» *Tamže*—p. 208.

Str. 175. Nestorjanie podali mu «Święty Chlébek»..... Chaan przyjął go miłościwie.....

«Les prêtres avaient apporté deux petits pains bénits et des fruits dans un bassin, et ils les lui présentèrent après les avoir bénits. Le sommelier les porta au khân qui était assis sur une estrade très-élevée. Mangou mangea aussitôt un de ces pains, et fit remettre l'autre à son fils et à un frère cadet, qui avait été élevé par un prêtre nestorien et savait quelque chose de l'Evangile.» *Tamże*—p. 209.

Str. 178. Cesarzowa Siurkukteni..... w ciągu tego lata ciężko zachorowała.....

«Mangou perdit au mois de février 1252, sa mère Siourcoucteni, à laquelle il avait donné le titre d'impératrice.» *Histoire des Mongols* par C. D'OHSSON—T. II. p. 267.

Str. 179. W chwili jój skonu, zerwał się nad ziemią Chereth przerażający huragan, i..... wielu tamtejszym ludziom pokazały się Duchy.

«Il s'éleva par toute la contrée un si grand vent qu'on vit des démons la parcourir; peu après, la nouvelle se répandit que la princesse était morte.» GUILLAUME RUBROUCK—p. 225.

Str. 184. Najtrudniejsze było rozstanie z rodakiem Podczaszym.....

«Maître Guillaume, autrefois votre bourgeois, vous envoie une ceinture ornée d'une pierre précieuse; on la porte ici contre la foudre et le tonnerre. Il vous salue infiniment, priant toujours pour vous. Pour lui, je ne saurais assez rendre grâces à Dieu et à vous..... Nous nous sommes séparés avec des larmes dans les yeux, mon compagnon demeurant avec maître Guillaume, moi

m'en allant seul avec mon interprète, ect.....»—RUBROUCK AU ROI SAINT LOUIS—dans le *Récit de son Voyage*—p. 226.

Str. 186—7. W końcu listu..... piszący uprasza nieśmiało, aby król..... wyjednał mu choćby najkrótszą przejażdżkę do miłej Francji.

«Or, moi, n'osant rien faire contre l'obédience, j'ai fait comme j'ai pu et je vous ai écrit, demandant pardon à votre incomparable mansuétude, et de ce que j'aurais pu dire d'inconvenant, de trop ou pas assez, étant peu lettré et nullement habitué à écrire de si longues histoires. Que la paix de Dieu qui surpasse toute intelligence, garde votre coeur et votre esprit. Je vous aurais vu volontiers et quelques amis particuliers que j'ai dans votre royaume. C'est pourquoi, si Votre Majesté n'y trouvait aucun inconvénient, j'oserais vous supplier d'écrire à mon provincial de me laisser venir auprès de vous, à la condition de retourner sans retard en Terre-Sainte.» *Tamże*—p. 294.

Rozdział: Jeszcze roczniki niewoli.

Str. 198. Ród Dżyngischanidów dochodził już w tej porze do bajecznej liczby *dziesięciu tysięcy*.

«L'historien Alaï-ud-din, qui écrivait en 1260, rapporte que, de son temps, la postérité de Tchinguiz-khân comprenait environ 10,000 individus.» *Histoire des Mongols* par C. D'OHSSON—T. II. p. 7.

Rozdział: Teraz już po wszystkiém!

Str. 211. Cesarz..... Mongołom sam rozdawał xięgi, a potém brał ich na examin.....

«Il (Coubilai) voulait tirer les Mongols de leur ignorance, honteux de voir combien les princes et les seigneurs de sa nation étaient, en fait de lumières, au dessous des Chinois et des Occidentaux, qui abondaient à sa cour.... Un Chinois nommé Tchao-pi, avait déjà traduit en mongol une partie des livres classiques. Hiu-heng composa dans la même langue un abrégé de l'histoire et de la chronologie chinoise. Coubilaï donnait ces livres à apprendre aux Mongols, et ne dédaignait pas de les interroger lui-même sur l'ouvrage de Hiu-heng.» *Tamże*—T. II. p. 376.

Rozdział: Anielska różga.

Str. 236. Zatknięto przed jój namiotem włócznię z czarną chorągiewką, na znak aby każdy co zna jakie lekarstwo, przychodził i radził.

«Quand quelqu'un d'entre eux devient malade, on met une lance en son logement, environnée d'un feutre noir.» PLANO-CARPINI—*Voy. Anc et Mod.*—T. II. p. 243.

Str. 237—8. Szaman oświadczył że musi.... wypędzić szkodnego Ducha co zamieszkał w chorągiewce.... przyprowadził z sobą dwóch pomocników Pół-szamanów, i przez całą noc bez przerwy, krzyczeli w niebogłose, bębniłi we trzy tambury, i nahajkami trzaskali w powietrzu.

«Les chamans sont tous médecins. Ils guérissent un malade en lui appliquant des coups de fouet à tour de bras. Ils assurent que le mal, quel qu'il soit, n'est jamais qu'un mauvais esprit, qui doit céder à une fustigation vigoureuse.» *La Russie Historique Mon. ect.* par P. ARTAMOF—Paris—1862—T. II. p. 142.

Czasem jednakże kuracja bywa mniej bolesną, i kończy się tylko na bębnieniu, co także zresztą nie przedstawia zbyt miłych warunków dla chorego ani dla jego otoczenia.

«Najciekawszym obrządkiem wyznania tego ludu, jest szamanienie po jurtach.... w razie ciężkiej i niebezpiecznej słabości jednego z Tatarów, na żądanie otaczających go lub rodziny przedsięwzięte. Podług wyobrażeń miejscowych, choroba nie jest niczem innem tylko nagromadzeniem się nieczystych duchów w jurcie, które prześladują podległego ich sile człowieka, i są w stanie pozbawić go życia. Otóż więc należy te duchy odegnać. Do skutecznienia owęj czynności przyzywają szamana, a ten przy odgłosie bębna, wzywa niewidzialne jestestwa, ażeby odstąpiły ofiary i opuściły mieszkanie. Duchy w ogólności nie lubią wszelkiego hałasu, (?) bęben więc główną tu odgrywa rolę; ale że one odznaczają się przytém niezwykłym uporem, potrzeba długiego czasu dla przymuszenia ich do ucieczki. Niejednokrotnie szaman wraz ze swoim pomocnikiem bębni dnie i doby całe, aż do chwili, w której albo natura zwycięży chorobę, albo też cierpiący zaśnie snem wiecznym. W pierwszym razie przedstawiciel religijny tryumfuje; w drugim objawia zgromadzonemu, iż duchy należały do rzędu nieposłusznych i było ich zbyt wiele, ażeby użyte przeciw nim środki mogły stać się skutecznymi. Ceremonia powyższa odbywa się następującym sposobem. Przybyły do jurty szaman, sam lub wraz ze swoim pomocnikiem, przynosi zwykle z sobą wspomniony bęben i laskę obszytą w skórę, będącą godłem duchownej jego władzy. Postawiwszy te przedmioty w kącie, zaczyna obrządek od obkadzania chorego rumiankiem, poczem wzięwszy bęben do ręki, uderza w niego z razu powolnie i cicho, a następnie coraz mocniej i głośniej. Wypędzanie duchów trwa jak już wyżej powiedziałem bardzo długo, i bywają przykłady, iż przeciąga się dwie lub trzy doby; w tym czasie nie wolno nikomu w jurcie niczem się zająć, żadnej rozmowy prowadzić, ani też żadnego posiłku przyjmować. Jeżeli znużenie sklei komu z obecnych powieki, szaman nie przerywając swęj czynności, wylęwa na głowę śpiącego kubek zimnej wody; jeżeli zaś ktokolwiek nie usza-

nuje przepisów bezwarunkowego milczenia, wtedy ów kapłan pogański, nie rzekłszy jednego słowa, chwyta stojący w kącie kij, i bije nim niemiłosiernie zapominającego o swych obowiązkach członka rodziny.» *Obrazki Syberji* przez LUDW. NIEMOJOWSKIEGO—Warszawa—1875—str. 94.

Rozdział: Poświęcenie któremu Tatarzy wierzyli niechcieli.

Str. 276. Codzień będziesz miała świeży kumys—i szaszłyk ze źrebięcia.

Szaszłyk, Tatarska nazwa pieczeni, ze źrebięcia albo z baraniny. Patrz w *Obrazkach Syberji* L. NIEMOJOWSKIEGO stronnice 53-cią, 400-ną i inne.

Rozdział: Na Zachód!

Str. 288. Doszedł je tępy odgłos drewnianych klekrotek.

«Les lépreux ne pouvant sortir sans une *clique* ou *cliquette* et faisant bande à part, furent désignés sous le nom de *clique.*» *Notice historique sur la Maladrerie de Voley*—précédée de *Recherches sur les Léproseries*—par ULYSSE CHEVALIER Dr. en Médecine—Romans—1870—p. 15—Note 3.

Str. 290. Ten chory był Arabem..... między towarzyszami nosił nazwę «Starego lwa.»

«*Leontiasc, leontiasis, lepra leonina*..... Les médecins de l'antiquité et ceux du moyen-âge surtout, désignèrent sous ce

nom une variété de la lèpre tuberculeuse, qui diffère de l'éléphantiasis ordinaire..... C'est principalement à la face que le principe morbifique s'attache dans la léontiasé, et il imprime à cette partie du corps un caractère tout particulier, qui a valu à la maladie la dénomination sous laquelle on la connaît A. Cleyer a donné, dans les Actes des curieux de la nature, la figure d'un homme atteint de la léontiasé; et Schilling, qui était bien à même d'apprécier l'exactitude de ce dessin, puisqu'il avait eu plus d'une occasion de voir la maladie dans les Indes Orientales, en a placé la tête au frontispice de son beau Traité sur la lèpre. Un front et des pommettes chargés de vastes tubercules séparés par des sillons profonds; des yeux arrondis par la tuméfaction générale des paupières, étincelants, mobiles et roulant dans l'orbite; une teinte rouge et cuivreuse répandue sur toute la face; une voix grêle comme celle des chats, ou rauque et mugissante; tels sont les traits hideux qui déterminèrent les anciens à comparer l'aspect des infortunés atteints de cette maladie, à celui d'un lion en colère.» JOURDAN—*Dictionnaire des sciences médicales par une Société de Médecins et de Chirurgiens.*—Paris—éd. Panckoucke—1818—Vol. XXVII—p. 417.

Str. 294. Czy owa koszula stała się istotnie dla Ludmiły tuniką Nessusa? Czy tylko wpływ miejscowej zarazy, dziwnym trafem spełnił życzenia Bigi? Tę wążpliwość niech rozstrzygnie głos uczeńszy.

«Niebuhr..... dans son voyage en Arabie, allègue un fait qui prouverait la contagion rapide de la lèpre, s'il était d'une authenticité incontestable. Il rapporte qu'un individu lépreux ayant conçu une passion très-violente pour une femme, eut recours à une supercherie aussi odieuse que coupable..... il se revêtit pendant quelques jours d'une chemise fine, et parvint ensuite à la lui faire acheter pour un prix très-modique. A peine eut-il appris que la lèpre s'était communiquée à l'objet de son amour, qu'il en fit in-

former le gouvernement, en sorte que cette malheureuse victime se trouva bientôt renfermée dans la même maison que lui.» *Tamże*— Article *Lèpre* par ALIBERT—Vol. XXVII—p. 439.

Str. 296. Umiem robić tę sławną zieloną maść, której przyrzędzenia nauczył mię pewien Indjanin.....

«Au commencement de l'ère chrétienne, la lèpre n'était point inconnue aux Indiens. Archigène enumère effectivement différents remèdes dont ces peuples se servaient pour soulager les maux causés par l'éléphantiasis.» *Tamże* — Art. LÈPREUX par JOURDAN—Vol. XXVII—p. 457.

Rozdział: Róże i nadzieja.

Str. 300. Czyściutki strumień! Jak to dobrze, tu nikt nas nie widzi, tu może i nikt nie czerpie — będziem się mogły napić bez przeszkody.

Trędowatym nie było wolno myć się ani czerpać wody w tych miejscach z kąd ją brali zdrowi.

Strumień ten, jedyny jaki skrapia rzeczzone okolice, słynie z biblijnego podania.

«Ils vinrent à Jericho, qui est à sept milles du Jourdain. Il y avait là autrefois une source inutile; le prophète Elie la sanctifia et en fit couler l'eau, qui depuis ce temps fertilise toute la campagne.» WILLIBALD (*Saint Guillebaud*) *voyageur saxon (huitième siècle.) Voyageurs Anciens et Modernes* — T. II p. 82.

Wydawca tych *Podróży*, EDW. CHARTON, dołącza tu następujące objaśnienie:

«Les habitants de Jericho dirent à Elisée: «Seigneur, la demeure de cette ville est très-commode, comme vous le voyez vous-même; mais les eaux y sont très-mauvaises, et la terre est stérile.» Elisée leur répondit: «Apportez-moi un vase neuf et mettez-y du sel.» Lorsqu'ils le lui eurent apporté, il alla à la fontaine et il y jeta ce sel en disant: «Voici ce que dit le Seigneur: j'ai rendu ces eaux saines, et elles ne causeront plus ni mort, ni stérilité.» Ces eaux devinrent donc saines.» (*Rois*—liv. VI.) Cette fontaine est la seule qu'on trouve près de Jéricho. Les Arabes l'appellent: *A'in-es-Sultân*. Elle sort du pied d'un groupe de monticules semblables à un tumulus, à un mille environ du mont de la Quarantaine, et à trente-cinq minutes ou deux milles du village, au nord-ouest. Le ruisseau qui en descend, dans la direction du village, après avoir arrosé plusieurs champs, grossit et devient assez large pour faire tourner un moulin.»

Str. 302. Ręką sięgnawszy ku ziemi, wyjęła z piasku maleńką, wyschlą roślinkę, okrągłuteńko zwiniętą w kłębuszek.

«Nazwa *Róży jerychońskiej* przynależy..... roślinie którą botanicy *Anastatica hierochontica* Lin. vel. *Euclidium syriacum* R. Br. przezwali. Rośnie ona po miejscach piaszczystych lub od słońca spiekłych w Syrii, Palestynie..... i zasługuje z tego względu na uwagę, że jest w wysokim stopniu rośliną hygrometryczną czyli na wilgoć czułą. Corocznie powstaje ta drobna roślinka z nasion; łodyżka jój podnosząca się lub na ziemi leżąca, nie jest dłuższą nad 3 do 4 cali, lecz bardzo gałęzista, okryta liśćmi grubemi, podłużnemi, a kwiatami białemi..... W czasie dojrzewania jój owoców, liście natenczas już opadły, a pozostaje się sama tylko łodyżka, która potem zsycha się, twardnieje, kurczy i w kłębek zwija. Wichry jesienne poruszając tym kłębkim, wyrrywają go najczęściej z korzeniem, i często na brzegi rzek, jezior lub mórz unoszą. Jak tylko zetknie się z wodą taki kłębek, rozwija się wkrótce do

browolnie: gałązki owjej łądyżki wprzódy do łąrodka wwinięte, i niby listki róży w pączku naśladowujące, wyprostowują się teraz; a kiedy znów to wyjmiemy z wody, kurczy się po niej jakim czasie i zwija jak wprzódy. Własność ta powtarza się za każdą razą, kiedy woda lub wilgotne powietrze ma przystęp. Dla tego szczególnie, zbierają umyślnie takie kłębki z tej roślinki powstałe, nazywają je *różami jerychońskimi*, i niekiedy dosyć drogo sprzedają. Ponieważ szczególnie ten fizyologiczny, tak jest widocznym i uderzającym, lud Chrześcijański utworzył z tego legendę, i t. d.» *Encyklopedia Powsz.* ORG. T. XXII. str. 427 — Tu autor F. BERDAU przytacza parę tych legend, odmienne one są jednak od tej która została opowiedziana w Prologu niniejszej powieści, a która przez ustną tradycję do mnie doszła.

Str. 302. Były to pyszne dwa rumaki, niosące dwóch pysznych rycerzy. Mieli czarne płaszcze z krzyżem, wyszytym na piersiach; krzyż był zielony, rozłamany w osiem promieni..... Starszy rycerz..... mówił..... «Należymy do Zakonu Braci Szpitalnych.»

«Aux hospitaliers de Saint-Jean étaient réunis d'abord ceux de Saint-Lazare; mais..... les Lazaristes s'en séparèrent, en prenant pour signe distinctif la croix verte, et se consacrèrent à la défense des Saints lieux. Louis le Jeune, à son retour de la Palestine, en emmena quelques'uns avec lui, auxquels il confia les soins des malades atteints de la lèpre dans son royaume.» *Histoire Univ.* par CES. CANTU—T. X—p. 101.

«L'ordre de Saint-Lazare fut institué pour leur soulagement spécial; le grand-maître devait toujours être un lèpreux, afin qu'il sut mieux venir en aide aux maux qu'il avait éprouvés.» *Tamże*—p. 256.

Str. 308. Ach, więc to Jerycho?

«*Jerycho*, dziś *Recha*, *Riha*, zwane w Biblii «miastem palm», gdyż posiadało mnóstwo drzew palmowych i róż..... o 150 stadjów od Jeruzalem, przy wielkiej drodze wiodącej do téj stolicy, w powabnym położeniu..... Wespazjan zburzył i w pień wyciął mieszkańców..... Za panowania Krzyżowników nieco się było podniosło i miało kilka klasztorów i biskupa; lecz i ta świetność prędko zgasła, bo łacińscy królowie nie byli w stanie bronić się przed napadami Saracenów. Dziś Jerycho jest bardzo biedną wioseczką, składającą się z dwudziestu chat arabskich.»

Encykl. Powsz. ORGELBRANDA—T. XIII—Str. 267.

SPIS PRZEDMIOTÓW

zawartych w Tomie Piątym.

Część Piąta.

	<i>Str.</i>
Tajemnicza góra	7
Znów roczniki niewoli	32
Jeszcze raz gołąb'	78
Piękny dzień	122
Alleluja!	137
I ten odleciał!	164
Jeszcze roczniki niewoli	189
Teraz już po wszystkiém!	206
Sen	216
Anielska różga	228
Poświęcenie któremu Tatarzy wierzyć nie chcieli.	250
Na Zachód!	279
Róże i nadzieja	299
Przypisy.	311
Spis Przedmiotów.	347

KONIEC TOMU PIĄTEGO.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
174104

Biblioteka WSP Kielce



0121715